RODZIC NA WAGARACH
W polskiej szkole nie ma wpływu na nic

PEDOFILIA W KOŚCIELE
Skąd się bierze przemoc i milczenie

URSZULA DUDZIAK
Koncert to moja randka w ciemno

SENS KONIA
Jaki jest, nikt nie widzi

Kraków 2 września 2018 nr 36 (3608) cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne www.TygodnikPowszechny.pl

KONSTYTUCJA

Jak bronić polskiej praworządności

W NUMERZE DODATEK:

NAGRODA LITERACKA GDYNIA

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

GDAŃSK miasto wolności

ECS europejskie centrum solidarności

REKLAMA

PAWEŁ ADAMOWICZ
PREZYDENT MIASTA GDAŃSKA

BASIL KERSKI
DYREKTOR EUROPEJSKIEGO CENTRUM SOLIDARNOŚCI

ZAPRASZAJĄ

ETYKA SOLIDARNOŚCI

REFLEKSJA W ROCZNICĘ PODPISANIA POROZUMIEŃ SIERPNIOWYCH

WYKŁAD

SOLIDARNOŚĆ – POJĘCIE KLUCZOWE DLA PRZYSZŁOŚCI EUROPY I ŚWIATA

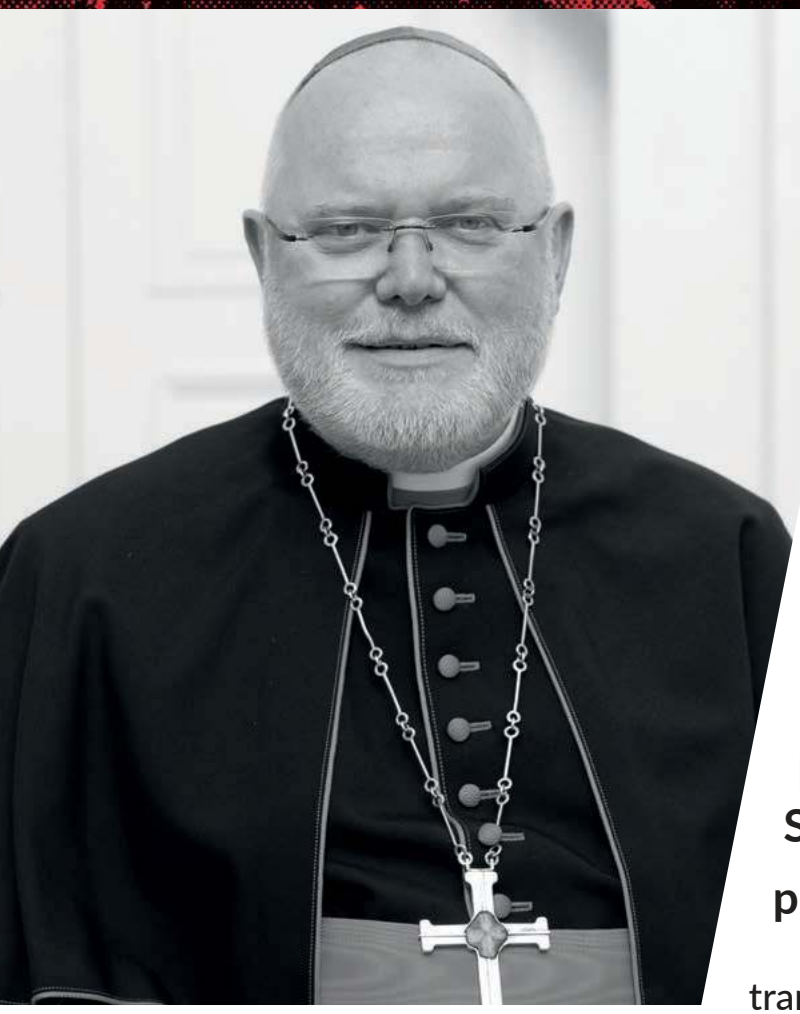

fot. Klaus D. Wolf / Erzbischöfliches Ordinariat München

KARD. PROF.
REINHARD MARX

katolicki duchowny, arcybiskup Monachium i Fryzyngi, przewodniczący Konferencji Episkopatu Niemiec, członek dziewięcioosobowej Rady Kardynałów służącej pomocą papieżowi Franciszkowi i jeden z jego najbliższych doradców

wstęp wolny

30/08/2018
czwartek / godz. 17.00

Europejskie Centrum Solidarności / audytorium

pl. Solidarności 1 / Gdańsk

transmisja online: Gdansk.pl

ecs.gda.pl/etyka

KS. ADAM

Boniecki: *I nie byli nieskazitelni*

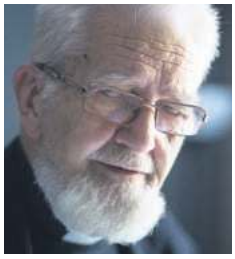

Raport Wielkiej Ławy Przysięgłych o seksualnych przestępstwach księży w Pensylwanii robi kolosalne wrażenie. Oparty na materiałach dostarczonych przez sześć (więc nie wszystkie) stanowych diecezji, obejmuje okres ostatnich 70 lat. Ponad trzystu księży oskarżono o molestowanie ponad tysiąca dzieci. Papież Franciszek zareagował dramatycznym listem do Ludu Bożego, w którym wzywa do pokuty cały Kościół, ponieważ „Gdy cierpi jeden członek, współcierpią wszystkie inne członki" (1 Kor 12, 26). Wielu autorów sugeruje wprowadzenie poprawek do Kodeksu Prawa Kanonicznego i zmian w strukturach kościelnej organizacji. Są i tacy, którzy ostrzegają przed pokładaniem zbyt wielkich nadziei w koniecznych skądinąd zmianach dyscyplinarnych. Sam papież źródło zła widzi w klerykalizmie: „kapłani czują się lepsi, oddalają się od ludzi, nie mają czasu słuchać ubogich, cierpiących, uwięzionych, chorych". Przypomina, jak kapłani i starsi ludu w czasach Jezusa, formułując pięćset przykazań, osiągnęli to, że „wszystko było uregulowane". Stworzyli – pisze Franciszek – „prawo oparte na wiedzy, ponieważ to byli ludzie mądrzy, posiadali wiedzę. (...) Jednak to prawo było pozbawione pamięci; zapomniano o pierwszym przykazaniu, które Bóg dał naszemu ojcu Abrahamowi: »Chodź w mojej obecności i bądź nieskazitelny«. Oni nie chodzili, zatrzymali się na własnych przekonaniach. I nie byli nieskazitelni".

Ujawnienie zła i wywołana tym debata, a zwłaszcza przebijające się, niekiedy z trudem, nowe dyscyplinarne przepisy pozwalają mieć nadzieję, że koszmarne skandale w Kościele staną się jedynie ponurym wspomnieniem. Już dziś się notuje wyraźny spadek tego rodzaju przestępstw wśród duchownych.

Jednak brutalnie odsłonięta, nie tak przecież odległa przeszłość uderza w wiarę katolików jak obuchem. Są wstrząśnięci, kiedy się dowiadują, że ci, którym ufali – księża, biskupi, kardynałowie – byli sprawcami skandali lub sprawców osłaniali, jeśli wręcz nie promowali. Jak wierzyć w taki Kościół?

Bo co mam na myśli, mówiąc „wierzę w jeden, święty powszechny i apostolski Kościół"? Ojciec Yves Congar (w książce „Wierzę w Ducha Świętego") zwraca uwagę, że słowo „Kościół" ma trojakie znaczenie. W pierwszym sensie jest instytucją pochodzącą od Boga – ustanowioną przez Chrystusa. Jej zasadami konstytutywnymi są wiara (objawiona doktryna), sakramenty wiary, władza apostolska odnosząca się do wiary i sakramentów wiary oraz pochodzące od Ducha Świętego charyzmaty. Tę ideę Kościoła – pisze o. Congar – można przyjąć tylko wtedy, kiedy się go widzi w jego oblubieńczym zjednoczeniu z Duchem Świętym. Jest to przedmiot wiary, nie nadaje się więc do dyskusji na żadnej innej płaszczyźnie. W drugim sensie Kościół jest ludem chrześcijan, z jego słabościami, niestałością i skłonnością do upadku. W trzecim mamy na myśli osoby hierarchiczne, „personel" Kościoła, nie jako jednostki, ale jako sprawujących funkcje ludzi Kościoła, z ich ludzkimi ułomnościami i grzechami. Kościół łączy wszystkie trzy aspekty. „Tak bowiem jest – konkluduje o. Congar – że żaden poryw ducha nie może w naszym świecie istnieć, nie wchodząc, do jakiegoś stopnia, w logikę przybrania form i utrwalenia w instytucji. Związane z tym niebezpieczeństwo polega na tym, że łatwo to, co jest zasadą i celem, zostaje przyćmione, a czasem zastąpione tym, co miało być tylko środkiem".

W tym właśnie znaczeniu krakowski historyk Kościoła ks. Jan Kracik pisał o „Świętym Kościele grzesznych ludzi". Nie jest to wielką pociechą dla zgorszonych ani usprawiedliwienie gorszycieli. Jezus powiedział: „Biada światu z powodu zgorszeń! Muszą wprawdzie przyjść zgorszenia, lecz biada człowiekowi, przez którego dokonuje się zgorszenie" (Mt 18, 7). Wskazane przez o. Congara rozróżnienie pokazuje jednak, co jest, a co nie jest przedmiotem naszej wiary w „jeden święty Kościół", gdzie grzech przesłania jego świętość, gdzie są konieczne reformy i zmiany. ©℗

TP *Ramka dobrych wiadomości*

Na naszym profilu

JEST WAS JUŻ PONAD 100 TYSIĘCY!

A to nie koniec dobrych wieści, bo:

Wzrosty/spadki czerwiec 2018/czerwiec 2017

TYGODNIKI OGÓLNOPOLSKIE SPRZEDAŻ OGÓŁEM

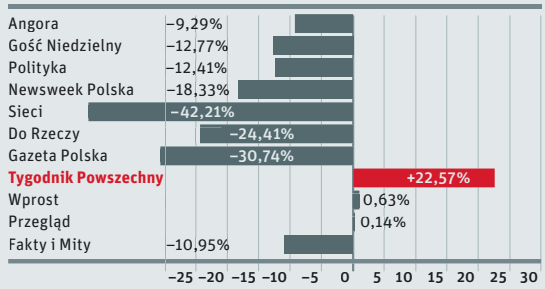

DANE ZKDP, WIRTUALNE MEDIA, 20 SIERPNIA 2018

Dziękujemy Czytelnikom!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

5 Czarny tydzień Trumpa
JAN SMOLEŃSKI

6–9 Wiadomości / Komentarze

20 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK
O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

■ ■ INTERWENCJA

10 Błędy plagiatorskie
ANNA GOLUS: *Sabina Zalewska, kandydatka PiS na Rzecznika Praw Dziecka, odpiera zarzut plagiatu. Jej tłumaczenia są kompromitujące.*

■ ■ KRAJ

22 Jak bronić praworządności
MARCIN MATCZAK

26 To nie jest kraj na solidarność
PIOTR WÓJCIK
o związkach zawodowych

28 Niech się mury pną do góry
PIOTR KOZANECKI: *Co zmienia specustawa mieszkaniowa*

■ ■ REPORTAŻ

32 Dziki ogród
ANNA GOC:
Na łące z Łukaszem Łuczajem

■ ■ WIARA

36 Stań się człowiekiem
ROZMOWA Z ANSELMEM GRÜNEM, BENEDYKTYNEM

40 Nadduchowni
ZUZANNA RADZIK: *Czy ostatnie skandale w Kościele nie wskazują, że czas na reformę jego struktur?*

43 Gniewna wiara wolnych
PIOTR SIKORA: *Jak wierzyć w Kościół i w Kościele, którego instytucje nie radzą sobie z nadużyciami?*

■ ■ ŚWIAT

46 Frakcja rosyjska wraca do gry
TADEUSZ IWAŃSKI Z DONBASU

MAGDA WOLNA

■ TEMAT TYGODNIKA ■

12 Rodzic? Nieobecny!
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Od zawsze petent, od niedawna klient, jeszcze nie obywatel. Jego wpływ na szkołę ogranicza się zwykle do wybuchów gniewu, gdy jego dziecku dzieje się krzywda. Polski rodzic: w systemie szkolnictwa niewidzialny i niesłyszalny.

16 Oblana lekcja wychowawcza
ROZMOWA Z JAROSŁAWEM PYTLAKIEM, DYREKTOREM SZKOŁY:

Kawałek po kawałku odbieramy naszym dzieciom przestrzenie, w których mogłyby się uczyć życia. Szkoła nam w tym niestety pomaga.

■ FELIETONY ■

31 ANNA DZIEWIT-MELLER
45 SZYMON HOŁOWNIA
66 WOJCIECH BONOWICZ
84 JAN KLATA
85 PAWEŁ BRAVO
90 STANISŁAW MANCEWICZ
90 BARTOSZ MINKIEWICZ

■ DODATEK SPECJALNY ■

Nagroda Literacka Gdynia

Okładka: ŁUKASZ RAYSKI, plakat „Konstytucja”
Redaktorka prowadząca: EWELINA BURDA

50 Dom jest gdzie indziej
AGNIESZKA PIKULICKA-WILCZEWSKA: *Czy potomkowie palestyńskich uchodźców utracą ostatecznie prawo do powrotu?*

53 Dziecięce dusze ulatują do nieba
KAROL FRYTA: *Od ataku na szkołę w Biesłanie mija 14 lat*

57 Głosowanie nogami
DOMINIKA MATEJKO:
Wenezuela posiada jednocześnie dwie waluty: papierową i cyfrową

■ ■ HISTORIA

58 Decyzja majora Sucharskiego
JAN SZKUDLIŃSKI: *Obrona Westerplatte wciąż budzi emocje*

■ ■ NAUKA

62 Przedziwny płyn
MARCIN BÓJKO *o wodzie*

■ ■ KULTURA

72 Ballady i romanse
ROZMOWA Z URSZULĄ DUDZIAK:
Koncert jest jak randka w ciemno

76 Jad pytona
MONIKA OCHĘDOWSKA
o polskiej prozie

79 Żar
ROBERT KASPRZYCKI:
Pożegnanie Arethy Franklin

82 Koniec lata
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Lato” Sieriebriennikowa*

83 Warto zobaczyć w TV

84 Człowiek wielu światów
LEKTOR *o książce „Nietoperz w świątyni. Biografia Jerzego Nowosielskiego”*

■ ■ WAKACJE

86 Jaki jest, nikt nie widzi
DOROTA KOZIŃSKA:
Jak to w końcu jest z tym koniem?

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik), Błażej Strzelczyk
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia:** Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, abp Grzegorz Ryś, Agnieszka Sabor, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner, Marek Zając
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Makowska-Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmińska (kierownik), Marta Filipiuk-Michniewicz, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

Quad Graphics — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

OBRAZ TYGODNIA

CZARNY TYDZIEŃ TRUMPA

Kolejnych dwóch współpracowników prezydenta USA okazało się przestępcami. Czy „śledztwo rosyjskie" zagrozi w końcu jemu samemu?

JAN SMOLEŃSKI

W minionym tygodniu ława przysięgłych uznała Paula Manaforta – b. szefa sztabu wyborczego Donalda Trumpa – winnym 8 z 18 zarzucanych mu czynów, w tym oszustw bankowych i podatkowych. Grozi mu za to do 10 lat; jest ryzyko, że 69-letni Manafort spędzi resztę życia w więzieniu. W przypadku pozostałych zarzutów przysięgli nie byli jednomyślni – niewykluczony jest kolejny proces.

To sukces specjalnego prokuratora Roberta Muellera, który pokazał, że „śledztwo rosyjskie" nie jest polowaniem na czarownice. Krytykom Muellera będzie teraz trudniej domagać się zamknięcia śledztwa. Może to też ułatwić specjalnemu prokuratorowi negocjacje z Trumpem w sprawie jego przesłuchania.

Trump miał pytać swoich prawników o możliwość ułaskawienia Manaforta, choć podobno na razie zrezygnował z tego pomysłu. Mogłoby to zostać odebrane jako nadużycie prezydenckiej prerogatywy, gdyż pojawiłyby się pytania, czy Trump nie kupił milczenia Manaforta obietnicą wyciągnięcia z więzienia. Jest on bowiem jedyną osobą oskarżoną w trakcie „śledztwa rosyjskiego" (z wyjątkiem, rzecz jasna, przebywających w Rosji agentów GRU), która nie zdecydowała się na współpracę z FBI. Tymczasem wkrótce zacznie się drugi proces Manaforta: ma dotyczyć jego pracy na Ukrainie dla prorosyjskich polityków. Tym razem zarzuca mu się, że nie dokonał obowiązkowej rejestracji jako lobbysta na rzecz obcego rządu i próbował

W drodze do prezydenckiego samolotu: Donald Trump z żoną Melanią i synem Barronem, Morristown, stan New Jersey, 19 sierpnia 2018 r.

BRENDAN SMIALOWSKI / AFP / EAST NEWS

↦

↦ manipulować świadkiem. Wszystko to zwiększa presję, aby jednak zaczął współpracować ze śledczymi.

Traf chciał, że tego samego dnia, gdy ogłaszano wyrok na Manaforta, wymiar sprawiedliwości dosięgnął inną osobę bliską prezydentowi. Mając nadzieję na łagodniejsze potraktowanie, b. osobisty prawnik Trumpa, Michael Cohen, przyznał się m.in. do złamania przepisów o finansowaniu kampanii wyborczej: pieniądze, którymi Cohen kupił milczenie aktorki porno Stormy Daniels (130 tys. dolarów) i modelki Karen McDougal (150 tys. dolarów) na temat ich romansów z Trumpem, miały za cel wpłynięcie na wynik wyborów. Tym samym są traktowane jako dotacje Cohena na rzecz kampanii. Te jednak są ograniczone prawem do 2,7 tys. dolarów od osoby – Cohen zatem przekroczył tę sumę stukrotnie. Jakiś czas temu adwokat ujawnił nagrania, na których on i Trump rozmawiają na temat kupienia milczenia – także obecny prezydent może być zamieszany w łamanie prawa.

Sprawa Cohena to również sukces Muellera, bo choć prowadzi ją prokurator z Nowego Jorku, to zaczęła się po tym, jak przekazał on tamtejszej prokuraturze zgromadzone dowody. Teraz Mueller chce przesłuchać Cohena w ramach swego dochodzenia. Adwokat pracował dla Trumpa od 2006 r., uczestniczył m.in. w nieudanych negocjacjach dotyczących budowy Trump Tower w Moskwie – może mieć więc sporo informacji ważnych dla „śledztwa rosyjskiego".

Nawet jeśli Cohen nie dostarczy Muellerowi dowodów, że Trump dążył do koordynacji działań z Rosją, by wpłynąć na wynik wyborów, to może przekazać informacje dotyczące utrudniania śledztwa przez prezydenta. Może też ujawnić sporo tajemnic finansowych Trumpa. Jeśli będą w nich podstawy do oskarżeń o przestępstwa finansowe, jest raczej pewne, że Mueller skorzysta z tej okazji. Wprawdzie takie oskarżenia raczej nie wystarczą do impeachmentu, ale mogą być ważne dla kampanii wyborczej w 2020 r. – i będą się ciągnąć za Trumpem, gdy opuści już Biały Dom. © JAN SMOLEŃSKI

Wyspy szykują się na twardy brexit

PATRYCJA BUKALSKA Z LONDYNU

Już za pół roku Zjednoczone Królestwo opuści Unię Europejską, a porozumienia między Londynem i Brukselą o warunkach brexitu wciąż nie ma i możliwe, że nie będzie go wcale. Brytyjski rząd opublikował więc pierwsze rekomendacje dla obywateli, instytucji i firm, jak zabezpieczyć się na wypadek twardego brexitu. To wskazówki dotyczące importu i eksportu, a także – brzmiące niepokojąco – rady, aby np. firmy farmaceutyczne i szpitale zgromadziły zapas leków na sześć tygodni, biznesmeni zaś z Irlandii Północnej, prowadzący działalność po obu stronach granicy, zapytali rząd Irlandii, co mają robić. Eksporterzy żywności organicznej muszą liczyć się z dziewięciomiesięczną nieobecnością na rynku Unii, bo tyle będą musieli czekać na nowe unijne certyfikaty. I tak dalej.

To czarny scenariusz. Na razie rozmowy Londyn–Bruksela trwają, choć czasu do marca 2019 r. (wtedy miną przepisowe dwa lata od chwili, gdy Londyn ogłosił, że opuszcza Unię) jest coraz mniej. Im później porozumienie zostanie przedstawione brytyjskiemu parlamentowi, tym mniej czasu będzie na korekty. I tym bardziej realne staje się jego odrzucenie. Co wtedy? Wyjście bez umowy? A może referendum? Rośnie bowiem społeczne poparcie dla idei poddania porozumienia z Unią pod powszechne głosowanie. ©℗

PAULA BRONSTEIN / GETTY IMAGES

ONZ OSKARŻA armię Birmy o masowe gwałty i zabójstwa, dokonywane „z intencją ludobójstwa" na Rohingach, muzułmańskiej mniejszości, której ok. 700 tys. przedstawicieli uciekło już do Bangladeszu. Zarzuca też rządowi Aung San Suu Kyi (laureatki pokojowego Nobla) niszczenie dowodów zbrodni. Na zdjęciu: Rohingowie w obozie Kutupalong, 26 sierpnia br. ©℗ ŻYM

Na wojnach do wygrania

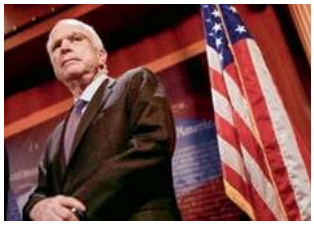

AARON BERNSTEIN / REUTERS / FORUM

W CZASACH, GDY AMERYKĄ rządzi polityk wierzący na słowo Putinowi oraz płacący za milczenie swoim pozamałżeńskim partnerkom, śmierć Johna McCaina (81 lat) – republikańskiego senatora, b. kandydata na prezydenta i b. pilota marynarki wojennej – najłatwiej sprowadzić do odejścia wielkiego autorytetu. McCain nie był jednak ideałem: na początku kariery w Kongresie lobbował za przemysłem hazardowym, był też zamieszany w aferę finansową; z drugiej strony, nigdy siebie takim nie nazywał. Nie lubił wręcz określenia „bohater z Wietnamu", które przylgnęło do niego, gdy wrócił do USA po ponad pięciu latach w wojennej niewoli. Jako polityk pozostał żołnierzem: wierzył, że misją jego kraju jest krzewienie wolności i demokracji, choćby w tym celu trzeba było, dosłownie, iść na front. Po Iraku i Afganistanie chciał udziału Amerykanów w walkach w Syrii, apelował o wysyłanie broni Ukrainie i naloty na Iran. Sądził, że Waszyngton wygra każdą wojnę. I że nawet z Wietnamu można było wyjść zwycięsko.

Polskę traktował ciepło. Chciał jej wejścia do NATO, podzielał obawy przed Rosją, martwił się wprowadzanymi przez PiS zmianami w sądownictwie. Wielu Polakom przypominał pewnie Ronalda Reagana, romantycznego konserwatystę, ucieleśniającego dwa ideały – Ameryki z wartościami i polityków z klasą – które właśnie odchodzą do legendy. ©℗ŻYM

Więcej o McCainie – w kolejnym numerze „TP"

W SKRÓCIE

ZAWIERZENIE. Min. energii Krzysztof Tchórzewski złożył na Jasnej Górze Akt Zawierzenia Energetyków Polskich Matce Bożej Królowej Polski – poinformował resort na Twitterze. Wiosną min. Łukasz Szumowski zawierzył Maryi służbę zdrowia.

TWITTER.COM/MINENERGII

UBOLEWANIE. Nie byłoby źle zawierzyć Matce Bożej całą ojczyznę, zwłaszcza po tym, jak Jarosław Gowin powiedział w „Do Rzeczy", że jeśli Trybunał Sprawiedliwości UE przyzna rację polskiemu Sądowi Najwyższemu w sprawie nowelizacji ustawy o jego funkcjonowaniu, to „nasz rząd zapewne nie będzie miał innego wyjścia" i zignoruje orzeczenie, co media zinterpretowały jako zapowiedź „polexitu". „Mówię to z ubolewaniem jako zwolennik integracji" – dodał Gowin, a my zauważyliśmy, że od czasu, gdy zasiada w rządzie PiS, mówi z ubolewaniem jeszcze częściej niż w czasach, gdy działał w PO.

POWOŁANIE. Min. środowiska Henryk Kowalczyk ogłosił skład Państwowej Rady Ochrony Przyrody, umieszczając w nim nieżyjącego od 1,5 roku prof. Zygmunta Jasińskiego. Ubolewania ministra dotąd nie usłyszeliśmy, co może oznaczać, że przygotowuje akt zawierzenia.

ZMIENIANIE. „Zmiany, które wprowadzamy w sądownictwie, mają charakter przejściowy – są pomostem, który ma nas doprowadzić do nowego ładu wymiaru sprawiedliwości ufundowanego na nowej konstytucji" – wytłumaczył w cytowanym wywiadzie wicepremier Gowin. Nic dziwnego, że mówił o zmianie konstytucji: dotychczasowa stanowi, że „władze publiczne w RP zachowują bezstronność w sprawach przekonań religijnych, światopoglądowych i filozoficznych".

MAREK PODMOKŁY / AGENCJA GAZETA

KILKA GODZIN TRZEBA STAĆ do kolejki na Kasprowy Wierch. Wśród tłumu turystów w Tatrach znalazła się m.in. 29-letnia mieszkanka Warszawy, która zażądała od TOPR, by zwiózł ją ze schroniska Ornak (ratownicy ustalili, że „zmęczyła się poprzedniego dnia podczas wycieczki"). ©℗

500 plus (na razie) nie do zmiany

„NIE MA MOWY O WPROWADZENIU dodatkowego, »górnego« kryterium dochodowego w programie 500 plus" – napisała na Twitterze Elżbieta Rafalska. Minister rodziny odniosła się do interpretacji własnego wywiadu: kilka dni wcześniej mówiła w radiu, że przyjdzie być może czas na weryfikację świadczenia, choćby w związku z inflacją.

Bilans wprowadzonego niemal dwa i pół roku temu programu nie jest jednoznaczny. Spowodował znaczny spadek skrajnego ubóstwa, zwłaszcza wśród rodzin wielodzietnych, ale według niektórych badaczy przyczynił się do dezaktywizacji kobiet („wprowadzenie świadczenia (...), wobec niedorozwoju instytucji opiekuńczych dla dzieci, sprzyja wycofywaniu się kobiet z rynku pracy, podczas gdy stopa zatrudnienia kobiet w Polsce w porównaniu z innymi krajami UE jest i tak niska" – ocenia np. prof. Stanisława Golinowska w wydanym właśnie przez Fundację Batorego raporcie o polityce społecznej).

Trudno też na razie uznać 500 plus za sukces demograficzny. W 2017 r. przyszło na świat ledwie kilka procent więcej dzieci niż w poprzednim. W dodatku nie wiadomo, czy to już efekt programu, czy odłożony rezultat wprowadzanych w poprzednich latach mechanizmów, takich jak wydłużenie urlopu macierzyńskiego. ©℗ PW

Tych produktów nie kupujemy

ANNA GOC

Kobieta klęczy, jej podbródek unosi męska dłoń, obok hasło: „Ona już wie, co za chwilę będzie miała w ustach" – to reklama napoju energetycznego, którą sąd uznał za obraźliwą i godzącą w prawa konsumentów. Reklamodawcę, firmę Waterius, zobowiązano do zapłaty 60 tys. zł na cele społeczne i wydanie oświadczenia z przeprosinami. Wcześniej Komisja Etyki Reklamy uznała reklamę za niezgodną z obowiązującym kodeksem.

Firmę pozwało Stowarzyszenie Twoja Sprawa działające na rzecz m.in. wyeliminowania z przestrzeni publicznej przejawów seksualizacji.

Wyrok nie zaskakuje. Ale otwiera drogę do kolejnych interwencji. Tym bardziej że w ostatnich latach reklamodawcy nie wahali się umieszczać nagich kobiet za 17-calowymi monitorami (z hasłem „Nasze siedemnastki sprzedają się tanio") albo nagich i półnagich przy okazji reklamy wielu innych produktów: od gładzi („Weź mnie gładź") po kursy prawa jazdy („Pozwolimy ci szybko skończyć"), oferty drukarni („Zrobimy ci dobrze... i tanio") czy sklepu z panelami („Leżę idealnie"). ©℗

KS. ANDRZEJ DRAGUŁA:

To nie jest tron elekcyjny

Na 18 listopada biskupi zapowiedzieli odnowienie Aktu Przyjęcia Chrystusa za Króla. Po co?
Żeby odnowić świadomość zobowiązań łączących się z pierwotnym aktem. Na razie ma on chyba niewielkie przełożenie na praktykę duszpasterską i życie wiernych. Taki akt publiczny ma sens, o ile wynikają z niego miniakty: każdy w swoim sercu przyjmuje fakt królowania Chrystusa.

Okazaliśmy się oporni na tę duchowość?
Wynikało to z pewnego dualizmu interpretacji. Z jednej strony: uznanie, że istnieje porządek królowania Boga, któremu się poddaję. Z drugiej: że jest to porządek „elekcyjny", w którym ja kogoś wybieram na króla. Biskupi to drugie rozumienie odrzucili, ale takie myślenie wciąż się pojawia. Do tego część wiernych poczuła się zniechęcona politycznymi konotacjami aktu.

Biskupi mówią, że to odpowiedź na sekularyzację.
W wymiarze indywidualnym ten akt to wezwanie do przywrócenia w życiu właściwej hierarchii. Drugi wymiar dotyczy relacji między życiem społecznym a religijnym. Religia w przestrzeni publicznej powinna być obecna nie tylko poprzez znaki (jak krzyż na ścianie), ale także wartości i czyny.

A jakie znaczenie ma ten akt dla duchowości Księdza?
Kiedy ktoś ogłasza, że „dokonał wyboru Jezusa", w głowie brzmią mi słowa: „Nie wyście mnie wybrali, ale Ja was wybrałem". To świadomość bycia wybranym przez Jezusa jest moim fundamentem wiary i rozumienia powołania. Rozumiem jednak, że ktoś może potrzebować „aktu założycielskiego" wiary – publicznej deklaracji, kim jest dla niego Bóg.

©℗ Rozmawiał MACIEJ MÜLLER

GRAŻYNA MAKARA

KS. ANDRZEJ DRAGUŁA *jest teologiem i publicystą, stale współpracuje z „Tygodnikiem".*

W SKRÓCIE

POUCZENIE. Media donoszą o bójce między proboszczem a wikarym w jednej z bełchatowskich parafii. „Zgłoszenie dotyczyło nieporozumienia na plebanii. Strony zostały pouczone przez policjantów", poinformowała policja. Abp Grzegorz Ryś był w tym czasie w drodze na Jasną Górę. Zapewnił, że po powrocie i on wysłucha obu stron, tymczasem zalecił duchownym, żeby odbyli rekolekcje.

DEDYKACJE. Z Łodzi na Jasną Górę, oprócz abp. Rysia pielgrzymował też kard. Konrad Krajewski. Nowy polski kardynał przeszedł całą drogę, odpowiadał na pytania pątników i śpiewał – m.in. „Walczyk o Łodzi", którego fragment „tu pracuj i tu siedź" zadedykował abp. Rysiowi.

OŚWIADCZENIE. Maryla Rodowicz sprostowała publikację czasopisma „Dobry Tydzień" o jej bliskich związkach z Kościołem. „Nieprawdą jest, że od momentu mojego rozstania z mężem zyskałam wsparcie Ducha Świętego", wyjaśniła i dodała: „Moje ostatnie bliskie kontakty z Kościołem miałam w wieku 8 lat, kiedy sypałam kwiatki na procesji. A wszystko opatrzone koszmarnym, niekorzystnym zdjęciem".

OBCIĄŻENIE. Zdjęcie pisma wysłanego przez radę parafialną i ekonomiczną do parafian kościoła św. Wojciecha z Białegostoku wywołało dyskusję o finansach w Kościele. „Rada prosi o niezwłoczne uregulowanie zaległości w opłatach" – czytamy w liście. Informuje także, że „obciąża rodzinę w wysokości 2 zł od każdej niedzieli, tj. 100 zł za cały rok". Po oburzeniu mediów proboszcz parafii przeprosił za rozsyłanie taryfikatora.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

DOMINIKA MATEJKO, autorka tekstu o Wenezueli (s. 57), będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz w „Światopodglądzie" Radia TOK FM w środę 29 sierpnia o godz. 16.00.
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce www.tokfm.pl

AFP / EAST NEWS

Spotkanie rodzin w Dublinie

TEMAT NADUŻYĆ SEKSUALNYCH w Kościele zdominował wizytę Franciszka w Irlandii, zorganizowaną z okazji 9. Światowego Spotkania Rodzin w Dublinie. Papież spotkał się z rodzinami z całego świata (80 tys. osób), z małżeństwami i narzeczonymi, tradycyjnie z władzami i duchowieństwem, odwiedził bezdomnych. Ale przede wszystkim mierzył się z kryzysem przeżywanym przez Kościół irlandzki. Podczas mszy z niską frekwencją (130 tys. uczestników) w parku Phoenix przepraszał „za nadużycia władzy i sumienia oraz wykorzystywanie seksualne przez ludzi Kościoła". Wcześniej rozmawiał z ośmioma ofiarami nadużyć, które przekazały list o 100 tys. dziewcząt-matek, oddzielonych siłą w instytutach zakonnych od swych dzieci. Uczestniczka spotkania – Mary Collins – ujawniła, że papież nie zamierza powołać osobnego trybunału, który sądziłby biskupów tuszujących nadużycia. ©℗ASK

Biskupi przeciwko rządowi

„TO TAKI KRAJ KOŁO NARNII" – żartowali Włosi, gdy rząd ogłosił, że uchodźców ze statku „Diciotti" przyjmą Albania, Irlandia oraz CEI. Nie chodziło jednak o nowe państwo w Europie, ale Konferencję Episkopatu Włoch.

Tak zakończył się nieludzki targ o 140 uchodźców i migrantów, przetrzymywanych przez dziesięć dni u wybrzeży Sycylii. Zgodnie z wyborczymi obietnicami nowy rząd zamknął już wcześniej porty przed statkami organizacji humanitarnych podejmujących z morza imigrantów. Tym razem chodziło jednak o jednostkę włoskiej straży granicznej, której pasażerom nie wydano zgody na zejście na ląd. Warunki sanitarne i zdrowotne na statku stawały się coraz gorsze. Władze w Rzymie, stając się zakładnikami własnych słów, nie chciały ustąpić, pomimo apeli Kościoła, Unii Europejskiej i mediów. Propozycja biskupów, by ośrodki diecezjalne przyjęły większość uchodźców (sto osób), pozwoliła rządzącym zachować twarz: mogą udawać, że Włochy nie ugięły się przed dyktatem i ani na krok nie schodzą z antyimigracyjnego kursu. ©℗EA

Szukam człowieka na Twitterze

UKAZAŁ SIĘ WŁAŚNIE ARTYKUŁ (D. Broniatowski i in.: „Weaponized Health Communication...") na temat roli trolli i botów w debacie publicznej dotyczącej szczepień. Konkretniej mowa o dyskusji w formie tweetów. Przynajmniej część z nich jest generowana przez proste programy komputerowe – boty. Ot: „#szczepionki wywołują autyzm! Prawda wyjdzie na jaw". To nie arcydzieło erystyki. Skoordynowana chmara takich wpisów pozwala jednak na precyzyjne sterowanie kierunkiem „debaty".

Chociaż pośród wpisów tworzonych przez boty dominują antyszczepionkowe, są jednak i te proszczepionkowe. Rzeczywistym celem jest bowiem tworzenie zamętu i sztucznej kontrowersji. Badacze przypuszczają też, że głębszym celem akcji propagandowej, o której koordynację oskarżają rosyjskie „fabryki trolli", jest sianie zwątpienia w instytucje demokratyczne. Ot, tweet typu: „Rząd ma tajną listę dzieci zmarłych wskutek szczepień! #prawdaoszczepieniach".

Wnioski? Przede wszystkim przestańmy cytować tweety na dowód, że „w społeczeństwie jest na ten temat debata". Można jednak pójść nieco głębiej. Co się stało z „debatą publiczną", że jej uczestnikiem może stać się prosty algorytm? Boty infiltrują nasze rozmowy tylko dlatego, że sami rozmawiamy czasem nie inteligentniej niż papugi. ©℗ ŁL

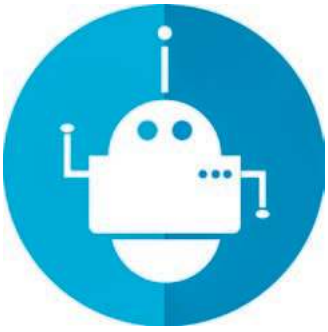

PIXABAY.COM

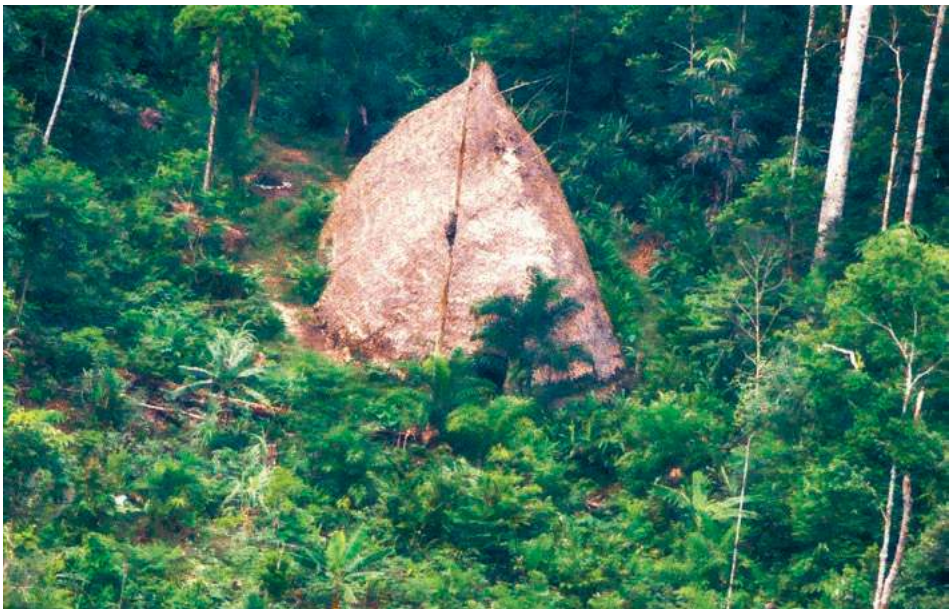

FUNAI / AP / EAST NEWS

„MY", CZYLI KTO? „Plemię, które nie miało jeszcze kontaktu z cywilizacją" – takimi słowami opisywano opublikowane właśnie filmy i fotografie przedstawiające rdzennych mieszkańców Amazonii, które w 2017 r. wykonała brazylijska ekspedycja rządowa (na zdjęciu: szałas z dorzecza rzeki Juruazinho). O tym, kto podczas takich spotkań okazuje się bardziej cywilizowany, uczy historia – dość, że przy okazji ostatnich wiadomości przypomniano, iż w świecie żyje jeszcze około setki plemion, które nie miały dotąd z „nami" kontaktów. Lub też, co brzmi bardziej spektakularnie, choć mniej przekonująco: około 7,6 mld ludzi, którzy nigdy nie kontaktowali się z „nimi". ©℗ ŻYM

Gimnastyka z „Przedwiośnia"

MONIKA OCHĘDOWSKA

Chcąc stworzyć sztukę na naszą miarę, musimy zwiększyć w niej udział wysiłku fizycznego" – przekonywał grany przez Andrzeja Dobosza Filozof w pamiętnej scenie z „Rejsu" Marka Piwowskiego. Ta gimnastyka zaowocowała właśnie wygumkowaniem z „Przedwiośnia" Stefana Żeromskiego treści uznanych za zbędne.

Wybór „Przedwiośnia" do wspólnej lektury podczas tegorocznego Narodowego Czytania Andrzej Duda uzasadnia aktualnością powieści i tym, że proponuje ona krytyczną refleksję nad ojczystymi dziejami. Z kolei odpowiedzialny za opracowanie nowej wersji tekstu Andrzej Dobosz dodaje, że utwór Żeromskiego zwraca uwagę na to, jak nierozstrzygnięte konflikty społeczne mogą zagrozić krajowemu bezpieczeństwu. Tyle że redakcja Dobosza nie polega tylko na usunięciu archaizmów, przestarzałych bądź zanikających w potocznej polszczyźnie spójników lub powtarzających się wyrazów bliskoznacznych.

Dobosz dokonał bowiem także znaczących ingerencji m.in. w charakterystykę opisywanych czasów i postaci. Wystarczy rzut oka na pierwsze strony, by przekonać się, że w jego wersji „Przedwiośnia" to już nie protekcja, ta „cicha, pokorna, dobra wróżka", jak pisze Żeromski, lecz tylko wesołość, inteligencja i odrobina drwiny z Moskala są drogą do wymarzonej dla ludzi pokroju ojca Cezarego Baryki kariery w Rosji.

Uproszczeń w charakterystykach Seweryna i Cezarego Baryki jest więcej. U Żeromskiego bohater, mimo wrodzonej uczciwości, miał jednak w sobie pewien mieszczański rys, który sprawiał, że byłby gotów zrobić wszystko to, co każą „starsi". Dobosz pozostawia go „człowiekiem z gruntu uczciwym", który „nie robiłby nic podłego", usuwając wszelkie wątpliwości, które czynią postać niejednoznaczną. Strach zaglądać dalej.

Jeśli chcemy osiągnąć nową wartość, musimy doprowadzić do konfliktu, mawiał w „Rejsie" Filozof. Po raz kolejny się udało, bo wrocławianie zapowiedzieli, że 8 września przeczytają „Przedwiośnie" bez jego skrótów. ©

Czytaj też felieton Stanisława Mancewicza na s. 90.

INTERWENCJA

Błędy plagiatorskie

ANNA GOLUS

Sabina Zalewska podtrzymuje decyzję o kandydowaniu na Rzecznika Praw Dziecka i odpiera zarzut plagiatu. Jej tłumaczenia kompromitują ją jeszcze bardziej.

KOPIUJ, WKLEJ, PRZYLEJ

Po publikacji artykułu „Kopiuj, wklej, przylej" (czytaj w „TP" nr 35 oraz na powszech.net/plagiaty), w którym ujawniłam przypadki przywłaszczenia własności intelektualnej przez kandydatkę PiS na Rzecznika Praw Dziecka, Sabinę Zalewską, zainteresowana przekazała oświadczenie Polskiej Agencji Prasowej.

Według niej „zarzut plagiatu nie ma uzasadnienia", ponieważ „autorka artykułu formułuje zarzuty, opierając się na zamieszczonych na stronie www.sabinazalewska.pl szkicach, na podstawie których powstawały artykuły naukowe drukowane w źródłach trwałych". Tymczasem wraz z korektorem Grzegorzem Bogdałem [czytaj także na stronie 69 – red.], który plagiat odkrył, oraz redaktorami „Tygodnika" porównałam artykuły Sabiny Zalewskiej opublikowane w internecie w formie PDF-ów z wersjami drukowanymi w czasopismach i książkach.

Nawet zresztą gdybyśmy tego nie zrobili, uzasadnienie Zalewskiej nie byłoby żadnym usprawiedliwieniem, bo to ona sama przecież te teksty upubliczniła. Każdy piszący – naukowiec, dziennikarz czy bloger – przechowuje szkice swoich artykułów na dysku komputera, nie publikując ich w internecie ani nie wysyłając do publikacji. Jeśli autor decyduje się na upublicznienie tekstu, należy sądzić, że uznał swoją pracę za skończoną.

Teksty Zalewskiej opublikowane w internecie nie są więc „szkicami", lecz ostatecznymi wersjami „artykułów naukowych", które skompilowała z licznych, skopiowanych z sieci źródeł, w tym również takich, z których korzystanie przynosi wstyd gimnazjalistom.

„Tępo" i „ilość błędów"

Sabina Zalewska zapewnia, że „ostateczne wersje kwestionowanych artykułów, które ukazywały się w wyżej wymienionych źródłach [książkach i czasopismach – AG], nie są tożsame z zamieszczonymi na stronie szkicami, które mogą zawierać błędy edytorskie". Przypomnę więc, że w artykule „Kopiuj, wklej, przylej" opisałam plagiaty w pięciu tekstach, pod którymi Zalewska się podpisała:

– „Asystencja jako szczególny dialog wychowawcy i wychowanka w pedagogice ks. Jana Bosko", [w:] „Pedagogika dialogu. Nauczyciele dialogu", D. Jankowska (red.), Warszawa 2011;

– „Rodzic w roli mediatora", [w:] „Pedagogika dialogu. Wokół pedagogiki Janusza Korczaka", D. Jankowska (red.), Warszawa 2014;

– „Pomiędzy prawami dziecka a pajdokracją. Refleksja nad Kartą Praw Dziecka", [w:] „Prawa człowieka i świat wartości", R. Moń, A. Kobyliński (red.), Warszawa 2011;

– „Ekonomiczny Uniwersytet Dziecięcy jako przykład nauczania permanentnego dzieci i ich rodziców", [w:] „Edukacja nieustająca wyzwaniem społeczeństwa informacyjnego", t. 3, M. Gawrońska-Garstka, A. Zduniak (red.), „Edukacja XXI wieku" 2010, nr 21;

– „Nauczyciel akademicki dziś. Nadzieje i oczekiwania", „Warszawskie Studia Pastoralne" 2012, nr 16.

Trzy pierwsze przed wydrukowaniem przeszły proces redakcyjny i nieznacznie różnią się od wersji opublikowanych w internecie. Różnice te są jednak tak niewielkie, że w żaden sposób nie zmniejszają skali plagiatu. Np. w artykule „Pomiędzy prawami dziecka a pajdokracją", we fragmencie skopiowanym z serwisu Bryk.pl (zajmującym w PDF-ie 2 strony, a w książce – 2,5), wprowadzono kilkanaście kosmetycznych zmian, m.in. dodając średniki i kropkę w wypunktowaniu oraz poprawiając zdanie: „Bowiem dobry wychowawca różni się od złego ilością popełnionych błędów" (powinno być, i jest w wersji wydrukowanej: „Dobry wychowawca różni się bowiem od złego liczbą popełnionych błędów").

Jakie to ma jednak znaczenie, jeśli Zalewska skopiowała z Bryka tekst zawierający ponad 600 słów? Zmiana szyku w jednym zdaniu i inne tego typu minimalne poprawki nie zmieniają faktu, że cztery akapity (w druku: sześć) zostały skopiowane z tekstu pt. „Podstawowe założenia pedagogiczne Janusza Korczaka, Marii Montessori i Celestina Freineta" autorstwa „Anonima" *(sic!)*. To samo dotyczy 11 innych tekstów, z których sklejona jest praca Zalewskiej.

Taka sama sytuacja ma miejsce w przypadku artykułów kandydatki na Rzecznika Praw Dziecka „Rodzic w roli mediatora" i „Asystencja jako szczególny dialog...". W tekście o asystencji korektor dokonał istotnej zmiany we fragmencie akurat nie skopiowanym, lecz napisanym przez Zalewską samodzielnie: zamienił „tępo" na „tempo" – i wprowadził inne niezbędne poprawki, ale plagiatu nie ukrył. Poprawienie „błędów edytorskich"

nie równa się bowiem zatuszowaniu „błędów” natury moralnej.

Na stronie macierzystej uczelni Zalewskiej opublikowano „Praktyczny przewodnik antyplagiatowy”, którego autorka, Natalia Kohtamäki, przekonuje, że „Plagiat jawny, nazywany (...) totalnym lub absolutnym, polega na świadomym wykorzystaniu całości lub części obcego utworu”. Kohtamäki wyjaśnia, że często „fragment obcego tekstu jest bezpośrednio wpleciony w pracę studencką bez podania przypisu, tzn. zastosowane są w obcym tekście łączniki mające sprawiać wrażenie, że dokonano parafrazy. W rzeczywistości, każdy dosłownie przejęty z obcego tekstu fragment powinien zostać ujęty w cudzysłów”. Z poradnika dla studentów UKSW wynika jasno, że wszystkie plagiaty, których Zalewska dokonała, są jawne i totalne również po korekcie.

Brudnopisy w druku

Nie wszystkie omawiane przez nas teksty Zalewskiej przeszły przez korektę. Ostateczne, wydrukowane wersje dwóch – „Ekonomiczny Uniwersytet Dziecięcy...” oraz „Nauczyciel akademicki dziś....” – wbrew temu, co oświadcza prowadząca do niedawna dydaktykę etyki na UKSW pani doktor, są „tożsame z zamieszczonymi na stronie szkicami”. W artykule o Uniwersytecie Dziecięcym korektor (jeśli był...) nie poprawił mnóstwa błędów, w tym również tych, które Zalewska skopiowała wraz z całym (oczywiście nieujętym w cudzysłów) akapitem z serwisu Bryk.pl. W drugim z artykułów pozostawiono wszystkie błędy: i te popełnione samodzielnie przez Zalewską, i te skopiowane przez nią z internetu. Nikogo w redakcji wydawanego przez UKSW czasopisma „Warszawskie Studia Pastoralne” nie zaniepokoiły skopiowane z serwisu Ściąga.pl „autentyczne organizmy afrykańskie” ani link do tego serwisu w przypisie.

Zalewska w oświadczeniu podkreśla, że „wszystkie opublikowane w periodykach artykuły były recenzowane przez zespoły redakcyjne złożone z autorytetów naukowych w danej dziedzinie, zaś w pracach zbiorowych podlegały uprzedniej recenzji dokonanej przez recenzentów wewnętrznych danego wydawnictwa”. To jedyny fragment oświadczenia kandydatki, z którym trudno się nie zgodzić: jej artykuły były, a przynajmniej powinny być recenzowane. Powinny też przejść redakcję i korektę. Nie powinny natomiast ukazać się drukiem, bo zamieszczanie w przypisie i bibliografii linków do serwisów Ściąga.pl czy Bryk.pl dyskredytuje pracę naukową.

Ŕ nie do wiary

W kolejnym punkcie oświadczenia Zalewskiej czytam: „Anna Golus porównała kwestionowane przez siebie artykuły do publikacji internetowych, które powstały z kolei w oparciu o te same publikacje drukowane, na które powołuję się w moich artykułach, podając wymagane regułami cytowanie w publikacjach naukowych, stosowne przypisy”. O ile dobrze rozumiem ten niezbyt jasny wywód, kandydatka na Rzecznika Praw Dziecka twierdzi, że wcale nie kopiowała cudzych tekstów z internetu, a fakt, że wyglądają one identycznie jak jej, jest całkowicie przypadkowy i bierze się stąd, że autorzy publikacji internetowych korzystali z tych samych źródeł, co ona – wyłącznie drukowanych i opisanych przez panią doktor w przypisach i bibliografii.

Jeśli tak, to niewiarygodnym zbiegiem okoliczności jest, że Sabina Zalewska i Adam Wielomski całkowicie niezależnie od siebie napisali zdanie: „Procesy o charakterze pajdokratycznym uwidaczniają się dopiero wraz z postępami emancypacji społecznej jaką obserwujemy od czasu ŕ rewolucji francuskiej”. Całkowicie przypadkowo użyli dokładnie takich samych słów, ustawili je w takim samym szyku, zapomnieli o przecinku przed „jaką” i dodali tak charakterystyczną, zbędną literę „ŕ”. Całkowicie przypadkowo napisali zresztą identycznie nie tylko to jedno zdanie, lecz prawie 900 następujących po sobie słów, zajmujących w artykule Zalewskiej prawie 3 strony w „szkicu” i 3,5 strony w wersji wydrukowanej. Zalewska podaje zresztą w przypisie i bibliografii nie drukowaną publikację, z której rzekomo oboje korzystali, lecz link do serwisu internetowego, w którym Adam Wielomski opublikował swój tekst.

A to tylko jeden przypadek podobnych zbieżności. W pięciu jej publikacjach, które analizowaliśmy, było ich 32.

Grupa dyskredytująca

Zalewska podsumowała swoje wyjaśnienie tak: „Z całą mocą oświadczam, że poprzednie, obecne i ewentualne kolejne zmanipulowane materiały, które mogą pojawić się na mój temat (...), nie zmienią mojej decyzji o kandydowaniu”. I tu dotykamy szerszego wymiaru sprawy: dr Zalewska jest oficjalną kandydatką na stanowisko RPD, zgłoszoną przez grupę posłów partii rządzącej. Prawo i Sprawiedliwość nie odcięło się jak dotąd od swojej kandydatki i dopóki tego nie zrobi, ujawniona przez nas sprawa będzie ciążyć również na obozie władzy.

Wypada tylko mieć nadzieję, że ani politycy PiS, ani władze UKSW (uczelnia przekazała „Tygodnikowi” oświadczenie, w którym pisze, że choć umowa z dr Zalewską wygasa pod koniec września, władze skierowały sprawę do rzecznika dyscyplinarnego) nie dadzą wiary twierdzeniom Zalewskiej, iż w biurze dotychczasowego, kończącego 27 sierpnia swoją kadencję Rzecznika Praw Dziecka rzekomo „działa grupa zajmująca się zbieraniem materiałów mających zdyskredytować ją w kontekście jej kandydatury na stanowisko RPD”.

Otóż zbierać materiałów na Sabinę Zalewską celem jej zdyskredytowania nikt nie musi – kandydatka PiS na RPD dostarczyła ich sama. ©

TP

W NAJBLIŻSZYM NUMERZE „TYGODNIKA” ZNAJDĄ PAŃSTWO DODATEK

Festiwal Przemiany – Cywilizacja Algorytmów

Już nie tylko ludzie kształtują przyszłość. W coraz większym stopniu przekazujemy tę moc samodzielnym maszynom i inteligentnym kodom. Nasza cywilizacja stworzyła algorytmy. A jaką cywilizację stworzą one? Już w następnym wydaniu „Tygodnika” dodatek poświęcony Przemianom, a w dniach 13–16 września w Centrum Nauki Kopernik w Warszawie rozmowy, wystawa, wykłady, filmy i koncerty festiwalowe. Program na: **festiwalprzemiany.pl**.

TEMAT TYGODNIKA

RODZIC? NIEOBECNY!

Od zawsze petent, od niedawna klient, jeszcze nie obywatel. Jego wpływ na szkołę ogranicza się zwykle do wybuchów gniewu, gdy jego dziecku dzieje się krzywda. Polski rodzic: w systemie szkolnictwa niewidzialny i niesłyszalny.

TEKST PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI
ILUSTRACJE MAGDA WOLNA

Kilka milionów – tylu ich jest, skoro liczba dzieci szkolnych dochodzi do pięciu milionów. A jeśli dodać tych, którzy mają dzieci w wieku przedszkolnym bądź cieszą się kilku- lub kilkunastoletnimi wnukami – wyjdzie, że więcej niż połowa dorosłych rodaków to ludzie bezpośrednio zainteresowani oświatą.

Bezpośrednio zainteresowani, czyli nie tak jak sądami, systemem pomocy społecznej czy nawet służbą zdrowia, z którymi to obszarami życia możemy mieć w każdej chwili styczność, ale jednak na co dzień nie mamy. Bezpośrednio zainteresowani przez pięć dni w tygodniu, około dwustu w roku, przez co najmniej dwanaście lat, a więc tyle, ile trwa podstawowy cykl edukacyjny dziecka bez przedszkola i studiów.

Zainteresowani, dodajmy od razu, na ogół tylko teoretycznie. A na pewno nie tworzący wyrazistej grupy. Zwykle – poza spektakularnymi epizodami – niesłyszalni i niewidzialni. I to na każdym poziomie.

Dlaczego nas nie słychać

Najłatwiej przyjrzeć się poziomowi ogólnemu: zapowiadana od kilku lat, a wprowadzana w życie od września 2017 r. reforma oświaty PiS nie napotkała jak dotąd na dający się zapamiętać opór wśród rodziców (akcje nieposyłania dzieci do szkół nie wywołały większego echa). Nie narodził się żaden szerszy rodzicielski ruch społeczny (ruchów takich jak choćby Rodzice przeciw Reformie Edukacji większość Polaków nie kojarzy). Na sprzeciwie wobec krytykowanej przecież intensywnie w mediach reformy minister Anny Zalewskiej nie wyrósł żaden lider choćby w ułamku tak wyrazisty, jak Karolina i Tomasz Elbanowscy, którzy za rządów PO-PSL skutecznie zaprotestowali przeciw posyłaniu sześciolatków do szkół, wykorzystując grające na emocjach hasło „Ratuj Maluchy".

I nie da się tej obywatelskiej martwicy wytłumaczyć nastrojami społecznymi. Owszem, początkowo reforma – z jej sztandarowym postulatem strukturalnym, czyli likwidacją gimnazjów oraz wydłużeniem podstawówek – cieszyła się sporym poparciem Polaków. Znaczenie miały tu zapewne takie elementy, jak sentymentalny stosunek do czasów dawnych (z ośmioklasową szkołą podstawową), a także stereotypowe, choć fałszywe przekonanie, że gimnazja stanowią jakąś szczególną wylęgarnię problemów wychowawczych.

Dziś proporcje między zwolennikami a przeciwnikami reformy są z grubsza wyrównane: wedle sondażu IBRiS dla „Rzeczpospolitej" z końca maja tego roku na pytanie, jak Polacy oceniają zmiany oświatowe, 48 proc. odpowiedziało, że dobrze, a 46 proc., że źle. Gdy jednak bliżej przyjrzymy się strukturze obu grup, zobaczymy – poza łatwymi do przewidzenia zależnościami, jak ta, że reformę popierają częściej wyborcy PiS – rzecz ciekawą: mniejsze niż przeciętne poparcie dla tej reformy jest wśród rodziców. W tej grupie pozytywnie oświatowe zmiany ocenia 42 proc. respondentów, a źle lub raczej źle – 54 proc.

A więc to nie powszechne poparcie dla zmian w oświacie sprawia, że polski rodzic w momencie największego od lat szkolnego remontu zachowuje się biernie. By się przekonać, jak silna jest wśród rodziców atmosfera sprzeciwu, a nawet frustracji, wystarczy z nimi porozmawiać bądź wejść na pierwsze lepsze szkolne forum internetowe.

Tam negatywne emocje buzują. A jednak z jakiegoś powodu nie sumują się one w żaden zorganizowany sprzeciw, choćby taki jak protest obywateli przeciw demolce systemu sądowego. ↦

Jedno z wyjaśnień zdaje się być oczywiste: jest nas, rodziców, kilka milionów, ale mówimy różnymi językami.

Dlaczego nas nie słuchają

MEN podaje, że 1 września przez progi polskich podstawówek przejdzie nieco ponad trzy miliony uczniów, do nauki w gimnazjach (a w zasadzie do tego, co z nich pozostało, czyli do klas trzecich) przystąpi ponad 350 tys., w szkołach ponadgimnazjalnych (liceach, technikach i szkołach zawodowych) uczyć się będzie niewiele ponad milion, a w ławkach branżowej szkoły I stopnia zasiądzie 113 tys. uczniów. To krótkie zestawienie pokazuje, z jak różnymi problemami mogą borykać się rodzice.

Bo cóż mają wspólnego lęki 7-latka i jego prawnych opiekunów, którzy wysyłają swoje dziecko do szkoły po raz pierwszy, z obawami rodzica szóstoklasisty, któremu trzeba wytłumaczyć, dlaczego nie pójdzie do wymarzonego gimnazjum plastycznego, albo dylematami ojca i matki nastolatka, który wpadnie w tzw. podwójny rocznik licealny (za rok do tych szkół trafią zarówno pierwsi absolwenci ośmioklasowych podstawówek, jak i ostatni absolwenci gimnazjów)? Jakie wspólne hasło mogłoby połączyć tych, którym nie podobają się czysto organizacyjne konsekwencje reformy (choćby dwuzmianowość w podstawówce), z tymi, którzy oburzają się na rewolucję w programach nauczania (z ich motywem przewodnim, czyli akcentem na tzw. wychowanie patriotyczne)?

> Reforma oświaty PiS nie napotkała jak dotąd na dający się zapamiętać opór wśród rodziców. **Nie narodził się żaden szerszy rodzicielski ruch społeczny.** Na sprzeciwie wobec krytykowanej w mediach reformy nie wyrósł żaden lider.

To oczywiście nie wszystko: różnymi językami mówimy od lat, bez względu na reformy, bo też przez lata nie wytworzyła się w Polsce żadna dominująca koncepcja, do czego mianowicie służy w XXI w. szkoła. Więc znowu: niewiele ze sobą wspólnego będą mieli ci, którzy oczekiwaliby od niej wysokiej pozycji w edukacyjnym rankingu, inni, którzy patrzą na szkołę jak na rodzaj hufca pracy (przygotowanie do sukcesu zawodowego), i jeszcze inni, marzący o szkole rozwijającej pasje oraz talenty ich dziecka, a oburzający się na przejawy zaprzęgania go do edukacyjnego „wyścigu szczurów".

Dodajmy do tego różnice poglądów politycznych czy zróżnicowane podejście do kwestii wychowania, a wyjdzie nam obraz grupy, w której każdy ciągnie w swoją stronę, o ile ma w ogóle jeszcze ochotę na jakiekolwiek działanie. Zwykle nie ma, bo też rodzicielskim wpływem na szkołę nie jest zainteresowana ona sama.

– Jest pod tym względem coraz gorzej: zaogniają się konflikty między rodzicami a nauczycielami i dyrekcją, narasta nieufność. Ten stan można było zresztą przewidzieć, bo od dawna wiadomo, że jeśli polska szkoła nie zacznie się przeobrażać w bardziej autonomiczną i demokratyczną, to rozdźwięk pomiędzy tymi grupami będzie się pogłębiał – ocenia Elżbieta Piotrowska-Gromniak, wieloletnia nauczycielka, założycielka i szefowa Stowarzyszenia Rodzice w Edukacji.

Miasto stołeczne Warszawa w latach 2008-12 realizowało jedyny taki w skali ogólnopolskiej projekt: „Rodzice we wspólnocie szkolnej – Warszawskie Forum Rodziców i Rad Rodziców". Na populacji 1500 osób przebadano ich aktywność w szkołach i przedszkolach. W zgodnej ich opinii woli współpracy z nimi nie mają ani nauczyciele, ani dyrektorzy szkół, a dominujący wśród opiekunów szkolnych dzieci wniosek sprowadzał się do stwierdzenia: „Po co działać, skoro i tak nic się nie da zrobić".

– Efekt jest taki, że większość rodziców ze szkołą się nie utożsamia, podobnie nie czują się w niej „u siebie" ani uczniowie, ani nauczyciele – mówi Piotrowska-Gromniak.

I nie chodzi o brak uregulowań, na bazie których rodzice mogliby wpływać na losy szkół. W każdej placówce działają rady klasowe, a ich przedstawiciele wchodzą do działających na poziomie placówki rad rodziców. Te ostatnie jednak są często fasadowe.

– Rady mogą opiniować szkolne dokumenty, ale ich opinie zwykle nie są w ogóle brane pod uwagę – mówi szefowa Rodziców w Edukacji. – Co więcej, zdarzają się przypadki łamania prawa przez dyrektorów. Przykład z ostatniego czasu: dzwoni do nas rodzic z pytaniem, co ma zrobić w sytuacji, gdy kierujący szkołą, zamiast przeprowadzić wybory do rady rodziców według zasad zapisanych w Ustawie o Systemie Oświaty, sam wyznacza jej członków, rekomendując ich jako „sprawdzonych"...

W polskich szkołach i placówkach mogą też funkcjonować rady szkoły – sku-

OGŁOSZENIA

Przed Sądem Rejonowym dla Warszawy-Woli w Warszawie, w II Wydziale Cywilnym, przy ul. Kocjana 3 w Warszawie, pod sygn. akt II Ns 815/17 toczy się postępowanie z wniosku Alicji Nowickiej z udziałem Tadeusza Salonka o stwierdzenie nabycia spadku po Stanisławie Marii Podsiadłowicz, ur. 27 września 1913 r. w Warszawie, zm. 15 stycznia 2017 r. w Warszawie.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców po Stanisławie Marii Podsiadłowicz, aby w terminie 3 miesięcy od opublikowania ogłoszenia zgłosili swój udział w sprawie i udowodnili swoje prawa do spadku pod rygorem pominięcia w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Kamiennej Górze, sygn. akt I Ns 145/17, toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Agnieszce Róg, zm. 2 października 2016 r., c. Ryszarda i Ireny, ostatnio zamieszkałej przy ul. Partyzantów 4, 57-300 Kłodzko.

Wzywa się spadkobierców zmarłej, aby w terminie 6 miesięcy od daty ukazania się tego ogłoszenia zgłosili się do Sądu, w którym toczy się postępowanie, i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

piające uczniów, nauczycieli i rodziców, które mogłyby być najlepszymi platformami współpracy. Rady mogą nie tylko opiniować i wnioskować – także w sprawach dydaktycznych, choćby dotyczących zajęć dodatkowych – ale bezpośrednio tworzyć statut szkoły, czyli najważniejszy dokument, który określa zasady działania i kierunki rozwoju placówki. Co z tego, skoro w polskiej oświacie w zasadzie ich nie ma. Jak podaje badaczka tego zjawiska prof. Danuta Uryga z Akademii Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej w Warszawie, funkcjonują w ledwie kilku procentach placówek.

Dlaczego nie słuchamy

Nie bez winy są oczywiście sami rodzice: jesteśmy nieuleczalnymi indywidualistami. Musimy nimi być, bo grupa kilku milionów obywateli nie może się różnić od całego społeczeństwa, wychowywanego w tej samej, gardzącej raczej współpracą i tzw. miękkimi kompetencjami szkole, czy to tej z lat 70., 80., czy już z 90.

Nieprzypadkowo i w przekazie medialnym, i w opowieściach nauczycieli „aktywny rodzic" kojarzy się nie najlepiej, występując zwykle w wersji roszczeniowej. Wiedziony – czasami uzasadnionym, innym razem przesadnym albo wręcz urojonym – poczuciem, że jego dziecku dzieje się w szkole krzywda, interweniuje u dyrektora lub wychowawcy. Owszem, może i osiąga swój cel, ale trudno to uznać za wpływ na edukację. Wciąż za to spotykamy w mediach historie o kolejnej szkole, w której rodzice doprowadzili do relegowania „agresywnego ucznia" (często – choć nie zawsze – chodzi o dziecko ze specjalnymi potrzebami, np. autystyczne, któremu wystarczyło poświęcić więcej czasu i uwagi).

Prof. Uryga w artykule opublikowanym na stronie rodzicewedukacji.pl kreśli historyczny rys roli polskiego rodzica w oświacie: najpierw był on „petentem", odpowiedzialnym za „posłanie" swojego dziecka na lekcje. „Pojawiał się on ze swoją »sprawą« (dzieckiem), licząc, że zostanie ona ostatecznie »pozytywnie załatwiona«" – pisze badaczka. Wraz z przemianami końca lat 80. stał się dodatkowo „klientem", i to niekoniecznie wyłącznie w placówkach pobierających czesne. „Rodzic-klient pozostaje nieaktywny, gdy szkoła spełnia jego oczekiwania, aktywizuje się zaś wtedy, gdy doznaje zawodu" – charakteryzuje prof. Uryga.

To właśnie na tym etapie, diagnozuje badaczka, zatrzymała się polska szkoła, nie przechodząc do kolejnego. Jakiego? Chodzi o „rodzica-obywatela", którego rola jest „zaczerpnięta z zupełnie innego niż »petent« i »klient« imaginarium społecznego". Jak podsumowuje Uryga, „w naszym kraju, póki co, taka szkoła nie istnieje".

I nie zmienią tego liczne przykłady chwalebne: pozostających nadal w niszy szkół demokratycznych, w których także rodzice czują się częścią wspólnoty, gęstej sieci placówek społecznych, gdzie udział w nich rodziców wpisany jest z definicji, czy najzwyklejszych zdawałoby się szkół publicznych, w których udało się wypracować formułę wspólnego działania. Obraz dominujący jest inny: rodzic przekracza próg szkoły, gdy chce wyrazić niezadowolenie.

Reforma za trzysta złotych

Dodajmy kontekst polityczny: reforma szkolna Prawa i Sprawiedliwości pozornie dowartościowała rodziców. Zmiany strukturalne miały przecież wyjść naprzeciw ich oczekiwaniom, minister Zalewska wielokrotnie mówiła o tym, jak ważni są rodzice. Nie szczędziła też grosza: zbliżający się koniec wakacji upływa – przynajmniej medialnie – pod znakiem specjalnej wyprawki szkolnej zwanej 300 plus, czyli zapomogi wypłacanej rodzicom na każde dziecko szkolne, bez żadnego dochodowego kryterium.

To jednak tylko fasada: reforma sprawia, że nieufność między władzą z jednej strony, nauczycielami i dyrektorami z drugiej, a rodzicami z trzeciej może tylko narastać. To na tych drugich ciąży przecież obowiązek wdrażania i tłumaczenia zmian, poczynając od organizacyjnych, kończąc na programowych. Zmian, których sensowności sami często nie ogarniają i które przynoszą tymczasowy przynajmniej bałagan. W tych warunkach model rodzica „petenta" i „klienta" może się tylko wzmocnić.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

REKLAMA

pah
Polska Akcja Humanitarna

Wpłać online: www.pah.org.pl/wplac lub na konto:
Alior Bank 02 2490 0005 0000 4600 8316 8772
dopisek SUDAN POŁUDNIOWY

Oblana lekcja wychowawcza

JAROSŁAW PYTLAK, DYREKTOR SZKOŁY:

Kawałek po kawałku odbieramy naszym dzieciom przestrzenie, w których mogłyby się uczyć życia. Szkoła nam w tym niestety pomaga.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Przychodzi rodzic do dyrektora...

JAROSŁAW PYTLAK:... bo ma jakiś problem. Rzadko zjawia się, by zakomunikować, że wszystko jest fajnie, choć i to się zdarza.

Np. przychodzą pewnego razu rodzice, bo ich córka dostała ode mnie naganę za sfałszowanie podpisu nauczycielki. Mówią, że chcą rozmawiać z tą nauczycielką. Podaję słuchawkę i słyszę jednego z rodziców, jak mówi: „Proszę pani, podobno moja córka sfałszowała pani podpis – czy pan dyrektor mówi prawdę?" (*śmiech*).

Straszni ci rodzice.

Ich obraz jest równie złożony, jak obraz polskiego społeczeństwa. A ja mam o tej grupie generalnie dobre zdanie: zwykle są mili, uśmiechnięci, sympatyczni.

A gdy pojawia się problem z ich dzieckiem...

...to wtedy zazwyczaj przestaje być miło.

Na swoim blogu dokonuje Pan bolesnej diagnozy: współczesny rodzic bywa w kontakcie ze szkołą roszczeniowy, a w relacji z dzieckiem – pozbawiony umiejętności stawiania granic.

Warto jednak powiedzieć, że nie jest tak zawsze, a jeśli jest, to owa roszczeniowość ma swoje źródło. To lęk. O bezpieczeństwo, zdrowie, o to, czy szkoła nie zmarnuje jakiejś życiowej szansy dziecka, czy nauczyciele przez brak kompetencji nie wyrządzą mu krzywdy. Moim zdaniem część tych lęków nie ma uzasadnienia. Co nie zmienia faktu, że obiektywnie istnieją.

Dlaczego jest ich tak wiele?

Być może dlatego, że większość ludzi oczekuje dzisiaj, iż świat będzie idealny. Przekaz medialny, wzmocniony w ostatnich latach tym internetowym, sprawił, że nie bierzemy w ogóle pod uwagę, iż cokolwiek może się układać niezgodnie z naszymi oczekiwaniami. Na to nakłada się świadomość, z ilu to fantastycznych dobrodziejstw możemy w dzisiejszych czasach korzystać, by pomóc w rozwoju naszym dzieciom. Samych ofert obiecujących doskonałe metody nauczania znajdzie pan w sieci setki. Więc siada pan, czyta, a potem myśli: „Co ja mógłbym jeszcze zrobić dla mojego dziecka?".

Co?

Odczepić się od niego! A mówiąc delikatniej, pozwolić mu na samodzielność.

Krzywdzimy dzieci, zbytnio się na nich skupiając?

Im najbardziej brakuje czasu na bycie samym ze sobą. Jeszcze 20 lat temu dziecko w dużej mierze wychowywało się w grupie rówieśniczej. Teraz – przynajmniej w dużych miastach – grupy tej poza szkołą praktycznie nie ma.

Zniknął też czas, który dziecko mogłoby sobie samo zagospodarować. Rodzic odczuwa konsekwencje takiego stanu rzeczy. Dziecko jest rozchwiane, niespokojne, a ukojenie uzyskuje często dopiero wtedy, gdy weźmie do ręki tablet lub telefon. To są dzisiejsze substytuty podwórka!

Szkoła też nie pomaga: ani dziecku znaleźć czas, ani rodzicowi się od tego dziecka odczepić. Dzieci – nawet te w klasach 1–3 – spędzają po dwie godziny dziennie odrabiając zadania domowe. Rodzicom z kolei oferuje się nowinki służące do kontroli. W podstawówce mojego dziecka rodzice mają wgląd w internetowy dziennik, w którym nauczyciele zapisują na bieżąco wszystko, co dane dziecko zrobiło bądź nie zrobiło na lekcjach.

Nie wiem, czy pan sobie z tego zdaje sprawę, ale pan i pańskie dziecko padliście ofiarami jednej z największych współczesnych zbrodni pedagogicznych. W ten sposób mordowane jest dziecięce poczucie podmiotowości i odpowiedzialności za siebie.

W Pana szkole nie ma internetowego dziennika?

Nie ma i mam nadzieję, że uda się utrzymać taki stan rzeczy, chyba że wprowadzenia tego *novum* zażąda oświatowa władza, w ramach jednego ze swoich urzędniczych „prorodzicielskich" pomysłów. W mojej szkole to dziecko ma przekazywać w domu informacje.

Dlaczego?

Bo na tym polega odpowiedzialność! To m.in. zdolność radzenia sobie w kryzysowej sytuacji, np. gdy trzeba powiedzieć rodzicom, że coś w szkole poszło nie tak.

Odbieramy naszym dzieciom kawałek po kawałku przestrzeń, w której mogłyby uczyć się życia. Po raz pierwszy ta prawda dotarła do mnie dzięki anegdotycznej sytuacji. To było spotkanie międzyszkolne, każde z gimnazjów było reprezentowane przez nauczyciela i dwójkę gimnazjalistów. Poszedłem ze swoimi uczniami, ale podczas samego spotkania się rozdzieliliśmy, bo odbywało się wedle zasady, że grupy dyskusyjne są wymieszane. Uczeń z innej szkoły, który był w mojej grupie, powiedział w którymś momencie z nieskrywaną furią: „Przecież to jest chore, że moi starzy znają moje stopnie wcześniej niż ja sam!".

Dlaczego tak się dzieje?

Przyczyn widzę wiele. Pierwsza jest taka, że łatwość komunikacji w dobie pośpiechu kusi. Druga to powszechne dzisiaj w systemie szkolnym zjawisko budowania kolejnych zabezpieczeń przed oskarżeniem o błąd. Ponoć w Ameryce lekarz na każde dziesięć minut pracy przez osiem zajmuje się tworzeniem dokumentacji chroniącej go w razie pozwu. Coś podobnego zaczynamy odczuwać w polskiej edukacji. Przyczyna trzecia jest psychologiczna: taki dziennik to być może podświadomy i najbardziej wygodny dla szkoły sposób, by próbować uśmierzać wspomniane rodzicielskie lęki.

Jest jeszcze inny problem: nie pozwalamy naszym dzieciom przeżywać porażek. Dziecko przychodzi smutne do domu, bo któryś z rówieśników coś mu niemiłego powiedział. A rodzic niewiele się zastanawiając, pisze maila albo dzwoni do wychowawczyni z pretensjami, że pozwoliła, by „w takiej szkole dzieci tak ze sobą rozmawiały". Wytłumaczenie, że w każdej szkole dzieci muszą sobie czasami mówić także nieprzyjemne rzeczy, gdyż na tym m.in. polega życie, jest bardzo trudne.

Krótka historia: nauczycielka organizuje pod koniec klasy trzeciej tzw. test trzecioklasisty. Stawia oceny z obu części testu, mimo że tego robić nie musi, a nawet – wedle opinii większości pedagogów – na tym etapie nie powinna. Jedno z dzieci dostaje dwie jedynki, a pani, choć nie ujawnia nazwiska, mówi całej klasie, że test wypadł bardzo dobrze, bo „tylko jedno dziecko oblało obie części". Na pretensje rodzica, że to praktyka szkodliwa, nie reaguje. Ta historia to jeszcze słuszny gniew czy już skłonność do tego, by nie pozwalać dziecku na porażki?

Odpowiedź jest jednoznaczna: pretensja rodzica jest słuszna, test zaś – na ocenę – nie powinien się odbyć. A jeśli już, to powinien być oceniany procentowo oraz pewnie w jakiejś formie omówiony z dzieckiem i rodzicem. Wystawianie stopni, a już tym bardziej „jedynek", w trzeciej klasie podstawówki dyskwalifikuje nauczyciela.

Żeby było jasne: mówiąc o tym, że rodzice nie pozwalają dzieciom na porażki, mam głównie na myśli wtrącanie się w życie rówieśnicze. Bo gdy dzieje się coś złego w relacji rodzic–szkoła, matka czy ojciec mają nie tylko prawo, ale wręcz obowiązek reagować.

Pamięta Pan sytuacje, kiedy rodzic Panu pomógł? Skłonił do zmiany decyzji?

Zacznijmy od tego, że gdyby nie mądrzy rodzice, to w ogóle nie byłoby tej – ani żadnej innej – społecznej szkoły.

A jeśli chodzi o codzienność, to rodzice wnoszą do szkoły wiele. Nawet sytuacje przykre, konfliktowe przynoszą dobre rozwiązania. Mieliśmy np. pewnego razu koncert noworoczny, podczas którego dzieci występowały na scenie. Jeden z tych występów nie najlepiej się udał. Mimo przygotowań, dzieci wyszły ze swoich ról, zaczęły się wygłupiać. Następnie dostały burę od nauczycielki, z czego zrobiła się ogromna rodzicielska burza. Rodzice dowodzili, że dzieci były spontaniczne, naturalne i nie można mieć o to do nich pretensji. Mieli swoje racje, zresztą nie o rację w tej historii chodzi. Idzie o to, że dzięki tej burzy wyszła na jaw ich zła relacja z nauczycielką, której nie byliśmy świadomi. Owa sytuacja z koncertu była jedynie zapalnikiem. Po prostu nauczycielka – wcale nie zła pedagog – popełniała błędy w komunikacji z rodzicami.

ARCHIWUM PRYWATNE

JAROSŁAW PYTLAK jest pedagogiem, nauczycielem i autorem podręczników. Od 1990 r. kieruje zespołem szkół Społecznego Towarzystwa Oświatowego na warszawskim Bemowie. Prezes zarządu Fundacji „Harcerska Wola", odznaczony m.in. Medalem Komisji Edukacji Narodowej, Srebrnym Krzyżem „Za zasługi dla ZHP", a w 2017 r. wyróżniony Nagrodą Miasta Stołecznego Warszawy za działalność edukacyjną. Twórca kwartalnika pedagogicznego „Wokół Szkoły" i bloga wokolszkoly.edu.pl.

Ma Pan poczucie, że rodzice mają realny wpływ na Pana szkołę?

I tak, i nie. Jeśli ja, jako dyrektor, zgodnie z prawem odpowiadam za wszystko, co się w tej szkole dzieje, to jasno z tego wynika, że nikt nie może mi narzucić żadnej decyzji.

Z drugiej strony mamy chociażby w szkole Radę Przedstawicieli Rodziców. Ona pełni funkcję doradczą, ale wynikają z tego bardzo konkretne wnioski. Np. rozmawiamy o tym, jak ma funkcjonować przerwa obiadowa. Albo rodzice wyrażają obawę, czy na pewno poziom lekcji języka angielskiego nie mógłby być wyższy, i dyskutujemy, co z tym zrobić. Zdarza się i tak, że podczas takich spotkań ktoś zgłasza, że jakiś nauczyciel popełnia takie czy inne błędy.

Inny przykład: w tym roku wprowadziliśmy w szkole budżet partycypacyjny, w ramach którego i dzieci, i rodzice, i nauczyciele mogli proponować, w jaki sposób wydać szkolne pieniądze.

Raz w roku mamy też sejmik szkolny, w którym spotykają się rodzice, nauczyciele i uczniowie. Ostatnio jednym z tematów był „kodeks smartfonowy".

Co takiego?

Mamy w szkole strefy wolne od telefonu, gdzie nikomu – ani uczniowi, ani rodzicowi, ani nauczycielowi – nie wolno go używać. Wprowadziliśmy nawet „smartfonowe prawo jazdy". Dzieci nie znają dzisiaj na pamięć nawet jednego numeru telefonu, bo są przyzwyczajone, że wszystko można wywołać z pamięci telefonu. Więc gdy siada bateria – jest katastrofa. By otrzymać „prawo jazdy", trzeba znać na pamięć przynajmniej dwa numery. Oczywiście wymagań jest więcej.

A wracając do pana pytania o wpływ rodziców, pewnie znaleźliby się u nas tacy, którzy powiedzieliby panu, że dyrektor jest twardogłowy i niewiele da się na nim wymóc. I coś w tym pewnie jest: nie ma szkoły w pełni demokratycznej, bo to dyrektor ponosi odpowiedzialność. Osobiście preferuję oświecony absolutyzm (*śmiech*).

Ale to nie znaczy, że rodzice nie mogą mieć wpływu na funkcjonowanie szkoły.

W przeciętnej polskiej szkole mają?

W znikomym stopniu!

Dlaczego?

Bo nie ma odpowiednich dla takiego wpływu mechanizmów. A jeśli są, to nikt z nich nie korzysta. A jeśli jednak jakimś cudem skorzysta, to nikt tym jego korzystaniem nie jest specjalnie zainteresowany. W polskiej edukacji istnieje niewielka przestrzeń, gdzie dałoby się uśmierzyć te wszystkie lęki rodzicielskie, ↦

↦ o których rozmawialiśmy. Bo nauczyciele nie mają czasu, bywają pryncypialni albo są przemęczeni i nie bardzo mają ochotę, by im zawracano głowę.

U nas w szkole jest inaczej, ale tylko dlatego, że dysponujemy odpowiednio liczną kadrą. W przeciętnej polskiej szkole ten warunek nie może być spełniony, w związku z czym kontakt rodzice–szkoła sprowadza się do sytuacji kryzysowych.

Jakieś mechanizmy pozwalające na uczestnictwo jednak istnieją.

Owszem, np. rady szkoły. Ale one funkcjonują w kilku procentach placówek, bo ich istnienie byłoby trudne i niewygodne. Niech pan to sobie wyobrazi: wysiadywać godzinami na spotkaniu, w którym uczestniczą mający różne opinie rodzice, nauczyciele i jeszcze dyrektor, który nie bardzo wie, jak się w tym wszystkim odnaleźć. Znani mi rodzice, którzy w takie rady się zaangażowali, szybko się wypalali.

Dlaczego?

Czasami winny jest dyrektor, innym razem nauczyciele, jeszcze innym rodzice. Niekiedy też grają rolę obiektywne sprzeczności interesów, które sprawiają, że te dwie grupy nie mogą się dogadać. Aby do takiego porozumienia doszło, potrzebne jest zaufanie i poszanowanie swoich kompetencji. Tymczasem tego w szkole być nie może, bo nie ma tego w polskim społeczeństwie.

A do tego mamy kolejną reformę. Rodzice nie bardzo ją rozumieją, nauczyciele są przestraszeni. Efekt: wszyscy skupiają się na sobie.

I trudno się dziwić. Problemów w związku z tą reformą jest masa, ale nie mówi się prawie w ogóle o tych najbardziej fundamentalnych.

Jakich?

Minister Anna Zalewska przeprowadza coś w rodzaju oświatowego zamachu stanu. Wystarczy spojrzeć na wprowadzane zmiany prawne, by zorientować się, że zamiast zapisanych w konstytucji wartości liberalno-demokratycznych i obywatelskich wprowadza do naszego systemu te narodowo-patriotyczne.

I fundament drugi: etyka. Ta reforma jest z gruntu niemoralna, bo zmienia zasady gry w jej trakcie! Mam na myśli uczniów starszych klas sześcioletniej podstawówki, którzy mieli przed sobą perspektywę pójścia do gimnazjum, a nagle się dowiedzieli, że pozostaną w macierzystej placówce. Nawet jeśli części z nich się to spodobało, to otrzymali naukę, że w Polsce władza może odebrać prawa nabyte, jeśli ma na to ochotę.

W przeciętnej polskiej szkole **rodzic nie ma na nic wpływu,** bo nie istnieją odpowiednie ku temu mechanizmy. A jeśli istnieją, to nikt z nich nie korzysta. A jeśli jednak jakimś cudem skorzysta, to nikt tym korzystaniem nie jest zainteresowany.

Jak by Pan odpowiedział przeciętnemu rodzicowi na pytanie: po co była ta reforma?

Po to, żeby zrobić z waszego dziecka nowego obywatela. Zbudować nowe społeczeństwo.

Dlaczego mimo to wśród tych kilku milionów obywateli nie narodził się silny ruch protestu?

Bo edukacja nie jest ważna w świadomości społecznej. Nie mamy też w oświacie powszechnie rozpoznawalnych autorytetów. Zapewne wielu rodziców zna takie nazwiska prawników, jak Zoll, Strzembosz, Łętowska czy Safjan. Zna pan jakiegoś pedagoga, nauczyciela czy lidera ruchu rodziców o podobnym autorytecie i rozpoznawalności?

Nie znam, ale może to skutek, a nie przyczyna? Skutek tego, że my, rodzice – w dużej mierze absolwenci szkół z PRL-u – przyswoiliśmy sobie zasadę: „My skończyliśmy, to i oni skończą".

„Wyszedłem na ludzi, to oni też wyjdą"; „Nigdy w edukacji nie było tak, żeby jakoś nie było". Coś w tym jest.

Poza tym rodzice, którzy są ofiarami tej kontrreformy, to ogromnie zróżnicowana grupa. Edukacja młodego człowieka trwa od przedszkola do matury około 15 lat. Zupełnie inaczej myślą i funkcjonują rodzice czterolatka, a inaczej tegorocznego maturzysty. Ci ostatni czekają tylko końca, w nic się nie angażując. Ci pierwsi jeszcze nie wiedzą, o co chodzi.

Poza tym każdy rodzic oczekuje czegoś innego. To znak czasu: świat jest dziś traktowany trochę jak menu w restauracji – każdy wybiera to, na co ma dzisiaj ochotę. A szkoła jest ze swojej natury mało elastyczna.

A jednak państwu Elbanowskim, twórcom akcji „Ratuj maluchy", udało się porwać tysiące rodziców.

Nawet ich w tym wspierałem, bo uważałem – i wciąż uważam – że pomysł koalicji PO-PSL, by posłać sześciolatki do szkoły, był fatalnie przygotowany. A Elbanowscy

wykorzystali rodzicielski strach w grupie najbardziej do tego predestynowanej, czyli rodziców najmłodszych dzieci. To oni ich poparli, w uczciwym przekonaniu, że czynią to dla dobra swoich dzieci.

W kontrreformie minister Zalewskiej nie ma niczego, co nadawałoby się na akcję o podobnym oddźwięku. Co więcej: cała ta tzw. reforma jest cudem socjotechniki. W ogóle lekceważenie minister Zalewskiej jest ogromnym błędem. Nie wiem, czy to jej zasługa, czy jej doradców, ale jakoś tak wyszło, że wszyscy pokornie jemy tę żabę i wypełniamy bez specjalnego sprzeciwu te wszystkie pomysły. A niemała część społeczeństwa nadal uważa, że ta reforma jest świetna.

Bo?

Np. dlatego, że przywróciła ośmioletnią szkołę podstawową, którą „myśmy kończyli, i którą tak dobrze wspominamy".

I zlikwidowała „złe gimnazja".

Tak jest! Ktoś musiał naród o tym przekonać, i minister Zalewska zrobiła to skutecznie. Mimo że sam tylko podwójny licealny rocznik powinien wystarczyć jako zarzewie rodzicielskiego buntu.

Teraz jest już za późno.

Nic nigdy nie jest do końca stracone, choć nie sądzę, by rodzicom udało się stworzyć silny ruch protestu. Przestrzegałbym też przed jednym: przerzucaniem swojej wściekłości czy frustracji dotyczących skutków tej reformy na samorządy. One sobie tej reformy nie wybrały – została im narzucona.

Ma Pan jakąś radę dla rodziców na ciężkie edukacyjne czasy?

Mogę im jedynie poradzić, by pozostawiali dzieciom jak najwięcej przestrzeni na samodzielne działania. Choćby nie wiem, jak było to trudne, zaprocentuje w przyszłości.

Wszystko inne, o czym tutaj mówiliśmy, to problemy wspólne: rodziców i nauczycieli. I wspólnie trzeba się z nimi zmierzyć.

Może warto zorganizować coś w rodzaju szkolnego lub przedszkolnego „okrągłego stołu", przy którym jedni i drudzy będą mogli powiedzieć, co jest dla nich najtrudniejsze, a co wydaje im się najbardziej palące.

Wiem, że takiej instytucji nie ma w prawie oświatowym, ale nie chodzi o tworzenie nowej struktury, tylko płaszczyzny dla porozumienia.

A co do sprzeciwu wobec reformy, najlepszym rozwiązaniem wydaje mi się usunięcie jej autorów za pomocą kartek wyborczych.

©℗ Rozmawiał
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

REKLAMA

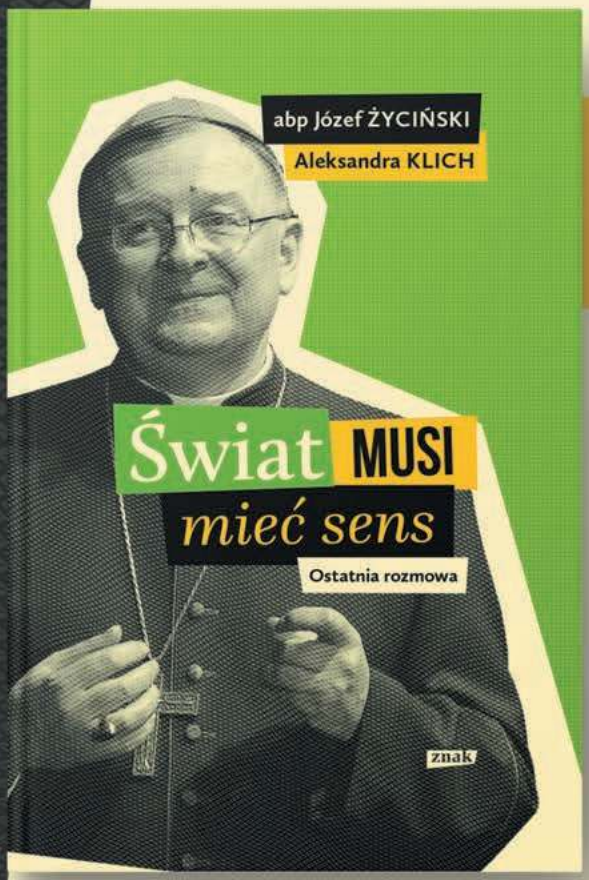

Książka, która pozwala
usłyszeć głos autorytetu.

Społeczeństwo bez wielkich ideałów, bez wzniosłych wartości, w którym ludzie żują gumę i wymieniają się ploteczkami, może istnieć, ale ja się boję takiego świata. Świat musi mieć sens.

abp Józef Życiński

PAWEŁ

Śpiewak:
Ostatni król Judy

Sedekiasz był ostatnim królem Judy z rodu Dawidowego. Stał się nim z woli władcy Babilonu Nabuchodonozora po tym, jak Joachim, król judzki, oddał wszystkie dobra zdobywcom z północy. Ci uprowadzili przy tym możnowładców, rodzinę króla, jego rzezańców oraz dziesięć tysięcy mieszkańców Jerozolimy, w tym najlepszych robotników i rzemieślników. Sedekiasz miał lat dwadzieścia jeden, gdy został ukoronowany, i rządził, jak czytamy w Księdze Jeremiasza, lat jedenaście.

Dziewięć lat po koronacji znów otoczył miasto władca Babilonu i po trzynastu miesiącach walk zdobył je i zniszczył. Rycerze z królem próbowali ujść z Jerozolimy wprost na pustynię. Ale pojmali ich Chaldejczycy koło Jerycha. Tam na oczach króla najpierw zabili jego synów, a potem wyłupili mu oczy. W łańcuchach zaprowadzono go do Babilonu. Taki był koniec wielkiej dynastii i pierwszej Świątyni.

Jeremiasz był doradcą króla. Do niego zwrócił się Sedekiasz o radę, co ma czynić, pamiętając o cudach, jakie w przeszłości czynił Bóg Izraela: „Poradź się Pana w naszej sprawie, gdyż Nebukadnesar, król babiloński, prowadzi z nami wojnę: może Pan postąpi z nami jak dawniej przy wszystkich cudownych dziełach i sprawi, że ten od nas odstąpi” (Jr 21, 2). Władca zapewne był przekonany, że Bóg uratuje swoje miasto znajdujące się w tak strasznym niebezpieczeństwie. Wierzył, że JHWH będzie im wierny. A lud zapewniał Boga pieśniami i psalmami o Jego wielkości i miłosierdziu.

Zedekiasz i Jeremiasz podzielali wiarę w to, że Bóg potrafi czynić rzeczy niemożliwe, że wybrał sobie Izrael, ale to Jeremiasz uważał, że Bóg jest w stanie dokonać jeszcze jednego cudu: odwrócić się od ludu wybranego i dopuścić do zburzenia swojej siedziby. Bóg jest wolny w swoich dziełach i nie jest związany z Izraelem w sposób absolutny i bezwarunkowy, uważał prorok. Jest w stanie postępować wedle swej woli, zachowując zwierzchność nad wszystkim. Potrafi wybrać Nabuchodonozora na swe narzędzie po to, by dokonała się sprawiedliwość nad Jerozolimą bez względu na to, jak będzie ona straszna.

Bóg wyciągnął swe ramię nad ziemią, nad ludźmi, zwierzętami. Uczynił, jak mówił Jeremiasz, Nabuchodonozora swoim karzącym sługą. Wykonał wyrok na Izraelu za to, że ten odwrócił się od boskich nakazów, ale ten sam Babilon utraci rychło protekcję Boga i wygrają Persowie. Los Jeruzalem jest przypieczętowany: „Któż się zmiłuje nad tobą, Jeruzalemie? Kto cię będzie żałował? Kto się zatrzyma, aby się zapytać, jak ci się powodzi?” (15, 5). Odpowiedź jest oczywista. Nikt nie zmiłuje się nad miastem, nikt nie będzie żałować, bo Bóg miał już dość pobłażania Hebrajczykom.

Straszna to wizja, w której kara spada na ludzi nie dlatego, że sami coś złego uczynili. Spada na niewinnych, bo Izrael jako całość Boga uraził. Straszny to Bóg. Straszna wizja Boga. Obca naszej wrażliwości. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Zabójcza pobożność

Po ogłoszeniu przez Kongregację Nauki Wiary zmiany 2267. punktu Katechizmu Kościoła Katolickiego w prasie katolickiej zawrzało. Przyjrzyjmy się tym głosom jeszcze raz. „Kolejna fatalna wiadomość słabego pontyfikatu”. „Mojego stanowiska w sprawie kary śmierci to nie zmienia”. „Papież chce poprawiać katechizm zredagowany przez Jana Pawła II”. „Nowy zapis jest, z punktu widzenia nienaruszalności doktryny, niebezpieczny (...), uruchamia kolejne procesy gnilne, kolejny papież będzie musiał to posprzątać, łącznie z uporządkowaniem samej kwestii papiestwa w Kościele”. „Franciszek oszalał”. „Trudno uznać przejście od tezy A do nie-A za rozwój doktryny” itd.

To prawda, bardzo trudno na jednej szali położyć dawanie życia i odbieranie życia. Tych dwu wydarzeń nie da się nijak ze sobą zestawić i nie da się o nich rozmawiać, jak się rozmawia o różnicy objętości kilograma cukru i bawełny.

Doktryna, dogmaty, tradycja, ciągłość i niezmienność to wszystko ważne, ale ustąpić muszą przed najważniejszym, przed czym Jezus ostrzega: „Biada wam, obłudni nauczyciele Pisma i faryzeusze, bo przemierzacie morza i lądy, aby zdobyć jednego współwyznawcę, a kiedy go zdobędziecie, czynicie go bardziej winnym potępienia niż wy sami. Biada wam, obłudni nauczyciele Pisma i faryzeusze, bo dajecie dziesięcinę z mięty, kopru i kminku, a zaniedbujecie to, co najważniejsze w Prawie: sprawiedliwość, miłosierdzie i wiarę. To trzeba zachować i tamtego nie opuszczać”. Jak dawniej, tak i dzisiaj każdej religii, katolicyzmowi też, grozi bezduszne doktrynerstwo przybierające pozór walki o czystość wiary. Kardynał Kazimierz Nycz mówi: „Jan Paweł II nauczał, iż kara śmierci jest czymś nie do przyjęcia, a papież Franciszek jest konsekwentny (...) był to krok oczekiwany”.

Zanim więc zaczniemy innych odsądzać od czci i wiary, mając za miarę wszechrzeczy swoje tylko poglądy, warto posłuchać, co na dany temat ma do powiedzenia Tradycja Kościoła. W Księdze Mądrości czytamy: „Według naszych zasad liczy się silniejszy, a słabi są nam niepotrzebni. Podstępem pozbądźmy się uczciwego, bo nam przeszkadza, utrudnia nam życie, zarzuca niewierność względem Prawa (...) Chwali się znajomością Boga, (...) a potępia nasze przekonania. Już sam jego widok jest nieznośny, bo zachowuje się nie tak jak inni, dziwne są jego drogi (...) unika naszych dróg jak zarazy. (...) Zobaczmy, czy ma rację, (...) Wypróbujmy go zniewagami i poddajmy torturom, (...) wybadajmy jego cierpliwość”. Pobożność bywa zabójcza. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Idź!

Mówi Pismo: „Oto przybywa”. Nie stoi ani nie zatrzymuje się, by dzięki przystanięciu mógł zostać rozpoznany przez tego, kto się w Niego uporczywie wpatruje, ale znika z pola widzenia, zanim dojdzie do doskonałego poznania.

GRZEGORZ Z NYSSY

Prawda zdaje się wypowiadać swe ostatnie słowo. Ale to ostatnie rodzi nowe.

RABINDRANATH TAGORE

Wybrał PIOTR SIKORA

Zajmijmy się historią, w której Jezus spotyka się z bogatym młodzieńcem – tym razem w wersji św. Mateusza.

Spotkanie to opisują również św. Marek i św. Łukasz. Zawsze w takich sytuacjach warto zwrócić uwagę na szczegóły zapisu wyłącznie dla danego Ewangelisty, one bowiem oddają precyzyjnie jego zamysł – a to właśnie zamysł biblijnego pisarza kryje w sobie natchnioną Prawdę.

U Mateusza natrafiamy w naszym opowiadaniu na dwa takie „okruchy”.

Pierwszy: Jezus mówi do młodzieńca: „Jeśli chcesz wejść do życia – zachowuj przykazania”. Młodzieniec pyta: „Jakie?”. Pan odpowiada: „Nie zabijaj, nie cudzołóż, nie kradnij, nie mów fałszywego świadectwa, czcij ojca i matkę” – dotąd tekst Mateusza pokrywa się z redakcją pozostałych synoptyków, „Mateuszowy” Jezus jednak dodaje: „kochaj swego bliźniego jak siebie samego”.

Przykazanie miłości zaczerpnięte z Księgi Kapłańskiej. Jezus (Mateusz) chce powiedzieć, że dopiero dyscyplina przykazania miłości jest prawdziwym wypełnieniem drugiej tablicy Dekalogu. To dopiero „miłość nie wyrządza zła bliźniemu; przeto miłość jest doskonałym wypełnieniem Prawa”.

Nikogo nie zabiłeś? Nie dopuściłeś się cudzołóstwa? Ani kłamstwa? Dobrze! A w myślach też? A w pragnieniach również? A poza tym: co tak naprawdę tobą kierowało? Jaki miałeś motyw? Na pewno miłość? Może wyrachowanie? Bo co warte jest przestrzeganie przykazań bez miłości?

Element drugi – niektórzy mówią, że najważniejszy autorski moment redakcyjny Mateusza: Jezus – w dalszym ciągu dialogu z młodzieńcem – zwraca się do niego: „jeżeli chcesz być doskonały”.

Czy chcesz być doskonały?

To pytanie przenosi rozmowę na inny poziom. Do tej pory Jezus ze swoim rozmówcą poruszali się na poziomie Dekalogu, a więc Prawa. To bardzo ważny poziom. Ale nie ostatni.

Czy chcesz być doskonały?

Kto ma usłyszeć to pytanie w Kościele? Wyłącznie osoby życia konsekrowanego? A może ja?

„Jeśli chcesz być doskonały, idź, sprzedaj, co posiadasz, i rozdaj ubogim (...), i przyjdź, chodź za Mną”.

To jest propozycja pójścia w drogę. Nie na kilka dni – jak teraz, w sierpniu, na pieszą pielgrzymkę; to jest propozycja totalna: „chodź za Mną”.

W propozycji Jezusa jest ukryty ostry paradoks: zwykle nam się wydaje, że z dwóch sposobów życia – nomadów i wagabundów oraz życia osiadłego, ustabilizowanego – doskonalszy jest ten drugi. Te ludy, które osiągnęły odpowiedni poziom cywilizacyjny, zaczynają prowadzić osiadły tryb życia. Propozycja Jezusa idzie pod prąd temu doświadczeniu: „Chcesz być doskonały? Idź, a potem chodź za Mną”. Jak Abraham, który przyprowadzony przez Boga do Ziemi Świętej, nigdzie w niej nie osiadł, ale wędrował z miejsca na miejsce, przeczuwając, że obietnica Boża musi sięgać dalej. Zaproszenie do ciągłej drogi, zmiany, rozwoju, postępu generuje również wezwanie do ubóstwa – nigdy na wędrówkę nie zabiera się ze sobą „szafy”.

To zaproszenie dla każdej osoby. Zaproszenie także dla wspólnoty, którą tworzymy – Kościoła. On też jest wezwany do drogi, nie do stabilizacji; do zmiany, a nie do zastygnięcia w jałowym przyzwyczajeniu „zawsze tak było”; do ubóstwa, a nie do fałszywego poczucia bezpieczeństwa opartego na posiadaniu, prawie i układach.

Oczywiście – jeśli chce być dokonały. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (2 – 9 IX)

22. niedziela zwykła: Pwt 4, 1-2. 6-8; Ps 15; Jk 1, 17-18. 21b-22. 27; Mk 7, 1-8. 14-15. 21-23;
Poniedziałek: 1 Kor 2, 1-5; Ps 119; Łk 4, 16-30;
Wtorek: 1 Kor 2, 10b-16; Ps 145; Łk 4, 31-37;
Środa: 1 Kor 3, 1-9; Ps 33; Łk 4, 38-44;
Czwartek: 1 Kor 3, 18-23; Ps 24; Łk 5, 1-11;
Piątek: 1 Kor 4, 1-5; Ps 37; Łk 5, 33-39;
Sobota: Mi 5, 1-4a; Ps 96; Mt 1, 1-16. 18-23;
23. niedziela zwykła: Iz 35, 4-7a; Ps 146; Jk 2, 1-5; Mk 7, 31-37.

KON
STY
TUC

KRAJ

JAK BRONIĆ PRAWORZĄDNOŚCI

Oto pięć rad, które otrzymałem od rosyjskiego prawnika. Wiedział, co mówi: z odejściem od rządów prawa ma do czynienia nie od dziś.

MARCIN MATCZAK

Siergieja Gołuboka poznałem dwa lata temu w Pradze, na konferencji poświęconej kryzysowi rządów prawa w Europie Środkowej i Wschodniej. Wydał mi się bardzo pogodnym człowiekiem, co trochę mnie zaskoczyło. Adwokatów broniących w Rosji praw człowieka wyobrażałem sobie raczej jako postaci posępne, w stylu Clinta Eastwooda. Tymczasem rozmawiałem z dowcipnym, nad wyraz sympatycznym człowiekiem, który dzięki doświadczeniu zdobytemu w tak głośnych sprawach politycznych, jak proces Ildara Dadina, rzucał ciekawe światło na nasze sprawy.

Minęły dwa lata, polski kryzys po 3 lipca – wraz z wejściem w życie ustawy o Sądzie Najwyższym – wkroczył w nową, jeszcze bardziej krytyczną fazę. Pomyślałem, że na czas, w którym Polakom może przyjść się mierzyć z w pełni zależnymi od polityków sądami, potrzebujemy podpowiedzi kogoś, kto z podobną rzeczywistością ma do czynienia od dawna i na co dzień. Dlatego poprosiłem Siergieja o rady dla polskich obrońców praworządności – prawników i nieprawników. Udzielił pięciu, które uzupełniłem własnymi przemyśleniami.

1 Nie poddawajcie się desperacji. Nie ma takiej opcji jak zaprzestanie działań w obronie praworządności.

Polski kryzys konstytucyjny trwa już prawie trzy lata. To długi dystans. Mało było w tym czasie spektakularnych sukcesów, takich jak wymuszenie publicznymi protestami wet prezydenta do ustaw sądowniczych. Nie mieli obrońcy praworządności równie błyskawicznych efektów jak Czarny Marsz (wyjście na ulice tysięcy kobiet zmusiło rząd do odejścia od prób zaostrzenia przepisów aborcyjnych). To wszystko rodzi obawy: czy ludziom starczy sił, aby przychodzić na protesty, czy nie zniechęcą się lub nie poddadzą zwątpieniu.

Rada Siergieja jest prosta – praworządność to zbyt poważna sprawa, aby przestać jej bronić. Nawet jeśli protesty nie zmuszają rządu do wycofywania się z aktów prawnych niszczących państwo prawa, to są inne ważne efekty publicznej obrony praworządności. Badania opinii publicznej wskazują, że protesty są machiną komunikacyjną, która daje odpór rządowej propagandzie. Mimo ciągłego przekonywania przez telewizję publiczną, że rząd niczego złego w sprawie Konstytucji nie robi, większość Polaków wie, że Andrzej Duda złamał ustawę zasadniczą i że to prof. Małgorzata Gersdorf jest prawowitym pierwszym prezesem Sądu Najwyższego. Bez protestów tak by zapewne nie było, a demontaż praworządności przebiegałby szybciej.

To protesty utwierdziły też sędziów w przekonaniu, że należy użyć wszelkich dostępnych narzędzi prawnych, by zatrzymać niszczenie sędziowskiej niezawisłości – także z tego powodu odważyli się wystosować ↦

MARCIN BRUNIECKI / REPORTER

Protest w obronie wolnych sądów, Gdańsk, 24 lipca 2018 r.

↦ pytania prejudycjalne do Trybunału Sprawiedliwości, choć wiedzieli, że spotka ich za to atak. To namacalne efekty ogromnej akcji protestacyjnej, która od prawie trzech lat zalewa Polskę.

Protestować więc trzeba, ale trzeba to robić mądrze. Długość i częstotliwość trwania protestów powodują ryzyko ich inflacji. Te w sprawie sądownictwa odbywają się niemal codziennie i są organizowane przez wiele podmiotów. Oznacza to, że powszednieją i rozmieniają się na drobne. Dodatkowo, ponieważ jest ich wiele i odbywają się w różnych miejscach, pojawia się problem koordynacji i informowania o dacie i miejscu, które nie są przecież stałe. M.in. z tego powodu liczba protestujących bywa czasem niska. To zniechęca i daje pożywkę do kpin: w mediach społecznościowych zwolennicy rządu z lubością pokazują jakiś niezbyt liczny protest, opatrując go kpiącym „w mieście, które liczy kilkaset tysięcy mieszkańców, pod sądem protestuje 14 osób".

Może warto pomyśleć o zmianie struktury protestów? Zamiast wielu jeden, organizowany w stałym terminie, w stałym miejscu? Np. protest organizowany pod Sądem Najwyższym w Warszawie i jednocześnie w całej Polsce tego samego dnia, powiedzmy trzeciego dnia każdego miesiąca, aby przypominać o dacie, w której haniebna ustawa o SN weszła w życie? Taki protest miałby większą moc i bardziej wyrazistą wymowę. To rozwiązywałoby problem inflacji protestów: nie da się z taką samą siłą i przekonaniem manifestować codziennie, ale siłę można pokazać raz w miesiącu.

Protest organizowany jednego dnia miesiąca w całej Polsce byłby nie tylko bardziej efektywny, ale i bardziej efektowny. Można rzucić nań wszystkie siły, do odśpiewania hymnu zaprosić pod SN kilkudziesięcioosobowy chór, a na scenę zaprosić znanych ludzi, którzy dzięki swojej rozpoznawalności mogą lepiej dotrzeć z przekazem obrony Konstytucji do nieprzekonanych. Jeśli dodatkowo oprawa byłaby podobna do protestów z lipca 2017 r.: podniosła, spokojna, z dodatkiem *teatrum* w postaci świec, jest szansa na piękną i mądrą uroczystość, która przyciągnie więcej osób i zwiększy skuteczność protestu. Nie ma bowiem wątpliwości, że powinien być on kontynuowany.

2 Zachowajcie spokój. Działajcie bez histerii i dramatyzowania.

Walka o praworządność jest walką o świadomość Polaków.
Temu, kto rozumie znaczenie konstytucyjnych praw i wolności, trudniej je odebrać.

Właśnie, spokój, który trudno zachować, kiedy ktoś z uśmiechem niszczy wartości dla nas podstawowe. Z każdym nowym pomysłem legislacyjnym polskiego rządu wydawało się, że już gorzej być nie może, stąd w komentarzach często padały wielkie słowa: zamach stanu, pucz, przewrót. Potem okazywało się, że słowa się skończyły, bo skoro przejęcie Trybunału Konstytucyjnego było zamachem stanu, to jak nazwać wyrzucenie sędziów z Sądu Najwyższego?

Nie chodzi o to, by w obronie praworządności nie używać wielkich słów. To, co się stało w ostatnich trzech latach, to bez wątpienia zamach stanu, bo doszło do zmiany konstytucyjnego ustroju państwa bez zmiany Konstytucji. Chodzi jednak o to, by mimo ciągłego, bezczelnego lekceważenia podstawowych zasad, mimo buty niszczycieli zachować spokój. Nie dlatego, że nerwy szkodzą na serce (na marginesie: istnieje zapewne jakiś związek deklarowanej przez GUS zwiększonej śmiertelności wśród Polaków i zwiększonego poziomu stresu w życiu publicznym). Trzeba zachować spokój, ponieważ działanie bez histerii i dramatyzowania jest po prostu bardziej skuteczne.

Dla zewnętrznych obserwatorów sporu o wartości, zwłaszcza dla tych, którzy jeszcze nie zdecydowali, kto ma rację, ważną przesłanką jest sposób zachowania prowadzących spór. Mówi się, że ten, kto pierwszy daje się wytrącić z równowagi, ma słabsze argumenty. Z tego powodu narracja prowadzona w obronie praworządności powinna być spokojna i godna, unikająca ataków personalnych i zbyt nacechowanych emocjonalnie słów. Mistrzem jest tutaj prof. Adam Strzembosz – człowiek uznawany za najtwardszego i najbardziej kulturalnego obrońcę Konstytucji. Wzorujmy się na nim, a nie na stylu Krystyny Pawłowicz, który niektórzy z obrońców praworządności niestety przejmują. Niech nasza prawda będzie jak Pacyfik – potężna i spokojna. Przyjdzie taki moment, że zaleje kłamców.

3 Mówcie do szerokiej publiczności. Nawet kiedy występujecie przed sądem, który nie jest niezależny, mówcie przede wszystkim do ludzi.

Ta rada Siergieja dotyczy prawników. To oni coraz częściej mogą stawać przed sądem, którego skład okaże się wątpliwy. Podobnie może być z adwokatami i radcami prawnymi reprezentującymi swoich klientów przed składem Sądu Najwyższego, którego wybór dokona się w nieważnej procedurze (obwieszczenie prezydenta, które rozpoczęło tę procedurę, nie było kontrasygnowane przez premiera, a taka kontrasygnata zgodnie z Konstytucją jest konieczna, aby było ważne).

Rada ta będzie dotyczyć także sędziów i przedstawicieli innych zawodów prawniczych, którzy będą mieli nieszczęście trafić przed nowo powołaną Izbę Dyscyplinarną SN. Kiedy patrzy się na listę kandydatów do tej ostatniej, wydaje się bardzo prawdopodobne, że – zgodnie z zapowiedziami Zbigniewa Ziobry – stanowić ona będzie bat na nieposłusznych władzy prawników. Stanięcie przed sądem, który nie spełnia wymogów niezależności, wiąże się z pokusą wyniosłego milczenia. Tymczasem można tę okazję wykorzystać i pokazać wszystkim, jak działa zależny od polityków wymiar sprawiedliwości. Zwłaszcza w gorących sprawach politycznych sprawa sądowa staje się spektaklem, który żywo interesuje opinię publiczną. Ważne, aby skorzystać z okazji i mówić właśnie do niej.

Jest to wreszcie rada dla nas wszystkich – walka o praworządność jest walką o świadomość Polaków. Każda publiczna wypowiedź, która nieprawnikom objaśnia hermetyczny świat prawa i działające w nim mechanizmy, jest cenna. Jest ona bowiem elementem konstytucyjnej edukacji społeczeństwa, która długofalowo utrudni niszczenie praworządności. Temu, kto rozumie znaczenie konstytucyjnych praw i wolności, trudniej je odebrać.

4 Używajcie kreatywnych, nie tylko prawniczych argumentów. Pokazujcie np. powiązanie między stanem praworządności a rozwojem gospodar-

czym waszego kraju. To powiązanie nie jest dla ludzi wcale oczywiste.
Kolejna rada komunikacyjna – bo właściwa komunikacja jest w obronie praworządności kluczowa. Mamy tendencję, aby w dyskusji na temat prawa skupiać się na samym prawie, a nie na jego konsekwencjach dla innych sfer życia. A przecież to te sfery najbardziej ludzi interesują.

Mówienie, że warto bronić praworządności dla samej praworządności, ma oczywiście sens. Przecież ważne jest w społeczeństwie dotrzymywanie raz złożonych obietnic – czymże bowiem jest Konstytucja, jeśli nie obietnicą złożoną sobie nawzajem przez obywateli oraz obietnicą złożoną obywatelom przez władzę, że wszystkie strony będą się szanowały? Ideę tę pięknie pokazuje powszechny na protestach plakat o Konstytucji, który w jej nazwie podkreśla dwa słowa, dwie strony tej umowy, którymi są „ty" i „ja".

Ale praworządność dla samej praworządności nie musi wszystkich przekonywać. Ludzie zazwyczaj nie przejmują się prawami konstytucyjnymi, podobnie jak nie przejmują się prawami fizyki, dopóki nie uderzą samochodem w drzewo. Dlatego możliwość takiego uderzenia warto im wskazać. Wymaga to np. uwidocznienia, jak poważne mogą być konsekwencje naruszania praworządności dla gospodarki.

Związek pomiędzy stanem praworządności a rozwojem gospodarczym jest potwierdzony w teorii i w praktyce. Analizy teoretyczne wykazują np., że przejrzystość otoczenia prawnego i niezależne, stabilne orzecznictwo sądowe sprzyjają inwestycjom zagranicznym. Jest to teza dość jasna: inwestor, który ryzykuje swoje pieniądze budując fabrykę czy kupując istniejącą spółkę, chce mieć pewność, że jego własność będzie chroniona przed nacjonalizacją, arbitralnym przepadkiem czy innym aktem agresji ze strony rządzących w danym kraju. Inwestor, który takiej pewności nie ma, pójdzie gdzieś indziej.

W praktyce o skutkach niszczenia państwa prawa dla gospodarki przekonują się właśnie takie kraje jak Turcja, stające powoli na skraju kryzysu. Także Polska ma obecnie niski poziom inwestycji zagranicznych. Jednym z głównych czynników rezygnacji z inwestycji jest obawa przed upolitycznionymi sądami. Takie związki należy pokazywać, bo sprowadzają abstrakcyjne zasady praworządności na ziemię – do realnego świata naszego dobrobytu bądź kryzysu.

Ludzie zazwyczaj nie przejmują się prawami konstytucyjnymi, tak jak nie przejmują się prawami fizyki, dopóki nie uderzą samochodem w drzewo.

5 Dla pokazania bezsensu działań osłabiających praworządność używajcie spraw dotyczących pomocy prawnej między państwami (ekstradycja, europejski nakaz aresztowania) i dotyczących uznawania polskich wyroków za granicą.
Majstrowanie przy niezależności sądów może nie wydawać się bolesne w skutkach, dopóki skutki te obserwujemy wewnątrz naszego systemu prawnego. Widać to na przykładzie Trybunału Konstytucyjnego – po „dobrej zmianie" działa o wiele wolniej niż kiedyś, rozstrzyga mało spraw, ale zwyczajny obywatel nie cierpi z tego powodu szczególnie, a przynajmniej nie wie, że cierpi.

Każdy system prawny jest jednak powiązany z innymi. Decyzje polskich sądów są wykonywane za granicą, nakazy aresztowania wydawane przez polskie władze są tam egzekwowane. Oczywiście pod warunkiem, że polski wymiar sprawiedliwości spełnia minimum jakościowe, a tym minimum jest niezależność sądownictwa.

Sprawa Celmera [chodzi o oskarżonego o handel narkotykami Polaka, za którym Warszawa wystawiła europejski nakaz aresztowania, i pytanie prawne skierowane w związku z tym przez irlandzką sędzię Aileen Donnelly do Trybunału Sprawiedliwości UE – red.] pokazała jak na dłoni, że hucznie zapowiadane usprawnienie polskiego wymiaru sprawiedliwości skończyło się jego upośledzeniem. Wcześniej wydane przez Polskę nakazy aresztowania były przez inne kraje UE wykonywane automatycznie, obecnie będą dokładnie badane pod względem tego, czy Polska daje gwarancje sprawiedliwego procesu. To w najlepszym razie opóźni ściganie przestępców, a w najgorszym może je uniemożliwić. Wszystko dlatego, że polskie sądy przestały być niezależne od polityków.

Następnym negatywnym efektem upadku praworządności może być nieuznawanie polskich wyroków za granicą. Zwykłego człowieka może nie obchodzić stan TK, ale obejdzie go sytuacja, w której nie będzie mógł widywać swojego dziecka, choć w wyroku rozwodowym ma takie prawo, bo wyrok ten będzie w Europie uznawany za świstek papieru, a małżonek wywiezie dziecko do innego kraju Unii.

■ ■ ■

Pięć rad Siergieja sprowadza się do zachęty, aby nie ustawać w walce o praworządność mimo zniechęcenia, aby działać spokojnie, choć w człowieku wszystko się gotuje, i by nie zapominać, że walka o praworządność jest przede wszystkim walką o ludzkie umysły. Jest to także zachęta, aby tę walkę toczyć skutecznym słowem, które wskazuje na realne skutki niszczenia praworządności dla naszej kieszeni, dla naszego bezpieczeństwa i dla możliwości realizacji naszych życiowych planów.

Na zakończenie praskiego spotkania Siergiej powiedział: „Kryzys konstytucyjny, który przechodzicie teraz w Polsce, to nie epidemia. To szczepienie. Pozwoli wam lepiej zrozumieć, jaką wartością jest praworządność, i uodporni was na podobne sytuacje w przyszłości". Ciągle mu wierzę. Ale to, czy obecny kryzys polską praworządność zabije, czy wzmocni, zależy przede wszystkim od nas, i od tego, czy naszą dalszą obronę państwa prawa poprowadzimy mądrze.

© MARCIN MATCZAK

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO
Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego, nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem **powszech.net/wspieram**
faniMani.pl

M.LASYK / REPORTER

Pikieta działaczy Małopolskiej Solidarności przy sklepie Lidla. Kraków, luty 2014 r.

To nie jest kraj na solidarność

PIOTR WÓJCIK

Kilkanaście procent polskich pracowników należy do związków zawodowych. Warunki nie sprzyjają ich zakładaniu, wiele przedsiębiorstw z nimi walczy. A przecież związki odnoszą sukcesy.

Do zakładanego 38 lat temu NSZZ „Solidarność" należało 10 mln polskich obywateli, czyli ok. 80 proc. pracowników firm państwowych. Był to ewenement w skali świata. Członkostwo w Solidarności było doświadczeniem pokoleniowym dla całej generacji. „S" przyczyniła się do zmiany systemu, a w III RP założona przez nią partia wygrała wybory i rządziła całą kadencję. Dziś jednak aktywność związkowa wydaje się dziwnym archaizmem. W zdecydowanej większości firm nie działa żaden związek. Jak to się stało?

Związkowa posucha

Według danych GUS do trzech największych organizacji – NSZZ „Solidarność", Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych i Forum Związków Zawodowych – należy ok. 1,6 mln osób, czyli 11 proc. wszystkich pracujących. Oczywiście to nie wszystkie organizacje związkowe działające nad Wisłą – jest jeszcze choćby lewicowa Inicjatywa Pracownicza, branżowy Związek Nauczycielstwa Polskiego i wiele innych, jednak poza ZNP zrzeszają one wyraźnie mniej członków, więc nie podniosłyby znacząco statystyki. Członkowie związków skupieni są zresztą w kilku branżach. To przede wszystkim górnictwo i wydobycie – tu należy do nich aż 71 proc. pracowników. Zrzeszony w związkach jest także co trzeci pracownik branży energetycznej i co czwarty pracujący w edukacji. W opiece zdrowotnej do związków należy 21 proc. pracowników, a w administracji 15 proc.

Widać więc, że związki silne są przede wszystkim w sektorze publicznym – w branżach, w których dominuje kapitał prywatny, uzwiązkowienie jest wręcz śladowe. W handlu zrzeszonych jest 2 proc. zatrudnionych, a w budowlance 4 proc.

Trudno nie dojść do wniosku, że to wynik zmiany systemu: odeszliśmy od centralnego planowania, w którym dominowała własność państwowa, więc uzwiązkowienie musiało spaść, a w tych branżach, z których państwo się nie wycofało, odsetek związkowców wciąż jest znaczący. Taki wniosek jest jednak chybiony: w Europie jest wiele gospodarek rynkowych z dominującą rolą sektora prywatnego, w których uzwiązkowienie jest wyższe. Według danych Banku Światowego odsetek związkowców wynosi w Polsce ok. 12 proc., a więc nieco więcej, niż wskazuje GUS. Tymczasem w Szwecji, Finlandii i Danii dochodzi on do 70 proc., w Belgii wynosi 55 proc., a we Włoszech nieco poniżej 40 proc. Widać, że gospodarka rynkowa może iść w parze ze związkami zawodowymi.

Wśród drobnych firm i freelancerów

Prawdy należy więc szukać gdzie indziej, a składa się na nią kilka czynników. Pierwszym jest wielkość zakładów pracy. W dużych prywatnych zakładach przemysłowych, choćby w branży motoryzacyjnej,

związki potrafią działać prężnie. W czasach transformacji upadło jednak wiele dużych zakładów, a na ich miejsce powstały mniejsze podmioty. Związek zawodowy według polskich przepisów musi założyć przynajmniej 10 osób. To wyklucza tworzenie go w mikroprzedsiębiorstwie, czyli firmie zatrudniającej do dziewięciu osób. Według OECD w Polsce w takich firmach pracuje ok. 16 proc. pracowników.

Przepisy utrudniają także rozpoczęcie działalności związku w firmach małych, czyli zatrudniających między 10 a 49 osób, gdzie pracuje kolejne 15 proc. zatrudnionych. W końcu w takiej firmie związek musiałoby założyć od 100 do 20 proc. załogi. Innymi słowy: dla ok. 30 proc. polskich pracowników główną przeszkodą w założeniu organizacji związkowej jest wielkość przedsiębiorstwa, w którym spełniają się zawodowo.

Kolejny czynnik, który powoduje, że w kraju Solidarności członkostwo w związkach jest tak słabo rozpowszechnione, to liczba pracowników na nietypowych formach zatrudnienia. Według GUS jest ich aż 1,1 mln, a zdecydowana większość (66 proc.) pracuje na umowach-zleceniach. Według aktualnego stanu prawnego Polacy pracujący na umowach cywilnoprawnych nie mogą zrzeszać się w związki, i to pomimo że w czerwcu 2015 r. Trybunał Konstytucyjny stwierdził, iż taka dyskryminacja jest niezgodna z ustawą zasadniczą. Wiele czasu zabrało parlamentarzystom uwzględnienie tego wyroku, ale należy docenić, że wreszcie im się udało: od 1 stycznia 2019 r. osoby pracujące na umowach cywilnoprawnych będą mogły wstępować do organizacji związkowych. To powinno nieco zwiększyć uzwiązkowienie, ale nie przesadnie – zapewne większość freelancerów nie odczuwa potrzeby zrzeszania się.

Karuzela pracy

W Polsce wciąż jest duża rotacja na rynku pracy. Umowy na czas nieokreślony są stosunkowo mniej rozpowszechnione niż w zdecydowanej większości rozwiniętych krajów świata. Według OECD aż 26 proc. polskich pracowników ma umowy na czas określony, co jest czwartym najwyższym wynikiem wśród członków tej organizacji (średnia dla OECD to 11 proc.). Pracownicy na umowach na czas określony mają mniejszą motywację wstępowania do organizacji pracowniczych. Po pierwsze, nie czują się jeszcze związani ze swoim miejscem pracy, po drugie mogą się obawiać, że wstąpienie do związku będzie źle odebrane przez pracodawcę, co może mieć wpływ na jego decyzję o przedłużeniu umowy.

Siłą rzeczy do związku nie wstąpią ci, którzy pracują na własny rachunek jako osoby fizyczne prowadzące działalność gospodarczą. Tu również mamy nadreprezentację: według Eurostatu samozatrudnieni stanowią w Polsce ok. 18 proc. wszystkich zatrudnionych, co jest trzecim najwyższym wynikiem w UE (średnia unijna to 14 proc.). Trzeba pamiętać, że część z nich nie pracuje tak z własnej woli, tylko została postawiona pod ścianą przez restrukturyzujące się przedsiębiorstwo. Wielu samozatrudnionych świadczy usługi tylko jednemu podmiotowi, więc charakter ich pracy niczym nie różni się od zwykłego pracownika. Warto rozważyć umożliwienie im przystępowania do zakładowych organizacji związkowych.

Na każdego znajdzie się paragraf

Nie należy zapominać, że ze związkami walczy wiele polskich przedsiębiorstw. Chyba najgłośniejszy był przypadek Lidla: zakładową komórkę Solidarności udało się założyć w tej sieci za drugim podejściem, jednak dość szybko zaczęły pojawiać się napięcia między nią a kadrą kierowniczą. Związek wszedł na drogę sporu zbiorowego z pracodawcą. Następstwem kolejnych napięć było zwolnienie szefowej organizacji, Justyny Chrapowicz, i jej zastępcy. Warto pamiętać, że w Polsce związkowca można zwolnić tylko dyscyplinarnie, co właśnie uczyniono. Co ciekawe: w Niemczech, czyli w kraju pochodzenia właściciela sieci, związki działają, choć też mają pod górkę. Jak widać, polska kadra menedżerska jest skuteczniejsza w walce z nimi.

Podobnie w instytucjach państwowych. Krótko po wymianie kierownictwa w mediach publicznych z radiowej Trójki zwolniono dyscyplinarnie szefa tamtejszego związku Pawła Sołtysa. Wygrał sprawę przed sądem, więc został przywrócony do pracy. Obecnie podobna historia ma miejsce w spółce LOT, z której wyrzucono szefową tamtejszej organizacji, Monikę Żelazik.

Niezasłużona zła reputacja

Związki mają w Polsce wyjątkowo złą prasę. Stereotypowy obraz działacza to uprzywilejowany wąsaty pan w średnim wieku i kraciastej koszuli, który co rusz wysuwa nieuprawnione roszczenia. Związki uważa się też za wehikuł spełniania ambicji ich szefostwa i walki o partykularne interesy członków. Trudno się jednak z tym zgodzić – w ostatnim czasie związkowcy mają sporo sukcesów, które ułatwiają życie najsłabszym grupom zawodowym.

Relatywnie wysoka płaca minimalna, według parytetu siły nabywczej wyższa nie tylko od wszystkich państw regionu, ale też Grecji i Portugalii, to efekt ich nacisków w Komisji Trójstronnej. Wprowadzona w ubiegłym roku godzinowa stawka minimalna to także efekt długotrwałej kampanii związków. Podobnie z ograniczeniem handlu w niedzielę – to rozwiązanie postulowane było głównie przez Solidarność, choć handel jest u nas najmniej uzwiązkowioną branżą.

Związki zawodowe w Polsce powinny znaleźć nowy pomysł na siebie. Mogłyby np. skupić się na działalności na szczeblu centralnym i branżowym, a w zakładach wspierać powstawanie rad pracowników, które przejęłyby ich zadania. Dzięki temu także pracownicy mniejszych firm mieliby swoją reprezentację, a duże organizacje wykorzystałyby swój potencjał do skuteczniejszego dbania o interesy wszystkich pracujących w Polsce. ©

TP

Kluby „TP” zapraszają

WARSZAWA, sobota, 1 września, godz. 16.00
Kawiarenka. Gościem będzie Irena Dawid-Olczak, współzałożycielka fundacji La Strada. Miejsce: Stacja Muranów (ul. Gen. Andersa 13).

ZIELONA GÓRA, wtorek, 4 września, godz. 18.00
Spotkanie „Tischner czyta katechizm: Między dwoma światami”.
Miejsce: Piekarnia Cichej Kobiety (ul. Fabryczna 13).

Niech się mury pną do góry

PIOTR KOZANECKI

Specustawa mieszkaniowa nie zepsuje przestrzeni w miastach i nie pogłębi chaosu urbanistycznego, bo niewiele zostało do zepsucia. Ale też sytuacja na rynku nieruchomości się nie poprawi.

W najbliższych miesiącach nowe uregulowania zwiększą bałagan w prawie, zdezorientują sądy i skołują urzędników. Na długo przed tym, jak podpisał je prezydent, zrobiły jednak coś znacznie gorszego.

Wielka zmiana do kosza, mała zmiana do Sejmu

Żeby to dostrzec, musimy się cofnąć do lipca 2012 r. Rząd PO-PSL powołał wówczas Komisję Kodyfikacyjną Prawa Budowlanego. Wielki, zmieniający dziesiątki ustaw projekt zaczął być z czasem nazywany kodeksem urbanistyczno-budowlanym, ale poprzedni rząd prac nad nim nie ukończył. Ekipa PiS dorobku poprzedników bynajmniej nie wyrzuciła: konsultowała, sprawdzała, zmieniała, debatowała. Materia była skomplikowana i mało medialna, więc politycy na jej temat do oczu sobie nie skakali.

Mijały miesiące, a finał wciąż był daleko. Pojawił się więc nowy pomysł: skoro prace nad kodeksem trwają tak długo, może dałoby się uchwalić coś mniejszego, co choć trochę pozwoliłoby zapanować nad przestrzennym chaosem. Grupa ekspertów z Ministerstwa Infrastruktury i Rozwoju przygotowała „plan minimum" – projekt tzw. ustawy inwestycyjnej. Miała ona przede wszystkim ograniczyć nieco wydawanie niesławnych wuzetek, czyli decyzji o warunkach zabudowy (gminy na wniosek inwestora określają za ich pomocą, w sposób niedokładny i ograniczony, co i jak może zostać zbudowane na terenie, który nie jest objęty miejscowym planem zagospodarowania przestrzennego). Wprowadzała także obszary zorganizowanego inwestowania, czyli narzędzie współpracy inwestorów z gminą w celu szybkiego uchwalenia planu miejscowego i podziału zadań inwestycyjnych, w tym urealnienie ich finansowania. Do tego dodano garść mniej efektownych, ale przydatnych drobiazgów.

Deweloperzy zachwyceni nie byli, bo przyzwyczaili się do wuzetek, ale była szansa, że wprowadzenie okresów przejściowych ich uspokoi. Projekt miał pozytywną ocenę Towarzystwa Urbanistów Polskich oraz, co dawało mu niezłą rękojmię, entuzjastyczną niemalże opinię Kongresu Ruchów Miejskich. Ta ostatnia organizacja apelowała do premiera Morawieckiego o „przyjęcie ustawy bez osłabiania jej kluczowych regulacji dotyczących planowania przestrzennego".

W styczniu 2018 r. projekt trafił do Komitetu Rady Ministrów, ale już w kwietniu niespodziewanie go wycofano pod pretekstem „konieczności weryfikacji i dopracowania zawartych w nim rozwiązań". Kiedy pojawił się pierwszy projekt specustawy mieszkaniowej? Zgadli Państwo: chwilę wcześniej – w marcu 2018 r. Żeby nikt nie protestował, w maju powołano wprawdzie w ministerstwie nowy zespół, który ma zrewidować dorobek prac nad kodeksem urbanistyczno-budowlanym, ale już pod skromniejszym hasłem nowelizacji prawa budowlanego i ustawy o planowaniu przestrzennym. Pomysł wielkiego kodeksu rząd wyrzucił więc do kosza.

Innymi słowy: odpuszczono zarówno ustawę inwestycyjną, jak i kodeks, które umożliwiłyby ogarnięcie chaosu przestrzennego. W zamian dostaliśmy specustawę, która chaosu nie tylko nie uporządkuje, ale w rękach nieostrożnej rady gminy może stać się narzędziem jeszcze go potęgującym. To trochę tak, jakby przez pięć lat pracowano nad wielką reformą systemu ochrony zdrowia, a potem te prace zarzucono, wprowadzając za to parę zmian w finansowaniu leczenia chorób krążenia. Oczywiście, choroby krążenia są ważne. Ale służba zdrowia to jednak szersze zagadnienie.

Chaos przestrzenny, chaos prawny

Najbardziej kontrowersyjnym zapisem specustawy jest prymat uchwały o lokalizacji inwestycji mieszkaniowej nad miejscowym planem zagospodarowania przestrzennego. Co oznacza? Wyobraźmy sobie duży śródmiejski kwartał objęty, zazwyczaj po dwóch-czterech latach prac, takim planem. Są na nim działki już zabudowane, są drogi, są nieużytki. Plan określa, gdzie można postawić budynki mieszkaniowe, gdzie lokale handlowe, usługowe lub przemysłowe. Który teren przeznacza się na rekreację, który na zieleń urządzoną, gdzie trzeba zostawić otwarte dla wszystkich przejście pomiędzy budynkami. Określa dopuszczalną wysokość, a także linię zabudowy, czyli wyznaczoną na działce granicę, poza którą budynek ma nie wychodzić.

Te wszystkie z trudem wypracowane kompromisy rada będzie mogła unieważnić jednym, procedowanym nie dłużej niż 90 dni dokumentem. Ten dokument to wprowadzona specustawą uchwała o lokalizacji inwestycji mieszkaniowej. Inwestor, który będzie chciał wybudować mieszkania, nie będzie musiał brać pod uwagę zapisów planu, a jedynie znacznie bardziej ogólne zapisy studium uwarunkowań rozwoju przestrzennego. Wystarczy, że złoży u wójta, burmistrza lub prezydenta wniosek i po dwóch (w uzasadnionych przypadkach: po trzech) miesiącach otrzyma dokumenty pozwalające na rozpoczęcie starań o wydanie pozwolenia na budowę. Mieszkaniówka będzie mogła powstać na terenie przeznaczonym do tej pory na coś innego, budynki nie będą musiały zachować jakiegokolwiek nawiązania do okolicy, w miastach powyżej 100 tys. mieszkańców będą mogły mieć nawet 14 pięter.

– To dramat, bo ustawa daje sygnał, że planowanie jest złe, że stanowi jakąś przeszkodę – denerwuje się prof. Tadeusz Markowski, szef Komitetu Przestrzennego Zagospodarowania Kraju PAN. – Zapomina się, że chaotyczne procesy urbanizacji to wyzwanie cywilizacyjne i planowanie ma się im przeciwstawić.

Mogło być jeszcze gorzej, bo był pomysł, żeby uchwałę lokalizacyjną wydawała nie

rada, lecz wojewoda – jako decyzję związaną, czyli taką, gdzie po złożeniu wniosku inwestora nie ma możliwości odmowy. To nie przeszło, ale liczba problemów, które generuje przyjęty ostatecznie zapis, jest potężna. Łącznie z ocierającymi się o konstytucję, na co zwróciła uwagę w piśmie do prezydenta Anna Rembowicz-Dziekciowska, była członkini rządowej Głównej Komisji Urbanistyczno-Architektonicznej (usunięta właśnie za krytykę specustawy), kierująca bydgoską Miejską Pracownią Urbanistyczną.

– Zgodnie z zapisami art. 87 ust. 2 Konstytucji: „źródłem powszechnie obowiązującego prawa RP są na obszarze działania organów, które je ustanowiły, akty prawa miejscowego". Takim aktem jest plan miejscowy. Specustawa tymczasem stanowi, że „inwestycje mieszkaniowe lub inwestycje towarzyszące realizuje się niezależnie od istnienia lub ustaleń miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego". Skoro Konstytucja wskazuje, iż prawo miejscowe jest źródłem powszechnie obowiązującego prawa, ustawa nie może regulować tej materii w sposób odmienny – tłumaczy Rembowicz-Dziekciowska.

Żeby było jeszcze ciekawiej, ustawodawca nie zdecydował się na nazwanie uchwały lokalizacyjnej „aktem prawa miejscowego". Wprowadził natomiast kolejny element układanki: uchwałę o standardach urbanistycznych, którą za „akt prawa miejscowego" uznał. Taką uchwałę rada gminy może podjąć równolegle z uchwałą lokalizacyjną i zapisać w niej np. ograniczenie wysokości nowego budynku. Oznacza to, że dla jednego terenu będą obowiązywały dwa sprzeczne ze sobą akty prawa miejscowego (starszy plan zagospodarowania i nowsza uchwała o standardach urbanistycznych), a nad nimi jeszcze uchwała o lokalizacji inwestycji.

– Najgorsze jest chyba to, że takie rzeczy będą potem musieli mieszkańcom i inwestorom tłumaczyć urzędnicy i samorządowcy. To na nich skupią się wszystkie negatywne skutki tak stanowionego prawa – mówi zrezygnowana Rembowicz-Dziekciowska.

Frapująca jest przyszłość wspomnianych już wuzetek. Muszą one być zgodne „z przepisami odrębnymi", a uchwała o standardach urbanistycznych takim przepisem odrębnym będzie. Teoretycznie więc możliwe jest takie jej wykorzystanie, żeby moc wuzetek ukrócić. Do tego jednak potrzebna jest sprytna rada gminy.

ADAM CHEŁSTOWSKI / FORUM

Rondo Ignacego Daszyńskiego, Warszawa, luty 2018 r.

Zaletą ustawy wydają się też przepisy mające wyeliminować budowanie bloków w przysłowiowym polu. Określono maksymalną odległość inwestycji mieszkaniowej od szkoły, żłobka i przedszkola oraz przystanku komunikacji zbiorowej, a także szerokość drogi.

– Oddział szkolny się zorganizuje w pierwszej lepszej budzie, a w ramach przystanku postawi się słupek i puści autobus raz na godzinę – studzi jednak entuzjazm prof. Markowski. – Ustawa *de facto* forsuje możliwość lokalizowania inwestycji tam, gdzie należałoby podejmować działania polegające na rezygnowaniu lub wycofywaniu zabudowy, np. na terenach otulin, na obszarach zalewowych i na gruntach rolnych w granicach administracyjnych miast. Może więc utrudnić samorządom prowadzenie polityki ukierunkowanej na reurbanizację i rewitalizację śródmieść.

„Lex deweloper" nie cieszy nawet deweloperów

Medialna nazwa specustawy mieszkaniowej, „lex deweloper", sugeruje, że przynajmniej ta grupa otwiera szampana.

– Oczywiście, zmiana jest pozytywna w części administracyjnej, bo narzuca radzie gminy termin podjęcia uchwały lokalizacyjnej [bądź uchwały odrzucającej tę możliwość, bo to gmina też może zrobić – red.] i daje tym samym szansę na przyspieszenie procesu inwestycyjnego – deklaruje Grzegorz Kiełpsz, prezes Polskiego ↦

↦ Związku Firm Deweloperskich. – Ale nadal trzeba będzie przygotować ogromną dokumentację, spełnić założenia potencjalnej uchwały o standardach urbanistycznych, złożyć projekt budowlany. A decyzja tak czy inaczej pozostaje w rękach rady.

Nawet możliwość obejścia miejscowego planu nie cieszy branży. – To niezdrowe i demoralizujące, choć z drugiej strony – plany czasami są naprawdę złe. Być może zdarzy się sytuacja, że rada naprawi swój błąd – zaznacza Kiełpsz.

Eksperci kwestię przyspieszenia procesu inwestycyjnego uznają za wątpliwą. Na podjęcie uchwały lokalizacyjnej rada ma mieć 60–90 dni, ale przecież jest to działanie z zakresu stanowienia prawa, a nie prosta czynność administracyjna, jak wydanie dowodu osobistego. Niewykluczone, że z pytaniem, czy radzie gminy można narzucić termin podjęcia takiej uchwały, będą się mierzyć sądy.

Jeszcze mniej entuzjazmu Kiełpsz wykazuje wobec danych przez specustawę możliwości budowania na terenach dotychczas zamkniętych, np. na gruntach kolejowych, przemysłowych czy portowych.

– Tereny trzeba najpierw kupić, a to często nie jest łatwe. Ziemia poprzemysłowa może być zanieczyszczona. Przepis jest w porządku, ale nie można mówić o euforii – uważa prezes PZFD.

Tym bardziej że w branżę deweloperską wchodzą gracze państwowi, z BGK Nieruchomości, czyli spółką córką Banku Gospodarstwa Krajowego na czele. Grunty od PKP czy Poczty Polskiej łatwiej będzie przejąć podmiotowi publicznemu. Prof. Markowski mówi wprost, że specustawa tworzy benefity dla tego sektora. – Drobni deweloperzy dalej będą budować na wuzetkach – uważa.

250 milionów mieszkańców Polski

Mamy w Polsce ok. 360 mieszkań na 1000 mieszkańców. Unijna średnia to 435 mieszkań, rekordziści mają po 530–540. Żeby dojść do średniej, powinniśmy zbudować grubo ponad 2 miliony mieszkań. Szacunki urbanistów mówią, że gdyby budować tam, gdzie w uchwalonych już miejscowych planach przewidziano, znalazłoby się miejsce dla 60–80 milionów obywateli. A gdyby zbudować wszystko to, co na mieszkaniówkę przeznaczono w gminnych studiach uwarunkowań rozwoju, zmieścilibyśmy i 250 milionów. Wychodzi na to, że ziemi mamy pod dostatkiem, a gminy nie stawiają deweloperom przeszkód.

> Mamy w Polsce około **360 mieszkań na 1000 mieszkańców.** Unijna średnia to 435 mieszkań – żeby do niej dojść, powinniśmy zbudować grubo ponad dwa miliony mieszkań.

– Liczby się zgadzają – uśmiecha się Kiełpsz. – Tylko że te grunty, które są przeznaczone pod zabudowę, w większości nie nadają się do prowadzenia inwestycji. Problemem dla gmin pozostają koszty uzbrojenia tak ogromnych obszarów. Poza tym mieszkania mogą być budowane tam, gdzie ludzie chcą mieszkać. A gminy mające po 20–30 tysięcy mieszkańców szacują, że osiedli się w nich w najbliższych dekadach 100 tysięcy.

– Planowanie zostało wykorzystane do spekulacji gruntami – uzupełnia prof. Markowski. – Wszyscy chcieli automatycznego odrolnienia wszystkich gruntów, zamieniania terenów rolnych na działki budowlane, najlepiej poza planem, bo z tego można zyskać wysoką rentę budowlaną. I stąd mamy w studiach grunty dla 200–250 milionów ludzi.

Tego specustawa nie rozwiąże, bo uchwały lokalizacyjne muszą być zgodne właśnie z tymi przeszacowanymi studiami. Zdecydowana większość moich rozmówców nie wierzy też, że przyczyni się ona do budowy większej liczby mieszkań ani że wpłynie na obniżkę ich cen.

Co przeszkadza w budowaniu szybciej i więcej?

– Po pierwsze, zatrzymanie podaży ziemi, czyli przekazywanie ogromnej części gruntów do Krajowego Zasobu Nieruchomości na realizację programu Mieszkanie Plus. Po drugie, brak rąk do pracy i wzrost cen materiałów. Po trzecie, budujemy tyle, ile jest w stanie wchłonąć rynek – wylicza prezes Kiełpsz.

Czwarty powód podaje Rembowicz-Dziekciowska: – Możliwości nabywcze. Cały czas mamy niekorzystne relacje pomiędzy zarobkami a ceną mieszkania – przypomina.

Co z kolei wiąże się z tym, że mieszkania, zwłaszcza w największych miastach, są dobrą inwestycją. I to nie tylko dla posiadających nadwyżkę gotówkę najbogatszych, ale także dla zagranicznych funduszy inwestycyjnych.

– No i ciągle się myśli pod kątem tego, że mieszkania mają być kupowane, nie wynajmowane – dodaje Rembowicz-Dziekciowska.

Ten ostatni element miał się zmienić wraz z programem Mieszkanie Plus i powstaniem Krajowego Zasobu Nieruchomości, o którym wspomniał Kiełpsz. Gminy mają obowiązek przekazywać do KZN informacje o leżących w ich granicach działkach należących do Skarbu Państwa (np. do Agencji Mienia Wojskowego lub do Lasów Państwowych) i nadających się potencjalnie pod mieszkaniówkę, a KZN ma gospodarowanie wybranymi działkami przejmować i podpisywać umowy z inwestorami, którzy zobowiążą się do budowy mieszkań pod wynajem z regulowanym czynszem. Ale na razie Mieszkanie Plus rozkręca się powoli, informacje do KZN płyną w żółwim tempie.

– Głównie brak lokali dostępnych dla 40 proc. Polaków bez mieszkań, którzy za mało zarabiają, żeby dostać kredyt, a za dużo, żeby dostać mieszkanie komunalne – komentuje prof. Bolesław Stelmach, p.o. dyrektora Narodowego Instytutu Architektury i Urbanistyki.

To właśnie Stelmach, powołany na stanowisko przez wicepremiera Piotra Glińskiego, celnie wypunktował błędy w specustawie i przyczynił się do złagodzenia jej kształtu. W całości zatrzymać jej nie mógł, a na widok ostatecznie podpisanego przez prezydenta dokumentu uznał, że lepsze to niż dalsze chowanie przez państwo głowy w piasek i uważanie, że kwestię mieszkaniową rozwiąże niewidzialna ręka rynku.

Coś w tym jest, a sam NIAiU jest przykładem instytucji, którą mogły powołać poprzednie rządy. Wszystko było podane na tacy, prof. Stelmach miał poparcie środowiska i sposoby na ogarnięcie chaosu przestrzennego. PO jednak pomysł odrzuciło. Powołanie NIAiU pójdzie na konto PiS. Podobnie jak podjęcie tematu deficytu mieszkań, reprywatyzacji czy wsparcia dla rodzin z dziećmi. A że proponowane przez tę partię rozwiązania nie zawsze się spinają w szczegółach? W te przecież nie wszyscy mają czas się zagłębiać.

© PIOTR KOZANECKI

ANNA

Dziewit-Meller:
Pożytki z tryskania

Moja mieszczuchowatość inna zapewne jest od tej hodowanej w domach krakowskich czy warszawskich, a nawet poznańskich, jest bowiem podszyta bogato robotniczym ściegiem górnośląskim. Niemniej jestem dzieckiem miasta, a nawet miejskiej konurbacji, miejsca, w którym z jednej miejscowości przechodzi się do drugiej, a potem trzeciej, i nawet się nie zauważa, że zmieniają się cyfry kodu pocztowego. Człowiek mógł skakać po dachach chlewików (komórek, nierzadko już wówczas przerobionych na garaże) znajdujących się w podwórzach familoków i nawet nie wiedział, jak się jedną nogą znajdował w Rudzie Śląskiej, a drugą już w Świętochłowicach (chyba że akurat stał w rozkroku między Siemianowicami a Chorzowem lub Bytomiem i Zabrzem). Dla wszystkich zaś miejskich dzieci, zwłaszcza w tamtych zamierzchłych czasach, największą atrakcją lata były fontanny, do których ciągnęła nas siła pozaziemska, zew tej smrodliwej wody, w której demokratycznie mieszały się najróżniejsze wydzieliny – ludzkie, psie, gołębie i czort jeden wie, jakie jeszcze. Och, wsadzić nogę obutą w plastikowe sandałki do zimnej toni w nieokreślonym kolorze, gdy upał dusił, nawiewając nad Wojewódzki Park Kultury i Wypoczynku nowe pyły znad zakładów azotowych lub Huty Kościuszko – to było marzenie, któremu ustępowało wyłącznie zmuszenie rodziców, by zabrali nas na słynne kąpielisko Fala, którego sława niosła się daleko poza GOP (Górnośląski Okręg Przemysłowy), albowiem poznane w Beskidach dzieci z Bielska-Białej też słyszały o basenie, w którym fale mogą ściągnąć majty nierozważnym użytkownikom.

Fontanny w chorzowskim Parku Kultury – niech nigdy nie zapomnę waszej cementowo-betonowej urody. O, Pelikany; o, Foki; o, Dziewczyno z dzbanem; o, Fontanno przy Pawiach i ty, Ślimaku – jesteście częścią muzeum pamięci mego dzieciństwa: jak kolejka naziemna ELKA, z której tak wspaniale można było pluć na głowy zwiedzających chorzowskie ZOO, oraz jak niedźwiedzie polarne w owym ZOO mieszkające, które służyły mojemu dziadkowi za przykład bestialstwa zadawanego zwierzętom przez ludzi („Patrz dziecko – ten niedźwiedź nie ma łapy! Ten drugi mu łapę zeżarł! – przypuszczał bardziej, niż twierdził dziadek. – A wiesz czemu? Bo miejsca tu nie mają! Wybiegu nie mają! Moczą się tylko w tym baseniku, wanny ludzie w domach miewają większe!" – mówił, a mnie łzy kapały do waty cukrowej).

Gdy nieco podrosłam, straciłam zainteresowanie fontannami, żywiąc wręcz dezaprobatę wobec nierozważnych matek i ojców pozwalających swoim dzieciom korzystać do woli z pławienia się w – jak przypuszczałam – bakteriach e. coli, gronkowcu złocistym i całej plejadzie innych zabójczych organizmów jednokomórkowych, co się sanepidowi nie kłaniają. Świat fontann na chwilę powrócił, gdy zaczęłam często latać do Gruzji, albowiem rządzący w owym czasie tym kaukaskim krajem Micheil Saakaszwili miał na ich punkcie ewidentnego hopla. Pamiętam, jak w Tbilisi co roku pojawiały się kolejne megafontanny, tryskające pod gruzińskie niebo entuzjastycznymi strumieniami, podświetlane kolorowo, mieniące się w nocnym mroku miasta jak kamienie szlachetne. Można by pewnie doszukiwać się jakichś freudowskich nawiązań, próbować analizy tych wodotrysków rozsianych po całej stolicy, ale doprawdy – każde dziecko dziś wie, że eksprezydent Saakaszwili analizowany być powinien z zupełnie innych względów niż zamiłowanie do fontann, a każdy z tych powodów bardziej nabrzmiały od poprzedniego. Niemniej Gruzja fontannami jest silna, dość rzec, że w Batumi (stanowiącym kaukaski odpowiednik Las Vegas; kto był, to potwierdzi) zbudowano fontannę tryskającą nie wodą jednak, lecz smakowitą i wysokoprocentową czaczą (gruzińską wódką robioną jak grappa, z wytłoczyn winogronowych). Co prawda tylko raz dziennie i zaledwie przez kwadrans, ale i tak promocyjna siła tego newsa okazała się porażająca i do Batumi ciągnęły tłumy pobożnych mieszkańców Tucji, Iranu i Azerbejdżanu już nie tylko, by legalnie pograć w kasynach, ale również, by (gdy Allah nie patrzy) skosztować wódeczki z miejskiego rurociągu.

A piszę o tym wszystkim, bo urok fontann okazuje się nieprzemijający. Oto przecież na oparciu hotelowego krzesełka suszą się mokre ubrania moich dzieci, które spośród wszystkich atrakcji Amsterdamu, także tych płatnych, boleśnie raniących kieszenie rodziców, na królową wyjazdu wybrały fontannę przy muzeum nauki Nemo, dostępną za darmoszkę, brudną jak wszystkie inne fontanny świata, pełną rozkrzyczanych i szczęśliwych holenderskich dzieci, gołębi i psów. Są we wszechświecie rzeczy stałe – arytmetyka, prędkość światła i miłość dzieci do fontann. ©

TP

W NAJBLIŻSZYM NUMERZE „TYGODNIKA" ZNAJDĄ PAŃSTWO SPECJALNY DODATEK

poświęcony nowemu Konkursowi im. Karola Szymanowskiego

Jak wiadomo, konkursów muzycznych jest już na świecie zbyt wiele. Jeżeli więc pojawia się kolejny, i to organizowany z niecodziennym rozmachem, wraz z nim pojawiają się też pytania: Dlaczego? Po co? Co chcemy osiągnąć? – I na te właśnie pytania postaramy się odpowiedzieć w następnym tygodniu, w dodatku poświęconym nowemu Konkursowi im. Karola Szymanowskiego, który odbędzie się we wrześniu w Katowicach.

NOSPR

REPORTAŻ

DZIKI OGRÓD

Biorę worek orzechów i jak sójka rozrzucam je to tu, to tam. Po latach odnajduję drzewa. Nawet się dziwię, że coś z nich wyrosło. Ale w ogrodzie porażek nie widać – opowiada Łukasz Łuczaj.

TEKST ANNA GOC | ZDJĘCIA JACEK TARAN DLA „TP"

Chodź. Słońce jeszcze długo nie zajdzie.

ZAŁÓŻ WYGODNE BUTY. Okryj ramiona. Masz kurtkę? Dobrze. Ale nim wyruszymy, usiądź ze mną na werandzie. Możesz na moim miejscu. Podnieś głowę. Spójrz, o tam, na wprost. Widzisz? Tam rozpalam ogień, gdy dzieje się coś ważnego.

Czy byłem tu wcześniej? Raz. Na piechotę. Szedłem niebieskim szlakiem. Zabłądziłem, usiadłem na którejś z miedz. Pamiętam łyse pola. Skąd wiem, że to tu? Bo było widać cerkiew w Rzepniku. Wtedy, trzydzieści lat temu, było lato, szedł ze mną kuzyn. Powiedziałem do niego: jak można mieszkać w takiej dziurze. Śmiał się.

MÓJ DOM RODZINNY był trzy górki dalej, potem wyniosłem się do Warszawy. Duchy przodków jednak wzywają. Pamiętam marzenie z dzieciństwa – chciałem znać wszystkie rośliny, wszystkie zwierzęta i historię miejsca, okolic Krosna, w którym się urodziłem. Ziemię kupiłem łatwo, chyba nikt nie był do niej przywiązany w czasach kryzysu w rolnictwie. Pagórki tu nie za wysokie, nie za strome.

Nie wiem, czy chodziło o ucieczkę. Bo niby skąd? Z miasta? Dalej tam jeżdżę – prowadzę zajęcia ze studentami, biorę udział w konferencjach. Opozycja miasto-wieś się zatarła. Od ludzi? Chyba nawet próbowałem, ale za dużo gadam, żeby gadać do siebie.

CHODŹMY DALEJ OD DOMU. Pójdę pierwszy. Sześć działek należało do sześciu gospodarzy, którzy oddali je potem na państwo za emerytury. Wydeptane między nimi ścieżki, jak granice, zarastają najdłużej.

Człowiek, który szacował wartość drzewostanu, przestrzegał: „Nie kupuj pan tego, rzeki tu nie ma". Chciałem tu sadzić gatunki rzadkie, odtwarzać zniszczoną przyrodę na gruntach porolnych. I je chronić. Ale jak się coś posadzi, to nie da się od tego tak łatwo uwolnić. A mnie zależało na wolności. Zwłaszcza tutaj. Chciałem miejsca, które poradzi sobie i beze mnie. Czasem się nawet zastanawiam, a gdybym tak to zostawił na dziesięć lat: Co wtedy? Łąki zarosłyby młodymi drzewami. Być może właśnie tak się stanie, gdy będę stary.

PROSTY INDIAŃSKI SZAŁAS – *wigwam. Budowa zajmuje pięć dni. Pod warunkiem, że nie trzeba wyruszyć za daleko do lasu po drewno i na łąkę po trawę.*

W TYM MIEJSCU zaczynają się wspomnienia. Większość roślin wyhodowałem z nasion. To parczelina trójlistkowa, z siewki przywiezionej z Parku Pałacowego w Puszczy Białowieskiej. Ma 20 lat. Sadziłem ją, gdy moja córka miała dwa lata.

Jarząb brekinia ze szkółki na Węgrzech. Lipa srebrzysta, przywieziona w butelce z granicy bułgarsko-tureckiej. Jesion pensylwański wyrwany z przydrożnego rowu w Radomiu. Klon tatarski z góry Tokaj. Smotrawa okazała z Ustrzyk Górnych w Bieszczadach. Rzadka lipa z Japonii, *Tilia kiusiana*. Kasztanowiec żółty z parku w Nancy. Leszczyna turecka z Norwich. Żywokost wielkokwiatowy z Kutaisi. Klon srebrzysty, siewka z rowu pod Siedlcami. Skrzydłorzech chiński z nasion zebranych w Pekinie. Klon Buergera ze świętej góry Taibai.

A tu miniplantacja grzybów mun, czyli uszak bzowy, rośnie głównie na czarnym bzie. Wystarczy, że ze spaceru przyniosę kawałek gnijącego czarnego bzu, wetknę go tu, pojawia się uszak. Co chwilę coś gdzieś wtykam w ziemię, sieję.

Czasami biorę worek orzechów i jak sójka rozrzucam je to tu, to tam. A potem o nich zapominam.

Małe drzewa znajduję po latach. Nawet się dziwię, że wyrosły. Ale w ogrodzie nie widać porażek. Sójka, rozsiewaczka drzew, i dzik, koneser dzikich bulw – to moje totemiczne zwierzęta.

Z ROŚLIN NAJBARDZIEJ KOCHAM DĘBY. To one były najpierw. I ludzie kiedyś o tym wiedzieli. Rosły na pastwiskach, między domami. Dawały dobre drewno, pożywienie dla świń. Dziś ludzie wolą drzewa iglaste. Że drewno łatwiejsze w obróbce? Nie wiem. Choć najlepszy chrust jest z pnia sosny. Małe gałązki, nawet nie trzeba ich ścinać, łamią się w dłoniach.

Dąb jest w odwrocie. „Polana Dębów" – tak nazwałem to miejsce. I to jest moja kolekcja – 22 gatunki dębów, wiele wyhodowanych z żołędzi.

Tu są dęby wielkoowocowe, z żołędzi, które wysiałem z Wilanowa. Tu dąb *Quercus liaotungensis* z żołędzia z Wielkiego Muru Chińskiego. Ten – dąb szkarłatny – z żołędzia z ogrodu botanicznego w Krakowie. To jest skrzydłorzech chiński z ogrodu botanicznego w Pekinie. Za 130 lat wyrośnie tu Święty Gaj. Być może będą w nim wszystkie dęby, które da się uprawiać w Polsce. Kiedy sadzić żołędzie? 29 września, na Świętego Michała, wtedy opadają.

CHODŹ. TERAZ WIELKA ŁĄKA. Właśnie po skoszeniu. Wykaszana raz w roku, wzbogacona kilkoma cennymi gatunkami, których tu nie było. Dosadzam różne rośliny, ale trzon jest naturalny. Jest taki moment, gdy łąka jest fioletowa od chabra austriackiego.

A to jest dziki pasternak, ma bardzo słodkie korzenie, spróbuj. Tylko one są jadalne. Słodkie, zbierane wczesną wiosną lub jesienią. Jedli go mieszkańcy bieszczadzkich wsi, gdy przyszedł głód.

I bukwica pospolita, najlepsze zioło na herbatę. W średniowieczu używano jej jako panaceum na wszystkie choroby, było nawet powiedzenie: „Sprzedaj tunikę, kup betonikę".

A tu rzepik pospolity, nazywany „Jabłuszkami Pana Jezusa". A są też „Paluszki Matki Boskiej" (wierzbówka), „Trzewiczki Matki Boskiej" (tojad), „Anielskie włosy" (wierzbówka). Wiesz, co to jest? Pokrzyk wilcza jagoda – roślina używana przez znachorów, silnie halucynogenna.

WEJDŹ, WEJDŹ DO ŚRODKA. Nie bój się pająków. Zbudowałem go dwa lata temu. Prosty indiański szałas, myśliwski – wigwam. Budowa zajmuje pięć dni. Pod warunkiem, że nie trzeba wyruszyć za daleko do lasu po drewno i na łąkę po trawę.

Zaczynasz od trzech trzyipółmetrowych drągów – dwa z haczykami, jeden prosty. O nie będą się opierały kolejne. Belki układasz gęsto, co kilkanaście centymetrów. Koło stu sztuk. Na nie kładziesz długą bujną trawę, najlepiej trzcinnik pospolity czy trzcinę, i przykrywasz je kolejnymi belkami. Najwięcej czasu zajmuje nałożenie pierwszej warstwy trawy – zaczynasz od spodu. Im wyżej, tym mniej trawy, bo mniejszy obwód. Zasada jest jak z dachówkami, woda musi po nich spływać.

Na koniec wchodzisz do środka i sprawdzasz, czy nie ma prześwitów. Wejście ↦

↦ – im niższe, tym mniej zawiewa. Im wyższe, tym dym z ogniska łatwiej ucieka.

Szałasy też się starzeją. Najpierw nastroszone, sterczące, po kilku zimach – chude, biedne, pojawiają się dziury.

Po co mi szałas? Nie wiem, chyba zbudowałem go instynktownie. Nocowałem w nim wiele razy, nawet zimą. Ale żeby w nim zamieszkać, brakuje mi futra. Czasem spotykam tu śpiące sarny. Zimują w nim nietoperze, myszy. Wybiegają, gdy rozpalam ogień.

Chodźmy dalej.

■

CZUJESZ ZAPACH? Padlina? Nie, to okratek australijski. Grzyb, który przywieźli do Europy żołnierze australijscy w czasie I wojny światowej. Wygląda jak czapka arlekina, śmierdzi jak rozkładające się zwierzę.

■

PRZED NAMI DOLINA POTOKU. W stawie kotewka orzech wodny. Jednoroczna, pływająca roślina. Ma jadalne orzechy. Niedojrzałe jeszcze są pod spodem. Ich zalążki są malutkie. Kiedyś jadano je w okolicach Sandomierza, Stalowej Woli, Opola. Jedna z najbardziej pożywnych i wydajnych dzikich roślin jadalnych. Jedli je nasi prehistoryczni przodkowie, a i dziś jest pospolitym pokarmem, np. w Chinach i Kaszmirze.

■

TERAZ LAS, który nigdy nie był polem ani łąką. Tak zwany las dawny. Od zawsze był lasem. Częściej spotykane są w górach, rzadziej na nizinach. Zachowują florę grzybów i roślin wczesnowiosennych, stary drzewostan. Las dawny jest jak punkt odniesienia. A tu ślady po kurkach, ktoś musiał je dziś zebrać. Wciąż obowiązuje zasada – jeśli las nie jest przy domu, albo nie jest ogrodzony, jest dla wszystkich.

A tu jodła, obumarła dwa lata temu. Zostawiłem ją, jak w Białowieży. Tam drzewa mogą umierać po swojemu. W lesie dawnym wyciąłem przez ostatnie 20 lat tylko trzy drzewa. Choć sąsiedzi się czasem martwią, dlaczego pozwoliłem jodle spróchnieć, trzysta złotych by z niej było.

■

NIEKIEDY WYDAJE MI SIĘ, że znam to miejsce, że niczym mnie już nie zaskoczy. A potem odkrywam roślinę, której nie widziałem wcześniej. Coś się posiało, coś się wydarzyło nowego w lesie. Skomplikowana mozaika siedlisk, mam tu też cztery potoki.

Uwielbiam ziołorośla i zarośla. Ludzie mówią: zioła, pokrzywy, łopiany. Chaszcze. Patrzą jak na coś przejściowego. Chcą zmieniać. Ale łąka z natury też jest przejściowa. Odkąd tu mieszkam, niektóre miejsca wyglądają tak samo. Niekoszone od lat, trwają. Inne zmieniają się w dwa lata, szybko porastają czymś innym, w końcu gąszczem drzew. Tajemnica.

■

NIEDALEKO WIATY MAM SAWANNĘ. Setki pojedynczych drzew. Leśna łąka. Taka namiastka raju. A tu ślad po gnieździe os. Wygrzebało je chyba jakieś wierzę, albo śpią, bo jest mokro. Gdyby to były szerszenie, moglibyśmy zjeść kilka surowych larw.

■

CO PRZYNOSZĘ STĄD DO SIEBIE? Piołun, rumianek, lipę. Karasi ze stawu już nie, bo mi ich szkoda. Dokarmiam je, pływam z nimi. Jadałaś kiedyś pałki? Bobry też je lubią. Mają jadalne kłącza. O tej porze roku są puste, ale na jesień i zimą, wypełniają się białym, skrobiowym miąższem.

W STAWIE KOTEWKA *– orzech wodny. Jednoroczna, pływająca roślina. Ma jadalne orzechy. Jedli je nasi przodkowie, a i dziś jest pospolitym pokarmem, np. w Chinach i Kaszmirze.*

■

W DRODZE DO DOMU jeszcze kwatera obsiana czosnkiem niedźwiedzim. Kopnij w ziemię. Tuż pod powierzchnią jest czosnek. O, tu. Będzie ich z milion. Wystające liście przypominają konwalię. Ale konwalię pachnącą czosnkiem.

Czosnek jest kapryśny. W ziemi, w miarę suchej, wytrzyma miesiąc. Nie można go przesuszyć. Nie lubi miejsc zbyt cienistych ani zupełnie otwartych. Najlepiej rośnie w parkach. Sadziłem mniej więcej tak: jedna cebulka, jeden krok, cebulka, krok. Na początku małe listki były co metr, teraz jest zielono.

■

MOJA KUCHNIA, JAK CHCIAŁAŚ. Ostatnio zrobiłem nalewkę z siana.

Przepis? Proszę bardzo. Skoszone siano, najlepiej tomka wonna, niewielka trawa rosnąca na niemal każdej łące na Podkarpaciu. Kwitnie najwcześniej z traw, w maju. Ścinasz ją w czerwcu. Uważaj, musi być wysuszona, nie spleśniała. Nalewkę robimy ze źdźbeł, odrzucamy kłosy. Resztę kroimy. Do butelki wkładamy dziesięć źdźbeł. Będzie miała silny, jak żubrówka, i waniliowy zapach. Po miesiącu będzie wyekstrahowana.

Co tu mamy dalej? Suszone: rumianek, zebrany koło Dukli, piołun z mojej łąki, lipa z Rzepnika, lawenda z ogrodu. Najlepiej je suszyć na białym prześcieradle. Co roku sobie powtarzam, że będę wekował na zimę pokrzywy. Grzyby. W moim lesie mam wszystkie pospolitsze grzyby, poza gąskami. Siedem gatunków muchomorów, prawdziwki, maślaki, rydze, opieńki. Zrobiłem listę: w dolinie jest trzysta gatunków roślin, które tu były, zanim przybyłem.

Tu jeszcze ruta. Liście laurowe przywiezione z Chorwacji, trzymam je w drewnianych skrzyniach.

I nalewka ze sromotnika. Chcesz?

■

CZY MAM MAPĘ MOJEJ ZIEMI? Mam, w głowie. I nazwy miejsc, które im nadaję.

Możemy ją narysować.

Tu jest dom. Zbudowany z bali, z rozebranej karczmy żydowskiej. Między balami mech z Puszczy Białowieskiej, z Roztocza, spod Rzeszowa. W środku piec z kamieni rzecznych.

TERAZ WIELKA ŁĄKA. *Dosadzam różne rośliny, ale trzon jest naturalny. Jest taki moment, gdy łąka jest fioletowa od chabra austriackiego.*

Wyszliśmy tędy. Najpierw brzezina. Teren, gdzie były różne gatunki drzew, wyciąłem wszystko, zostawiłem brzozy, żeby pokazać ich piękno. Zagajnik ma 26 lat. Wcześniej było tu trochę wierzb, olch. Pod brzozą dobrze jeżynom i czarnemu bzowi.

Dalej dolina ze śnieżycami wiosennymi. Kilkaset tysięcy śnieżyc wiosennych kwitnących na wiosnę. Białe łany gwiazdnicy wielkokwiatowej. W drugiej części kwitnące na fioletowo – miodunka, kokorycz. I na niebiesko – cebulica syberyjska.

Polana dębów. A tu, gdzie rośnie stary jawor – „Pod Jaworami". Szałas, pas zadrzewień. „Wielka Łąka". „Stara Jedlina". Kolejna polana i „Krąg Lip". Mam tu rosnące w Polsce dwa gatunki lip – szerokolistną, zakwita wcześniej, i drobnolistną. Całe kwiatostany zbiera się na początku kwietnia.

Dalej topole. Moja sawanna, z pojedynczymi kępami drzew, żeby zachować widoczność. Tu się zaczyna gęsty las, zwarty. Staw górny. Jaworzyna. I czosnek niedźwiedzi, żywiec gruczołowaty i cebulkowy. Posadziliśmy go w magicznym kręgu. Co dwa, trzy metry, stała jedna osoba i sadziła żywiec, krąg teraz zamienił się w kwitnące koło. Tu są drzewa owocowe, różne gatunki jarzębu, jarząb domowy, jarząb brekinia, derenie jadalne, derenie japońskie, morwy, różne gatunki śliwek, jabłonie orientalne, grusze orientalne. Głogi. Gaj orzechowy.

Przy domu jeszcze jedna łąka – na jałowej glebie, surowej glinie. Kwitnie pod koniec maja. Wtedy są złocień, brodawnik, firletka poszarpana, która lubi wilgotne łąki. Jest wyka brudnożółta, która nie lubi wczesnego koszenia, i świerzbnica. Pojedyncze jaskry. Złocień zwyczajny, kwitnie miesiąc po mniszku, tu masowo. Jaskier ostry. A to ostrożeń łąkowy, kiedyś jadany, w okolicach Tarnowa nazywano go szczerbakiem. Ostatnie wzmianki o tym, że go jadano, pochodzą z Podhala, tuż po wojnie.

■

IM DALEJ OD DOMU, tym bardziej dziko, tym bardziej opuszczam tamten świat. Są takie miejsca, w których nie byłem od pięciu lat. Uroczyska, polanki. Jakiś nowy bluszcz pnący się po drzewie, którego wcześniej nie widziałem. Wykroty, drzewa przewalone, miejsca prawie niedostępne. Ta topola balsamiczna pójdzie niestety pod topór. Jej miejsce zajmie teraz młodsza. Zrobiła się za duża, zaczęła dominować i psuć harmonię w krajobrazie. Co innego dzika czereśnia na szczycie górki. Ma sto lat i osiemdziesiąt centymetrów średnicy. Najgrubsza czereśnia. Opiekuję się nią, od dwudziestu lat wycinam wokół niej drzewa, by miała światło i przestrzeń dla korzeni. Czereśnie są krótkowieczne, dożywają zwykle stu lat. Mam też chyba największą w Karpatach populację dzikiej gruszy.

■

GDY IDĘ SAM, jest jak w Bieszczadach. Krótka pętla i dłuższa. Ta najdłuższa – od jedliny i z powrotem, przez polany z dwoma stawami, prawie dwa kilometry.

■

JESTEŚMY W ŚRODKU CZEGOŚ. Czujesz? Przy wjeździe musiałaś zauważyć betonowe megality. Zwiozłem je za bezcen z rozebranej fabryki i kazałem rozrzucić. Są jak antyczne ruiny. Nie pozwalają spłynąć stąd energii zwanej przez Chińczyków *chi.*

©℗ ANNA GOC

ŁUKASZ ŁUCZAJ *jest doktorem habilitowanym biologii, etnobotanikiem, ekologiem, profesorem Uniwersytetu Rzeszowskiego. Prowadzi warsztaty odżywiania się dzikimi roślinami. Mieszka na Pogórzu Dynowskim koło Krosna. Autor kilku książek, m.in. „Podręcznika robakożercy, czyli jadalnych bezkręgowców Środkowej Europy" (2005), „W dziką stronę" (2010), „Dzikiej kuchni" (2013). Autor bloga „Łukasz Łuczaj i rośliny" oraz vloga na YouTubie.*

WIARA

STAŃ SIĘ CZŁOWIEKIEM

ANSELM GRÜN, BENEDYKTYN:

Znam księży, którzy żyją tylko religijnością odgórną i nie mają kontaktu ze swoim poranionym wnętrzem. Efekt jest taki, że wszystko wiedzą najlepiej.

PIOTR SIKORA: Papież Franciszek lubi porównywać Kościół do szpitala polowego. Jest to bardzo bliskie temu, co można przeczytać w wielu książkach Ojca – że życie chrześcijańskie jest procesem leczenia, uzdrowienia. Na czym polega choroba i czym jest lekarstwo?

ANSELM GRÜN OSB: Chorób jest wiele i mają różną naturę. Ja zajmuję się przede wszystkim tymi psychicznymi. I zauważam, że niektórzy ludzie chcieliby użyć Jezusa jako czarodzieja, który miałby im zabrać chorobę, a oni sami nie chcą się w środku zmieniać. Np. perfekcjoniści boją się popełnić błąd. Niektórzy chcą, by Bóg zabrał im lęk, który w sobie noszą, ale chcą pozostać perfekcjonistami. Co oczywiście jest niemożliwe.

Leczenie tych chorób zawsze odbywa się w trakcie spotkania, podczas którego pokazujemy Bogu swoje wnętrze – i obecne w nim lęki, strachy. On swoją miłością je leczy, ale to wymaga zmiany w człowieku. Gdy w perfekcjoniście pojawia się wtedy strach, mówi mu o tym, że musi odpuścić, oddać rzeczywistość Bogu, bo nie może wszystkiego kontrolować.

Gdy jednak mówimy o Kościele jako szpitalu polowym, to podkreślamy nie tylko osobiste spotkanie z Bogiem, lecz także to, że ważna jest wspólnota. Jak taka wspólnota powinna funkcjonować, by była wspólnotą leczącą?

Często jest tak, że osoby, które pełnią w Kościele rozmaite funkcje – księża, zakonnicy – to osoby w środku poranione. Średniowieczna mistyczka Hildegarda z Bingen powiedziała, że sztuka stawania się człowiekiem polega na tym, że rany mają zostać zamienione w perły. Dopiero kiedy księża pozwalają zamieniać te swoje rany w perły – a żeby to uczynić, muszą mieć z tymi ranami kontakt – mogą pomagać innym poranionym ludziom w Kościele.

Kościół to nie tylko pojedynczy księża.

Ma pan rację. Wspólnota może leczyć, kiedy nie ocenia. Dawniej Kościół bardzo moralizował, np.: „Za mało wierzysz, musisz wierzyć bardziej". Lecz jeśli człowiek jest tak traktowany, to nie powie wspólnocie o swoim strachu. Będzie się bał, a ten lęk będzie powodował dodatkowo poczucie winy.

W duchowości mniszej uznaje się, że nie należy oceniać uczuć, nawet trudnych, strachu, smutku albo depresji. Mnisi mówią, że nie jesteśmy odpowiedzialni za emocje, które się w nas pojawiają, ale jesteśmy odpowiedzialni za to, co z nimi robimy.

Możemy zatem oddać je Bogu na modlitwie. Eucharystia jest właśnie takim żywym spotkaniem. Biblijne historie uzdrowień to także historie uzdrowienia moich ran. Trędowaty to metafora, że sam siebie nie akceptuję, że nie mogę siebie dotknąć. Kiedy zaś przyjmuję komunię świętą, to Jezus przyjmuje mnie takiego, jakim jestem. Co prowadzi do tego, że i ja staję się zdolny siebie przyjąć. Kobieta z krwotokiem jest obrazem wyczerpania, wykrwawienia. My w tej kondycji przychodzimy do Jezusa, a On mówi: dobrze, ↦

O. ANSELM GRÜN (ur. 1945) jest niemieckim benedyktynem z opactwa Münsterschwarzach, jednym z najpoczytniejszych pisarzy chrześcijańskich: jego książki przetłumaczono na 25 języków i sprzedano w 14 mln egzemplarzy. Inspiruje się starożytnym monastycyzmem, duchowością Ojców Kościoła, mistycyzmem oraz psychologią głębi Junga. Promuje, jak podkreśla, „zdrową duchowość, którą charakteryzuje pewien optymizm, a która nie jest pesymistyczno-moralizująca". W lipcu odwiedził Tyniec, gdzie współprowadził warsztaty „Zarządzanie. Przywództwo. Duchowość".

JUERGEN BLUME / EPD / EAST NEWS

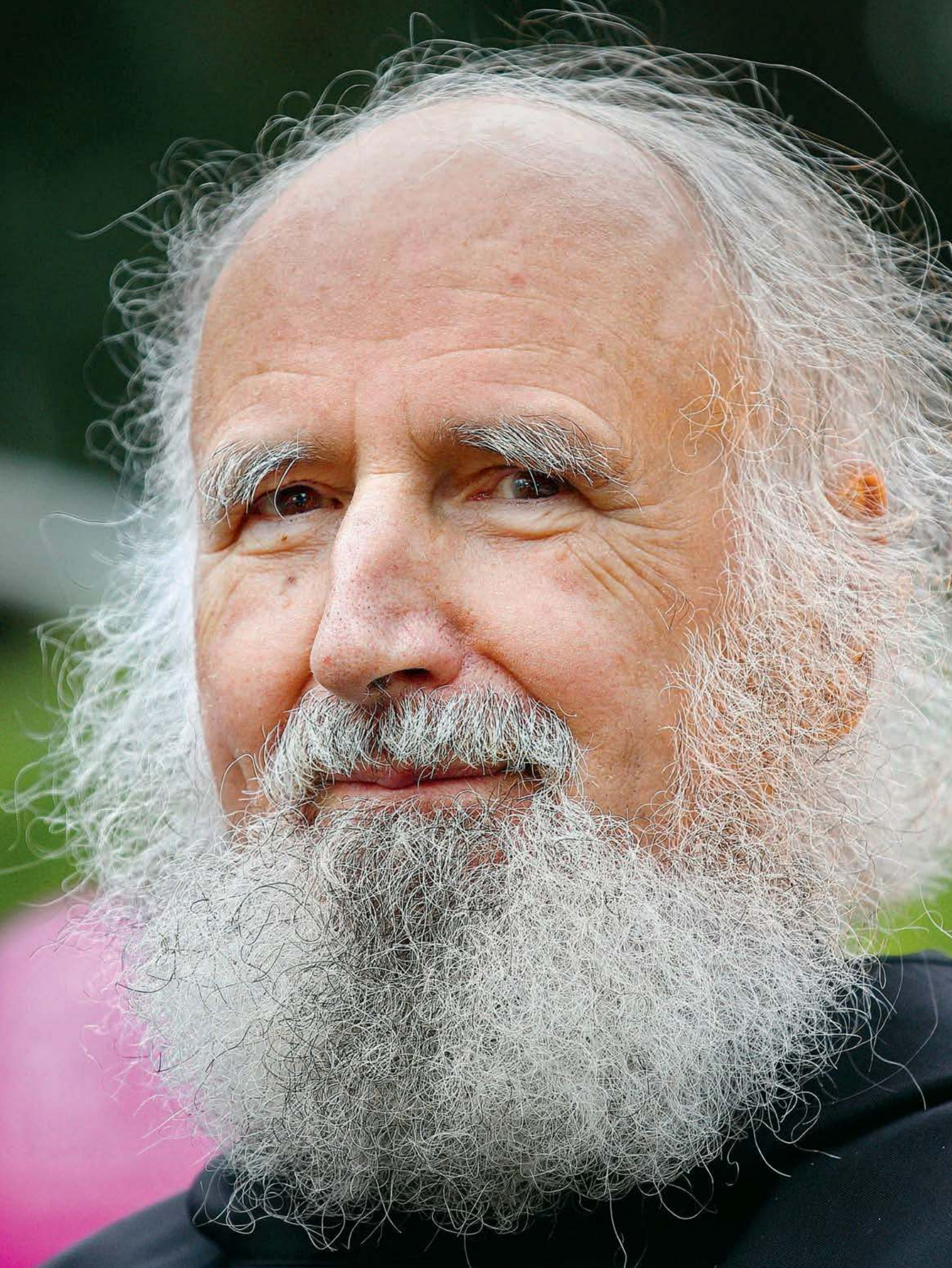

↦ że przyszedłeś, dobrze, że jesteś tu taki, jaki jesteś; idź w pokoju.

To, co Ojciec mówi, nasuwa skojarzenia z gorącymi sporami, które toczą się dziś w Kościele w związku z adhortacją Franciszka „Amoris laetitia". Jej krytycy często podkreślają, że papież rezygnuje z wymogu ścisłego dostosowania się do ideału jako warunku możliwości przyjęcia komunii.

Jest to postawa, którą nazywam duchowością odgórną. Nie chcę powiedzieć, że jest to zła duchowość, ale jest jednostronna.

Jaka jest zatem duchowość oddolna uzupełniająca tamtą? W religijnym wychowaniu dominuje religijność odgórna, koncentrująca się na prawdach wiary i ideałach. Tak byliśmy uczeni, tak też uczymy nasze dzieci: mówimy im, w co mają wierzyć, jak się zachowywać.

Po pierwsze, to ważne, by mówić dzieciom, w co wierzymy. Ale trzeba też uzasadniać, dlaczego w to wierzymy. Warto też wprowadzać dzieci w rytuały, w Eucharystię, w modlitwę. Ale należy się wystrzegać obrazu Ojca, który grozi, że jeśli nie będziemy uczestniczyć w danych praktykach, to nas ukarze. Trzeba pokazać dziecku, że uczestnictwo w rytuałach jest dobre dla niego, że powoduje, iż będzie miało życie w sobie, że będzie otwarte na Boga, na innych ludzi. Tak więc przekaz wiary jest niezwykle ważny, ale bez żadnych gróźb – wprowadzający w życie.

Gdy Ojciec pisze w swoich książkach o duchowości oddolnej, to podkreśla, że poznanie Boga przychodzi przez poznanie siebie. Najpierw poznaj siebie, a poznasz Boga. Czy to się da zrobić z dziećmi?

Nie bardzo. W przypadku dzieci najpierw bym je wprowadzał w wiarę wyrażoną w rytuałach, w opowieściach. Lecz warto z dziećmi rozmawiać. Dzieci mają pewne poczucie, co się z nimi dzieje. Czują, kiedy popełniają błędy. Gdy pokłócą się z rodzeństwem, wiedzą, że to nie jest dobre. Warto pomóc im zauważyć, że to nie było dobre, ale jednocześnie, że Bóg je kocha i przyjmuje takimi, jakimi są, w tej sytuacji. Dla dzieci jest też bardzo ważne, by rodzice je błogosławili znakiem krzyża na czole. To daje im poczucie bliskości i ochrony. Pozwala im doświadczyć, że dorosły zwraca się ku nim w pozytywny sposób, a poprzez to, że Bóg jest do nich pozytywnie nastawiony. Nie powiedziałbym więc dziecku: „Musisz najpierw poznać samo siebie". To by było dla niego za trudne. Ale spytałbym: „Jak ci jest z bratem, z siostrą? Co cię złości, co cieszy?". Warto rozmawiać o takich sprawach: „Powiedz mi o tym, a potem przedstaw to Bogu".

Czy w rozwoju człowieka jest moment przejścia do tej duchowości, w której poznajemy Boga przez poznanie siebie?

Być może pod koniec okresu dojrzewania. Jest to moment kryzysu tożsamości, szukania, kim jestem. Pojawia się wówczas w życiu człowieka, w jego wnętrzu, chaos. To dobry moment, by pokazać to Bogu, dać się Mu dotknąć, spotkać go tam. Doświadczam jednak silnie, że dzisiaj wielu młodych ludzi ma problem z poczuciem niepewności. Trzeba im pomóc nabrać pewności, to zaś daje religijność odgórna. Trzeba więc zachować równowagę. Bo osamotniona religijność odgórna też nie jest dobra. Znam księży, którzy żyją tylko taką – w ogóle nie mają kontaktu ze swoim wnętrzem, ze swoimi problemami, zranieniami. Efekt jest taki, że wszystko wiedzą najlepiej.

Jak zatem wyjść z ograniczeń duchowości odgórnej?

Problem polega na tym, że mamy wygórowane ideały, a codzienność jest przyziemna i do nich nieprzystająca. Istotą chrześcijaństwa jest to, że Bóg zstąpił na ziemię. Podobnie i my mamy zstępować od ideałów do rzeczywistości. Krytyka wobec papieża Franciszka, o której pan mówił, nie tylko opiera się na jednostronnej religijności odgórnej. Zawiera też w sobie fałszywe teologiczne założenie. Tu muszę zastrzec, że mam doktorat z dogmatyki i nie mam żadnego problemu z dogmatami. Ale dogmaty nie są po to, by określać nienaruszalne wymogi i granice – odtąd dotąd. I my wiemy najlepiej. Nie, dogmaty to sztuka pokazywania Tajemnicy w otwarty sposób.

Stereotypowy obraz dogmatów jest zupełnie inny – dogmat raczej zamyka, nakazuje myśleć i wierzyć tak, a nie pozwala inaczej. Czy mógłby Ojciec dać konkretny przykład dogmatu, który otwiera?

Weźmy dogmat o bóstwie Chrystusa. Wielu zastanawia się dziś, na ile Jezus był – a może nie był? – geniuszem religijnym. Redukuje się wówczas Jezusa do takiego poziomu, że można się postawić ponad Nim i zastanawiać, co mi się w Jego przesłaniu podoba, a co nie. Dogmat mówi: Jezus jest Synem Boga. Kiedy to mówimy, nie bardzo wiemy, co to tak naprawdę znaczy. Zostawiamy wówczas tajemnicę osoby Jezusa otwartą. Zmagamy się z tym. To stwierdzenie pracuje w nas. Teolog ewangelicki, Paul Tillich, napisał, że Bóg jest tym, co nas koniecznie obchodzi. Jeśli Jezus jest Synem Bożym, to znaczy, że słowa Jezusa mają mnie koniecznie obchodzić; że nie mogę się ponad nimi postawić, uznać, że mnie nie dotyczą – nawet jeśli czegoś nie rozumiem, coś do mnie nie przemawia – trzeba pytać: co to znaczy, trzeba się z tym mierzyć.

Krytycy „Amoris laetitia" nie negują tego, że trzeba się mierzyć i zmagać ze słowami Jezusa w Ewangelii. Często wręcz to podkreślają.

Krytycy papieża Franciszka pojmują dogmaty w sposób zamykający i chcą w taki sposób zdogmatyzować teologię moralną. Ale w doktrynie katolickiej nie ma – co do zasady – dogmatów moralnych. Etyka jest jak rzeka – pojawiają się raz po raz pewne zasady, ale etyka jest elastyczna, zmienna. Jest w ruchu.

Może jednak ta krytyka Franciszka wypływa nie tylko z intelektu, ale także z lęku, że ktoś straci orientację w życiu? Jak wyleczyć ten lęk?

Najważniejsza jest pokora. Po łacinie pokora to *humilitas*, co jest bliskie *humus* – „ziemia". A więc kluczowe jest zejście na ziemię. Wiąże się zaś z brakiem lęku przed własną głębią. Kiedy oceniamy ludzi, np. rozwiedzionych, którzy zawarli nowe związki, to wtedy stawiamy się ponad nimi, wywyższamy się. Pokora wiąże się z uznaniem, że to, wobec czego staję w życiu innych, jest też we mnie, też tym żyję, jest to częścią mnie. Jeśli zaś naprawdę sam tym żyję, to o wiele ostrożniej będę oceniał innych. Oczywiście, ważne jest, by dać orientację, kierunek rozwoju. I żeby ludziom towarzyszyć. Nikomu nie doradzałbym rozwodu. Ale znam wiele osób, które po rozwodzie wstąpiły na drogę duchową.

Jak ma się to do słów Jezusa w Ewangelii?

Z mojego punktu widzenia odmawianie komunii osobom rozwiedzionym jest pewną normą ustanowioną przez ludzi, która nie odpowiada słowom Chrystusa. Bo jeśli spojrzymy do Ewangelii według św. Marka, zobaczymy, że Jezus mówi tam o nierozerwalności małżeństwa jako ideale. Jezus jest tam bardzo optymistyczny i pokazuje ideał. Bo to jest oczywiście celem miłości, by była nierozerwalna. Mateusz zaś w swojej Ewangelii próbuje interpretować ideały w postaci norm. Kiedy zaś tworzy normy, musi stworzyć wyjątek – „poza przypadkiem nierządu". Gdy więc Mateusz naciska, że ludzie powinni trzymać się ideału jako reguły, musi się liczyć, że będą upadać – i tworzy od tej reguły wyjątek. Sytuacje życiowe są bowiem rozmaite. Niektórzy zostali sami, bo ktoś ich opuścił. Zawsze można doszukiwać się choćby części winy po obu stronach, ale sytuacja opuszczonych jest zupełnie inna niż tych, którzy ich opuścili. Nie da się moralności zredukować do systemu sztywnych norm.

Mówi Ojciec dużo o lęku, o sprawach psychologicznych. Ze strony wielu teologów można spotkać się z zarzutem, że taka prezentacja duchowości jest redukcją prawdy do psychologii.

Prowadzimy dom rekolekcyjny i towarzyszymy księżom, którzy przeżywają kryzys. Mamy tam trzech terapeutów, ale jest też zawsze towarzyszenie duchowe. A uczciwy terapeuta nie powie, że leczy, lecz także, że towarzyszy. Terapeuta pomaga odkryć problemy i radzić sobie z nimi. Ale prawdziwe uleczenie następuje w spotkaniu z Bogiem. Nie wolno redukować duchowości do psychologii. Psychologia pomaga odkryć prawdę o osobie, a człowiek powinien potem pokazać tę prawdę Bogu. Ostatecznie to Bóg leczy.

Z drugiej strony wielu psychologów mówi, że kwestiami psychologicznymi powinni się zająć profesjonaliści, czyli oni, a nie amatorzy od duchowości.

Ważne, by nie robić nic wbrew psychologii. Rozpoznać granice tego, co psychiczne, oraz rzeczywisty stan psychiczny, np. że ktoś jest psychotyczny albo ma nerwicę natręctw, gdy musi wszystko kontrolować, myć ręce itp. Byłaby to tania, zła porada, gdybyśmy wówczas powiedzieli: „módl się, Bóg cię wyleczy". Trzeba wyczuć, gdzie pomaga wiara, a gdzie jest potrzebna profesjonalna pomoc psychologiczna.

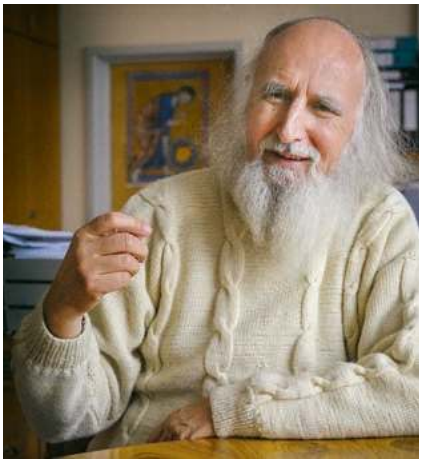

EPD / EAST NEWS

NIEKTÓRZY LUDZIE *dążą do ideałów tak wzniosłych, iż nigdy ich nie osiągną. Nie chcąc poddać się uczuciu rezygnacji, wypierają swe prawdziwe oblicze i zaczynają identyfikować się z własnymi ideałami. Postawa taka prowadzi do wewnętrznego rozdwojenia.*

ABY UTRZYMAĆ *własny ideał, wypiera się własny cień i projektuje go na innych, których potępia się i poniża, ponieważ wyparcie zła tkwiącego we własnym sercu prowadzi do demonizacji innych, których często, z imieniem Boga na ustach, traktuje się bardzo brutalnie.*

ODCZUWAM WSPÓLNOTĘ *z innymi ludźmi tylko wtedy, gdy zaakceptuję swe słabości i wady. Dopóki będę zmuszony je ukrywać, będę nawiązywał z bliźnimi wyłącznie powierzchowne kontakty.*

DUCHOWOŚĆ NIEAUTORYTARNA *oznacza wsłuchiwanie się w brzmiący w naszych myślach, w naszych uczuciach, w naszych namiętnościach oraz w naszych potrzebach głos Boga.*

PIOTR DZIĘKI SWEJ WINIE *stał się opoką dla innych, ponieważ pojął, że to nie on, jako osoba, może stanowić opokę, lecz wiara, której musi się kurczowo trzymać, by mimo pokus dochować wierności Jezusowi.*

Cytaty pochodzą z książki A. Grüna „O duchowości inaczej", przeł. K. Zimmer, Wyd. WAM 2009.

Wyczucie może być jednak złudne. W Polsce mamy wielu egzorcystów, którzy – jak twierdzą – na wyczucie rozpoznają opętanie, a to często są problemy psychiczne. Złe wyczucie może mieć tragiczne konsekwencje. Przydałyby się jasne, obiektywne kryteria.

Tu pomocą może być dobra dogmatyka. Uznaje ona demony za stworzone duchowe siły, które mają jakby osobową moc. Mogą one nam zaszkodzić, ale nie są osobami.

A egzorcyści często widzą tam osoby. To błąd. Oczywiście, nie można powiedzieć, że zło to tylko ludzkie myśli. Byłaby to fałszywa niwelacja zła. Powiedziałbym, że demony to pewien obraz głębokiego wymiaru zła. Niebezpieczeństwo polega jednak na tym, że często ci, którzy mówią, że są opętani przez demona, chodzą od księdza do księdza i gdy nic się nie poprawia, oskarżają tamtych, że się źle modlą – to inni są jakoby winni ich problemu duchowego, tego, że nie zdrowieją. Ludzie tacy nie potrafią odkryć prawdy o sobie. Na początku drogi duchowej zaś trzeba się przyjrzeć prawdzie o sobie. Tu często przydaje się pomoc psychologiczna. A także towarzyszenie modlitewne. Ale modlitwa to nie czary-mary, które mnie wyleczą.

Nadal nie widzę jasnego kryterium.

Spróbuję pokazać to na przykładzie: wiele lat temu przyszedł do mnie ojciec ze swoją córką, która miała 20 lat. Ojciec mówi: „Ona jest opętana przez diabła". Pytam, skąd to wie? On odpowiada, że zasadniczo jest bardzo grzeczna i pobożna, ale co jakiś czas, parę razy w roku, ma wybuchy, przeklina, bluźni. Rodzina wozi ją do Lourdes, do Częstochowy – przez jakiś czas po takiej wizycie jest lepiej, ale potem wybuchy się powtarzają. Powiedziałem, że chcę porozmawiać z tą młodą kobietą w cztery oczy. Zapytałem ją wówczas, jak jest w jej rodzinie. Okazało się, że rodzice są bardzo autorytarni. Bardzo pobożni, ale zawsze muszą mieć rację. Córka potrzebowała ich uwagi, pomocy, pieniędzy. Raz na jakiś czas stawała się tak agresywna, by dotknąć tym swoich rodziców. Powiedziałem jej wówczas: „Możesz dalej grać w tę grę. Rodzice nadal będą mieć rację. Ty będziesz miała tylko taki zysk, że zwiedzisz Europę. Ale to nic nie zmieni. Musisz mieć odwagę, wyjść z tej gry i zacząć żyć swoim prawdziwym życiem". Obraz szatana, który tam się pojawił, to była tylko wymówka.

To chyba też nie jest jasny przepis. Rozumiem, że jest tylko sztuka rozeznania i wychowania, prowadzenia ku życiu...

(*śmiech*) Tak, to jest sztuka.

©℗ Rozmawiał PIOTR SIKORA

Nadduchowni

ZUZANNA RADZIK

Czy ostatnie skandale, ujawniające nadużycia władzy w Kościele, nie wskazują, że czas na reformę jego struktur?

Papież napisał list do wszystkich katolików, reagując na doniesienia o molestowaniu seksualnym w Kościele. Jest to reakcja na raport o skali nadużyć w sześciu diecezjach stanu Pensylwania i sprawę amerykańskiego kardynała Theodore'a McCarricka, oskarżonego o napastowanie zakonnic, seminarzystów i dorosłych świeckich (pisaliśmy o tym w ubiegłym numerze). Franciszek nie tylko prosi o modlitwę, post i solidarność z ofiarami: piętnuje klerykalizm w Kościele, żądzę władzy i posiadania.

Jednak na dalsze działania papieża na razie się nie zanosi. Powołując się na źródła w Stolicy Apostolskiej, portal Vatican Insider zdementował pogłoski, że Franciszek szykuje jakieś nowe wewnątrzkościelne przepisy. „Papież uważa list za wyczerpujący i wierzy, że Kościół posiada normatywne narzędzia i zasady niezbędne do zwalczania tych, którzy dopuszczają się przestępstwa wykorzystywania dzieci" – napisał Andrea Tornielli.

Tymczasem w wielu krajach świata słychać opinię, że wobec skali kryzysu słowa to za mało. Katolicy domagają się działań, które uniemożliwią tuszowanie podobnych nadużyć w przyszłości.

Rozczarowuje już choćby tak ogólnie sformułowane wezwanie Kościoła do pokuty. Spodziewano się, że Franciszek to wezwanie zaadresuje precyzyjniej: do watykańskich urzędników i episkopatów. Wybitny znawca Watykanu, jezuita ks. Thomas Reese sugeruje: „Powinniśmy najpierw spytać ofiary molestowania, co sądzą, jaka pokuta będzie odpowiednia". I dodaje: „Biskupi muszą zrobić coś poważnego, dramatycznego i proporcjonalnego do przewinienia. To nie musi być pokuta za ich grzechy, ale za grzechy ich poprzedników".

Mechanizm blokady

Wszystkie przypadki, zarówno pedofilii, jak molestowania dorosłych, łączy to, że pociągnięcie sprawców do odpowiedzialności utrudniały kościelne struktury. Ba: te ostatnie były wykorzystywane do krycia lub lekceważenia oskarżeń. Tak się działo w Indiach, gdzie napastowana siostra zakonna nie doczekała się sprawiedliwości, mimo zaalarmowania biskupa i wsparcia ze strony innych kobiet. Podobnie w Chile, gdzie klerycy starający się poinformować Watykan o molestowaniu byli blokowani przez nuncjusza.

Sprawa kard. McCarricka również jest przykładem instytucjonalnej patologii. Ks. Boniface Ramsey, w latach 1986-96 wykładowca w seminarium w Seton Hall w New Jersey, słyszał różne plotki na temat McCarricka, który miał zabierać seminarzystów do domku na plażę, zawsze tylu, by miejsc brakowało i jeden musiał dzielić z nim łóżko. Rozmawiał o tym ze świadkami, nabierając przekonania, że zachowanie hierarchy przekracza normy. Próbował interweniować u innych biskupów, przekonując, że McCarricka trzeba powstrzymać.

Późniejszy arcybiskup Nowego Jorku i kardynał Edward Egan stwierdził, że nie chce o tym słyszeć. Z kolei bp Thomas Kelly przyznał, że opowieści o McCarricku krążą wśród amerykańskich biskupów. Ramsey zwrócił się do nuncjusza, Gabriela Montalvo Higuery, gdy w 2000 r. McCarrick został nominowany na arcybiskupa Waszyngtonu. Nuncjusz kazał mu opisać sprawę w liście. Pismo nie doczekało się odpowiedzi, a McCarrick został kardynałem.

Księża z Newark opowiadają dziś dziennikarzom Catholic News Agency, że ich rektor szkoły teologicznej był kolegą McCarricka ze studiów: że wiedział o plotkach i rozmawiał na ten temat otwarcie z wykładowcami i teologami. Dawni klerycy z Nowego Jorku oraz z Newark wspominają, jak nieprzyjemnym doświadczeniem były wizyty McCarricka w ich seminariach, i mówią o żartach, żeby chować najprzystojniejszych. Są dziesiątki świadectw, że rozmawiając z klerykami, kardynał kładł ręce na ich ramionach czy biodrach.

To tylko ilustracja mechanizmu, który powraca w wielu innych przypadkach. Dlatego dziś w dyskusji dominuje temat reformy struktur Kościoła. Dotychczasowe wyraźnie sprzyjają wytwarzaniu się korporacyjnej solidarności duchownych, która blokuje pociąganie winnych do odpowiedzialności. Więcej: nieprzejrzystość i niejasne kryteria nominacji wewnątrz struktury Kościoła dodatkowo

MAX ROSSI / REUTERS / FORUM

Kardynał Theodore McCarrick na spotkaniu w Watykanie, marzec 2013 r.

budują sieć zależności i lojalności, której wcale nie osłabiły wcześniejsze afery. Pokazuje to przypadek kard. Francisco Errázuriza Ossy z Chile, jednego z papieskich doradców w Radzie Kardynałów (C9), który przekonywał Franciszka, że historie o molestowaniu w Chile to kłamstwa. W 2002 r. jednym z biskupów pracujących nad nowymi zasadami mającymi chronić dzieci był... McCarrick.

Jakie zatem zmiany są potrzebne i możliwe?

Przed i po święceniach

„Czy możemy zwołać nadzwyczajny synod ds. życia i posługi duchownych?" – pyta papieża bp Philip Egan z angielskiego Portsmouth, zaniepokojony, że „zjawisko nadużyć seksualnych przez duchownych ma światowy zasięg". Bp Egan sugeruje, by podczas obrad podjęto takie tematy, jak tożsamość i reguły życia księży i biskupów, odpowiednie formy ich kontroli i pociągania do odpowiedzialności oraz wsparcie celibatu. Jak wskazuje, jako biskup ma niewiele narzędzi do codziennego zarządzania duchownymi. Inaczej niż w seminarium, gdzie jako odpowiedzialny za formację wypracował system oceny i wspierania rozwoju. Uważa, że po święceniach oceny i kontroli brakuje.

Jak jednak zauważa polski teolog ks. Damian Wąsek, autor książki „Nowa wizja zarządzania Kościołem", synod ma jedynie głos doradczy, zatem miałby sens tylko na poziomie teoretycznego opracowania kryteriów.

– W kontroli księży pracujących na parafiach mogłyby się wykazać rady parafialne, pod warunkiem, że ich funkcjonowanie traktowano by poważnie, a ich opinie (po weryfikacji) byłyby brane pod uwagę w procesie przenoszenia księży. Rozwiązaniem „na już" mogłoby być wprowadzenie usuwalności i kadencyjności proboszczów, co mobilizowałoby wielu duchownych do systematycznej pracy nad sobą – mówi teolog w rozmowie z „Tygodnikiem".

– Należy przemyśleć proces formacji seminaryjnej, ponieważ wiele z problemów z księżmi nie wynika z sytuacji, które nastąpiły po święceniach, ale z nierozpoznanych problemów, których źródło znajduje się przed seminarium – uważa ks. Wąsek. – Większa otwartość tej instytucji, jak najczęstsza konfrontacja kleryków ze środowiskami świeckich, skłanianie ich do podejmowania odpowiedzialności za różne sfery już podczas formacji mogłyby sprawić, że szybciej ujawniałyby się słabości lub defekty i można by je leczyć lub nie dopuszczać obarczonymi nimi osób do święceń.

Kryteria nominacji

Nadzwyczajny synod i proces wprowadzania zmiany – nawet jeśli możliwe – zajmą lata. Jeżeli jednak myślimy o obecnym kryzysie, nasuwa się problem biskupiej odpowiedzialności. Wielu czeka, kiedy poniesie ją kard. Donald Wuerl. Obecny metropolita Waszyngtonu o sprawie swojego poprzednika powiedział, że to straszne rozczarowanie, ale nie ogromny kryzys. Niedługo później stał się jednym z najważniejszych aktorów kryzysu z Pensylwanii. Dziś po uważnej lekturze raportu wiemy, że Wuerl jest opisywany jako ktoś, kto przenosił, nie ujawniał oraz podnosił świadczenia księżom należącym do pedofilskiej siatki. Na razie kardynał broni się i mówi, że nie zamierza rezygnować, poprosił jednak diecezję w Pittsburgu, ↦

↦ by usunęła jego nazwisko z nazwy miejscowego liceum, po tym jak zamazano je w nocy na tablicy przed szkołą.

Kiedy słyszymy o kolejnych nuncjuszach i metropolitach, którzy tuszowali skandale lub wypłacali odszkodowania, zobowiązując ofiary do milczenia (robił tak choćby biskup Newark John Myers w sprawie McCarricka), pojawia się pytanie o stan naszych episkopatów: lokalnych i globalnego. Co trzeba zrobić, żeby odzyskały zaufanie?

Amerykańscy teologowie wystosowali do swoich biskupów petycję, żądając od nich publicznej pokuty i kolektywnej dymisji wszystkich 271 czynnych hierarchów. Symbolicznie byłby to ważny gest, ale w praktyce kolektywna odpowiedzialność nie przyniesie zmiany kościelnej kultury, a o nią najbardziej chyba chodzi. Pośród postulatów pojawia się więc np. przejrzystość nominacji i jawność ich uzasadnień.

Ks. Wąsek ma konkretną propozycję: – W przypadku nominacji biskupich można skorzystać z propozycji stowarzyszenia prawników z Canon Law Society of America z 1973 r. Zasugerowali oni wówczas utworzenie w diecezjach dziesięcioosobowych komitetów składających się z duchownych i świeckich, którzy po konsultacjach tworzyliby listę kandydatów. Metropolita miałby głos doradczy, ale tylko w odniesieniu do osób, które znalazły się wcześniej na liście diecezjalnej. Przedyskutowana i zaakceptowana na tym szczeblu grupa kandydatów wędrowałaby do przewodniczącego Konferencji Episkopatu, a ten, po własnych konsultacjach w ramach Konferencji, dzieliłby się uwagami lub aprobował nazwiska i wysyłał je do Rzymu. Biskup Rzymu mógłby dokonać wyboru jedynie spośród przedstawionych mu osób. Przy zastosowaniu takiej procedury nominowane osoby byłyby dobrze znane, a ich przymioty ludzkie i organizacyjne lepiej zweryfikowane.

Ostatecznie w Kościele nie ma podziału władzy. Cała władza, ustawodawcza, sądzenia i rządzenia, skoncentrowana jest w rękach biskupów. To dlatego ordynariusze podczas afer wskazywali, że mogą odpowiadać jedynie przed Rzymem. Dziś jednak widzimy, że ten system odziedziczony po autorytarnych monarchiach i cesarstwach jest anachroniczny. Władza łatwo deprawuje, gdy jest niekontrolowana. Elisabeth Schüssler Fiorenza ukuła 40 lat temu termin kyriarchia (od gr. *kyrios* – pan), oznaczający sposób patologicznego używania władzy.

> W Kościele cała władza, ustawodawcza, sądzenia i rządzenia, **skoncentrowana jest w rękach biskupów.**

Pytany o sprzyjające nadużyciom władzy słabe miejsca w strukturze Kościoła, ks. Wąsek wylicza: – Po pierwsze, zamknięcie kurii diecezjalnych na zewnętrzne mechanizmy kontroli. Idealnym rozwiązaniem byłyby obowiązkowe audyty w wydziałach kurialnych, przeprowadzane przez zewnętrzne, wyspecjalizowane firmy przynajmniej raz na trzy lata. Tymczasem w większości przypadków nawet księża pracujący w diecezjach nie mają pełnej wiedzy o procedurach, kryteriach i mechanizmach, którymi kurie się kierują (np. przy zmianach księży czy wydawaniu diecezjalnych pieniędzy). Prawdopodobnie w większości przypadków w ogóle nie istnieją jasne i opisane procedury, a decyzje podejmowane są spontanicznie, według rozeznania i pomysłów osób, które w danym momencie odpowiadają za pewien odcinek pracy diecezjalnej. Sprzyja to powstawaniu układów i różnego rodzaju lobbingu.

Po drugie, transfery międzydiecezjalne biskupów – dodaje polski teolog. – Jeśli ordynariusz może zmienić diecezję, nie ponosi pełnej odpowiedzialności za niektóre posunięcia. Ponadto, sprzyja to traktowaniu posługi biskupiej jako szczebla kariery kościelnej, co utrudnia podejmowanie decyzji, które mogłyby zaszkodzić w awansie.

Po trzecie, klerykalizacja kurii i brak kadencyjności na najważniejszych stanowiskach urzędniczych. Jeśli w kuriach pracowałoby więcej osób świeckich (w tym kobiet), które miałyby pełen dostęp do informacji, trudniej byłoby zatuszować pewne sprawy lub rozwiązywać je według niejasnych procedur – kończy ks. Wąsek.

Klerykalizm, przed którym ostrzega papież, nie istnieje jednak bez teologii, która wyniosła duchownych ponad zwykłych wierzących, i bez prawa kanonicznego, które stawia ich poza naszą kontrolą. Ta osobność i kastowość przynoszą złe owoce. Pytanie, czy teologiczną doktrynę da się zreformować.

Jak nie bez goryczy przypomina Mary E. Hunt, księdzu oskarżanemu o nadużycia grozi w prawie kościelnym „przeniesienie do stanu świeckiego". Dołączenie do grona zwykłych wiernych jest karą i wiąże się z utratą przywilejów właściwych duchownym. W kontekście McCarricka Hunt pisze: „Żeby było jasne, najgorsza rzecz, jaka może go spotkać za jego rozmaite przekroczenia, to to, że stanie się jak większość z nas".

Przejrzystość

Jednym z najważniejszych postulatów, który pojawia się w dyskusji, jest jawność. Chodzi np. o ujawnienie nazwisk księży skazanych za molestowanie. „Gdyby Franciszek chciał na poważnie zająć się problemem molestowania seksualnego, zażądałby od wszystkich diecezji otwarcia archiwów" – podkreślał Tim Lennon, szef SNAP, organizacji zrzeszającej poszkodowanych przez księży.

Są już biskupi, którzy to zrozumieli. Kevin Rhoades, ordynariusz Fort Wayne-South Bend, zapowiedział, że jego diecezja przystępuje do bezzwłocznego zebrania i opublikowania listy księży: mówił, że po publikacji raportu z Pensylwanii zrozumiał, jakie znaczenie dla ofiar ma jawność nazwisk ich oprawców. Zadeklarował też, że jako ordynariusz będzie ujawniał na bieżąco nazwiska skazanych.

Jeśli amerykańskie diecezje nie zdecydują się na podobne praktyki, niewykluczone, że zostaną do nich zmuszone przez śledztwa analogiczne do tego z Pensylwanii. Nawet w przypadkach, kiedy listy są jawne (jak w Seattle), mówi się o stworzeniu specjalnej rady przysięgłych, która przejrzy archiwa. Tylko co z diecezjami, które nie leżą na terenie USA? Czy same zrozumieją, jakie znaczenie ma otworzenie archiwów? Czy zobaczą w tym wyraz solidarności z ofiarami, o którą prosi papież?

Po ujawnieniu raportu z Pensylwanii rozdzwonił się założony tam telefon zaufania. W ciągu tygodnia odebrano już ponad czterysta połączeń. Podobnie dzieje się w organizacjach wspierających ofiary molestowania. Czasami dzwonią zmartwieni katolicy, chcący jakoś pomóc, ale dominują ofiary, które znalazły na listach

– lub właśnie nie znalazły – nazwiska swoich krzywdzicieli.

Pojawił się również inny pomysł. Przed siedzibą amerykańskiego episkopatu w Waszyngtonie 21 sierpnia odbyła się konferencja prasowa, podczas której organizacje poszkodowanych SNAP i Voice of the Faithful (powstała w reakcji na skandal w Bostonie w 2002 r.) ogłosiły złożenie w Departamencie Sprawiedliwości wniosku o rozpoczęcie śledztwa federalnego i wezwały prokuratorów stanowych do podjęcia podobnych postępowań jak w Pensylwanii.

Desperacja

Solidarność z poszkodowanymi, do której wzywa papież, nie powinna pozostać tylko pustym słowem. Ks. Thomas Reese apeluje, by utworzyć diecezjalne fundusze, skąd będą wypłacane odszkodowania ofiarom, których tuszowane latami przez Kościół sprawy już się przedawniły. Poza tym prosi biskupów, by nie słuchali adwokatów i spotykali się z ofiarami nadużyć oraz ich rodzinami. Dla wielu największym bólem jest to, że nie zostali wysłuchani, co w procesie terapii jest kluczowe. Wielu zranił fakt, że im nie uwierzono i że wynajęci przez diecezję prawnicy bronili oskarżonego, podczas gdy oni, diecezjanie, stali po drugiej stronie. „Pytajcie ich" – odpowiada ks. Reese na pytanie, co jeszcze możemy zrobić, by im pomóc.

Inne działanie sugerowała podczas konferencji prasowej przed siedzibą episkopatu USA Judy Lorenz, żona molestowanego w latach 70. w Kentucky Davida. Prosiła, by wierzący dołączyli w ramach solidarności do protestów i aby osoby łożące w jakikolwiek sposób na Kościół wstrzymały dotacje do czasu zdecydowanych działań. „Przestańcie siedzieć w ławkach!" – prosiła katolików. I wzywała do protestu pod siedzibą arcybiskupa Wuerla.

Wyrazem solidarności i tego, że stoimy razem z poszkodowanymi, może być również gniew. Bo gniew jest znakiem zaangażowania i nieobojętności. Jezuita James Martin namawia wręcz, byśmy gniew pielęgnowali i użyli go do walki ze złem w Kościele. ©℗

ZUZANNA RADZIK

Współpraca ARTUR SPORNIAK

KEVIN LAMARQUE / REUTERS / FORUM

W siedzibie Konferencji Episkopatu USA, Baltimore, listopad 2011 r.

Gniewna wiara wolnych

PIOTR SIKORA

Jak wierzyć w Kościół i w Kościele, którego instytucje nie radzą sobie z tak potwornymi nadużyciami?

„Wierzę w jeden, święty, powszechny i apostolski Kościół" – to dla wielu katolików najtrudniejsze zdanie Credo. Na jaw wyszły kolejne historie seksualnego wykorzystywania, którego dopuszczali się liczni księża, a nawet biskupi wobec dzieci i uzależnionych od siebie dorosłych. Co więcej, okazuje się, że sprawcy tych koszmarów byli kryci przez kościelną instytucję, ofiary zaś nie mogły w niej znaleźć żadnego wsparcia i współczucia.

W obliczu takich potworności w wielu z nas – zwłaszcza w tych, którzy są ofiarami nadużyć – rodzi się pytanie: czy mogę jeszcze wierzyć w tym Kościele? Jeśli tylu księży, w tylu miejscach na świecie – także w Polsce – krzywdziło słabszych i od siebie zależnych, a ich krzywdy były przez lata ukrywane i tylko niektóre wychodzą na jaw, to naturalna wydaje się reakcja: jak przyjmować komunię z rąk księdza, który funkcjonuje w ramach tej moralnie podejrzanej organizacji? Jak powierzyć któremuś z nich swoje najgłębsze zranienia w intymnej rozmowie w trakcie spowiedzi? Jak słuchać pouczeń biskupów, jeśli tylu z nich dbało o reputację swojej instytucji i kolegów, a nie okazało współczucia słabym i pokrzywdzonym?

Coraz to nowe historie, ujawniane dzięki pracy świeckich, niekościelnych ciał, pokazują, że to nie tylko grzechy poszczególnych, choćby licznych „ludzi Kościoła", lecz strukturalna skaza wpisana w fundamenty instytucji, w jej struktury władzy i stojące za nimi teologiczne uzasadnienia. Czy zatem nie trzeba powiedzieć wreszcie: „Dość! Nie w moim imieniu!" – trzasnąć drzwiami i podążać swoją drogą?

Gniew i wolność

Jest jednak inna droga. Nie trzeba na niej tłumić gniewu i buntu. Bo zło się stało i zło się dzieje. Gniew zaś i bunt to naturalne, ↦

↦ dane nam od Boga reakcje na potworność świata. Ileż to razy na kartach Biblii czytamy, że sam JHWH widząc zło, zawrzał gniewem... I czyż to nie natchnione psalmy miotają przekleństwa na tych, co krzywdzą słabych i biednych na tej ziemi? Warto jednak, by gniew i bunt docierały do przyczyn zła i wycinały je u korzeni. Nie jest to dziś łatwe, choćby dlatego, że to zło ma mnóstwo splątanych przyczyn.

Jedną z kluczowych, które umożliwiły taką skalę wykorzystywania słabszych, jest władza. Nawet papież to przyznał w liście „do Ludu Bożego" – nazywając tę aberrację klerykalizmem: „Klerykalizm, któremu sprzyjają zarówno sami kapłani, jak i świeccy, tworzy rozłam w ciele eklezjalnym, który sprzyja i pomaga w popełnianiu wielu złych rzeczy, które teraz potępiamy". Dlatego właśnie, kontynuuje Franciszek, „powiedzenie »nie« wobec nadużycia oznacza stanowcze odrzucenie wszelkich form klerykalizmu".

By odrzucić wszelkie zewnętrzne formy klerykalizmu, trzeba najpierw wyplenić go ze swej wiary. Prześladowcy czerpali bowiem siłę, która dawała im przewagę, z wiary ofiar i ich otoczenia; udało się im wmówić, że to oni są pośrednikami między człowiekiem a Bogiem, wyrazicielami Jego woli, że trzeba im zatem zaufać i powierzyć siebie, nie bronić się, nie szukać oparcia gdzie indziej, nie uciekać ani nie walczyć. Była to władza także nad bliskimi ofiar i ich otoczeniem – rodziną, parafią, miejscem zamieszkania.

Wiara to kwestia tego, czy życie jako całość ma sens, to droga ku Bogu. I dlatego musimy tak wierzyć, by żaden sycący się grzechem człowiek nie miał nad naszą wiarą (a przez to nad nami) duchowej władzy. Jeden jest Pan, i nie ma innego. Trzeba nam w wierze stać na własnych nogach, a kolana zginać tylko przed Bogiem. Nie znaczy to jednak, że powinniśmy opuścić wspólnotę Kościoła. Wprost przeciwnie.

Bezpośrednia obecność Boga

U źródeł chrześcijaństwa leży nauczanie świeckiego Żyda, syna cieśli z Nazaretu. Co więcej, elementem tego nauczania była krytyka ludzkiej uzurpacji pośrednictwa pomiędzy Ojcem a Jego dziećmi, wszelkiego tylko ludzkiego autorytetu, który rościłby sobie pretensje do rządu dusz. Weźmy słowa z Ewangelii Mateusza: „Otóż wy nie pozwalajcie nazywać się Rabbi, albowiem jeden jest wasz Nauczyciel, a wy wszyscy braćmi jesteście. Nikogo też na ziemi nie nazywajcie waszym ojcem; jeden bowiem jest Ojciec wasz, Ten w niebie. Nie chciejcie również, żeby was nazywano mistrzami, bo jeden jest tylko wasz Mistrz, Chrystus" (Mt 23, 8-10).

Pierwotny Kościół zachowywał tę świadomość bezpośredniej obecności Boga w życiu każdego chrześcijanina. Apostołowie w dzień Pięćdziesiątnicy ogłaszają spełnienie się proroctwa Joela: „W ostatnich dniach – mówi Bóg – wyleję Ducha mojego na wszelkie ciało, i będą prorokowali synowie wasi i córki wasze, młodzieńcy wasi widzenia mieć będą, a starcy – sny. Nawet na niewolników i niewolnice moje wyleję w owych dniach Ducha mego, i będą prorokowali" (Dz 2, 17-18).

Chrześcijanie są uczestnikami nowego przymierza, a polega ono – głosi Bóg przez Jeremiasza – m.in. na tym, że „umieszczę swe prawo w głębi ich jestestwa i wypiszę na ich sercu. Będę im Bogiem, oni zaś będą Mi narodem. I nie będą się musieli wzajemnie pouczać jeden mówiąc do drugiego: »Poznajcie Pana!«. Wszyscy bowiem od najmniejszego do największego poznają Mnie" (Jr 31, 33b-34).

Bezpośrednia obecność Boga wiąże się nie tylko z dekonstrukcją ludzkich autorytetów dotyczących poznania najważniejszych spraw egzystencji. Jak pisze autor listu do Tymoteusza: „Albowiem jeden jest Bóg, jeden też pośrednik między Bogiem a ludźmi, człowiek, Chrystus Jezus" (1 Tm 2, 5). Jak mówi Jezus Samarytance, prawdziwy kult Boga nie potrzebuje góry ani świątyni, „nadchodzi godzina, (...) kiedy to prawdziwi czciciele będą oddawać cześć Ojcu w Duchu i prawdzie, a takich to czcicieli szuka Ojciec. Bóg jest duchem: potrzeba więc, by czciciele Jego oddawali Mu cześć w Duchu i prawdzie" (J 4, 23-24).

Bezpośrednia obecność Boga w naszym życiu nie może prowadzić jednak do indywidualizmu wiary. Jak podkreśla 1 List św. Jana: „Wy natomiast macie namaszczenie od Świętego i wszyscy jesteście napełnieni wiedzą (...) namaszczenie, które otrzymaliście od Niego, trwa w was i nie potrzebujecie pouczenia od nikogo, ponieważ Jego namaszczenie poucza was o wszystkim" (1 J 2, 20). Jednocześnie ten sam list podkreśla konieczność wzajemnej miłości na drodze ku Bogu: „Nikt nigdy Boga nie oglądał. Jeżeli miłujemy się wzajemnie, Bóg trwa w nas i miłość ku Niemu jest w nas doskonała" (1 J 4, 12).

Miłość tworzy relacje. Dlatego właśnie droga ku Bogu jest drogą we wspólnocie. Dlatego istnieje Kościół – wspólnota ludzi zmierzających ku Bogu. Dlatego właśnie nie należy opuszczać tej wspólnoty pomimo targającego nią skandalu zła – a może właśnie tym bardziej teraz.

Wiara w Kościół nie musi mieć klerykalnego charakteru. Mówiąc Credo, wyrażam wiarę, że Bóg jest obecny wśród wszystkich chrześcijan, że w tej wspólnocie są relacje inne niż przemoc, że ta nie zdołała zniszczyć miłości. Wierząc w Kościół wierzę więc także w skrzywdzone ofiary, w to, że zadane im rany nie zniszczyły ich całkiem, że pomimo wszystkiego, co ich spotkało – nadal kochają.

Wierząc w Kościele uznaję, że potrzebuję ludzkiej rady, jak dać się prowadzić Duchowi. Ale, po pierwsze, mogę szukać tej rady u wszystkich tworzących wspólnotę. Po drugie, szukam rady, ale tylko Bóg pozostaje moim przewodnikiem. Wierząc w Kościele, odnajduję Boga w relacjach z ludźmi. Wyrażam to przede wszystkim w uczestnictwie w uczestnictwie w sakramentalnej celebracji Eucharystii.

A co z grzechem naszym? Czyż Kościół nie wymaga, by zgrzeszywszy, udać się do spowiedzi tylko do kapłana? Jak można wierzyć w Kościele bez uznania ludzkiej władzy nad sobą w tym najbardziej wrażliwym miejscu? Jeśli więc ktoś nie ma dziś żadnego księdza, któremu ufa, czy pozostanie mu trwać w grzechu? Ależ nie, to przecież Bóg odpuszcza grzechy. A obecne prawo kanoniczne mówi (kan. 960), iż „moralna niemożliwość" zwalnia z konieczności spowiedzi.

Odpowiedzialność

Wierzyć, choćby z gniewem, warto zatem dla relacji, w które Bóg przenika. Im bardziej zaś jesteśmy dorośli w wierze – dzieci wobec Boga, wobec siebie równi – tym większa nasza odpowiedzialność za kształt wspólnoty. Warto więc jej nie opuszczać także dla tych, którzy mają problem z wyzwoleniem się spod zawłaszczonej przez ludzi, a Bogu przynależnej władzy. Być dla nich wsparciem i przykładem w drodze ku wolności wiary.

Opuszczenie zaś wspólnoty z powodu grzechu niektórych jej członków i skazy instytucji czyż nie byłoby przyznaniem, że tej wolności jeszcze nam brak, że nadal dajemy im władzę określania swej wiary i życia? Mimo wszystko zatem: „*credo unam sanctam, catholicam et apostolicam Ecclesiam*".

©℗ PIOTR SIKORA

SZYMON

Hołownia:
Piosenka Dosmucacza

Przez profile kilku moich internetowych znajomych przewinęła się ostatnio historia George'a Juniusa Stinneya Jr., najmłodszego obywatela USA posadzonego na krześle elektrycznym. Egzekucja odbyła się w czerwcu 1944 r.; czarnoskórego chłopca po dwugodzinnym procesie skazano na śmierć za zabicie dwóch białych dziewczynek. Ustalenie werdyktu zajęło przysięgłym dziesięć minut.

Stinney do końca utrzymywał, że jest niewinny, jeszcze idąc na miejsce kaźni w ręku ściskał Biblię, pewnie próbując po dziecięcemu pokazać, że to poważna sprawa, że bierze Boga – w którego tak gorąco wierzą ci, co chcą go zabić – na świadka swojej niewinności. Ponieważ śmiercionośne urządzenie, jakim dysponował stan Karolina Południowa, było za duże dla drobnego dziecka, musiał on podobno usiąść na podłożonych książkach, a podczas egzekucji spadła mu też mająca zasłonić twarz maska. Siedem dekad później sąd uznał, że do wydania wyroku doszło z rażącym naruszeniem prawa, pogwałcone zostały konstytucyjne wolności Stinneya, dochodzenie miało znamiona farsy, a zeznania wymuszono. Nie wzięto pod uwagę zeznań zapewniających chłopakowi alibi. Trudno się nie domyślać, jak istotnym czynnikiem był tu kolor skóry oskarżonego.

70 lat temu i szacowny sąd, i ława przysięgłych, i z pewnością liczne grono zacnych obywateli, których reprezentacja wybrała się, by być świadkami egzekucji, mieli – przypuszczam – pełne przekonanie, że postępują słusznie, że tak właśnie winno wyglądać wymierzanie sprawiedliwości, przywracanie ładu na świecie. Nie wiem, czy widzieli w tym dobro, z pewnością jednak – skoro to zrobili – nie widzieli w tym nic złego. A gdyby byli katolikami (nie wiem, czy byli), mogli spokojnie oprzeć się na nauczaniu Kościoła i jego katechizmie. Dziś większość z nas patrzy na ich postępowanie z odrazą, uznając je za *horrendum*, etyczną patologię, po prostu – za sądową zbrodnię.

Myśląc o tym, uświadomiłem sobie, że nie można wykluczyć, iż całkiem spora paleta postaw, poglądów, wyborów, których dziś dokonujemy z pełnym przekonaniem i gorąco uzasadniamy (także powołując się na Pana Boga), zostanie uznana za ohydę przez naszych prawnuków. Że – jakkolwiek banalnie by brzmiała ta konstatacja – teraźniejszość, w której tkwimy po uszy, ma to do siebie, że wraz z wybiciem każdej północy staje się historią. I że coś, co dziś wydaje się korzystaniem ze świętych praw i pobłogosławione przez najświętsze teorie, za parę chwil objawi swoją prawdziwą twarz i okaże się bluźnierstwem.

Dobrze, że zrozumiał to mój Kościół, który kilka tygodni temu autorytetem papieża potwierdził, że wymierzanie kary śmierci nie mieści się w moralnym katalogu chrześcijanina. A skoro dziś się nie mieści, *de facto* nie mieściło się nigdy, tyle że my dopiero po dwóch tysiącach lat zdołaliśmy to odkryć (bo Objawienie pozostaje niezmienne, to my, idąc przez czas, odkrywamy nowe jego aspekty). Nie ma, bo jak wiadomo być nie może, żadnej racji przemawiającej za tym, by zabijać bezbronnego człowieka (skazaniec nie zawsze jest niewinny, zawsze jednak w chwili egzekucji jest bezbronny), niewielu to bowiem odstraszy, skuteczną izolację od społeczeństwa można zorganizować w inny sposób. A poza tym nie jest to przecież nawet kara (ta w chrześcijańskiej doktrynie ma zawsze charakter poprawczy, ma nie tylko stanowić odpłatę, ale przede wszystkim pomoc grzesznikowi w powrocie na właściwą drogę), lecz czysta, prymitywna, choć ubrana w prawnicze eufemizmy, zemsta.

Jeremiady moich kolegów z katolickiej betoniarki lamentujących, że „papież oszalał" albo że „uruchamia procesy gnilne", to wyraz niezrozumienia wspomnianej wyżej dynamiki Objawienia, wyparcie najprostszej z możliwych konstatacji, jaką ma się czytając najpierw Stary, później Nowy Testament i obserwując, jak poszerzało się nauczanie Kościoła: Bóg pozwala nam odkryć tyle prawdy, ile na danym etapie jesteśmy w stanie przyjąć. Jaki to paranoiczny lęk przed utratą poczucia bezpieczeństwa płynącego z moralnych przyzwyczajeń (mylonych z Tradycją) pozwala komuś snuć teraz dyrdymały o „dwubiegunowej matce", która oszukuje swoje dzieci, mówiąc im, że coś jest OK, a później, że jednak nie jest OK? To bardzo mądra Matka, która dojrzewa wraz ze swoimi dziećmi, szuka Boga zostawiającego naszemu pokoleniu tropy tu i teraz (bo przecież nie zaniechał tego w VIII czy XIII w.), która nie zmienia odwiecznych prawd, pozwala jednak na to, by poszerzała się ich recepcja. Dziś, w XXI w., gdy tak rozwinęły się nauki o człowieku, stać nas na radykalne podejście do piątego przykazania. Choć w oryginalnym sensie zbliżone było raczej do „nie popełnisz morderstwa", czym jednak innym, jak nie morderstwem była egzekucja George'a Juniusa Stinneya? Jaka ziemska sprawiedliwość jest w stanie zapewnić nas, że takiego błędu więcej nie popełni? Nawet więc jeśli do kogoś nie trafiają argument z miłosierdzia czy racjonalne argumenty o zbędności kary śmierci, niech zastanowi się, czy nie warto powstrzymać się od niej, by ochronić siebie przed zostaniem mordercą.

Spostrzeżenie, że budowane dziś przeze mnie z myśli i działań domy mają piętro dla mnie w tej chwili niedostępne, które otworzą (i ocenią całość konstrukcji) dopiero moje prawnuki, nie jest źródłem frustracji, tylko wdzięczności. Wybija mnie z kuszącego w tych czasach przekonania, że każdy „sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem", przypomina, że bieg (że nawiążę do znanego cytatu ze świętego Pawła), który mam ukończyć, jest sztafetą. Uczy pokory wspomnienie o tym, ilu już ten świat nosił zawodowych „adwokatów Pana Boga", kieszonkowych mesjaszy, zbawców narodów, Kościołów, polityczno-religijnych proroków. Ileż pewnych opinii okazało się humbugami, ile złotych myśli – tombakiem! Kiedy czuję, że zbyt ciągnie mnie na fotel Ducha Świętego, stosuję najlepszą znaną mi odtrutkę: codziennie przed snem i po przebudzeniu kilka kropli Księgi Koheleta. Traktujemy ją czasem jak „Piosenkę Dosmucacza" z Kabaretu Starszych Panów, surrealistyczny przerywnik w epoce, gdy co krok to jakaś świetlana jutrzenka, a przecież to też jest Słowo Natchnione. Przypomnienie, jak bardzo ciężko można się napracować, jak zmęczyć i jak zasłużyć w ciężkiej służbie pogoni za wiatrem. ©

FRAKCJA ROSYJSKA WRACA DO GRY

„Stalina by tu na tydzień i byłby porządek!" – rzucił kierowca Sasza, gdzieś między Siewierodonieckiem a Kramatorskiem. Ten głos dobrze oddaje moment zawieszenia, w jakim znalazła się Ukraina.

TADEUSZ IWAŃSKI Z DONBASU (UKRAINA)

Gdy ponad cztery lata temu Rosja dokonała aneksji Krymu i rozpoczęła agresję militarną w Donbasie, sporą popularność zyskała opinia, że w ten sposób Władimir Putin stworzył na Ukrainie nowoczesny naród polityczny: prozachodni i antykremlowski. Ukraińskie społeczeństwo ostatecznie miało przekonać się o fałszywości wielowiekowej rosyjskiej propagandy o „bratnim narodzie" i „wschodniosłowiańsko-prawosławnej jedności".

Dziś, gdy Krym pozostaje w rękach Rosjan, a wojna doniecka trwa już piąty rok (nawet jeśli jest to konflikt o niskiej intensywności, to nadal jest to wojna, w której codziennie ktoś ginie lub/i odnosi rany), tamtą opinię można częściowo uznać za słuszną. Ma umocowanie w badaniach socjologicznych: w skali kraju potwierdzają one radykalny spadek pozytywnego stosunku obywateli Ukrainy do Rosji oraz śladowe poparcie dla idei integracji ze wschodnim sąsiadem.

Ale jednocześnie proces ten – cementowany polityką zrywania przez Kijów więzów politycznych, gospodarczych, społecznych i religijnych z Moskwą, dekomunizacyjnymi inicjatywami Ukraińskiego Instytutu Pamięci Narodowej i radykalną retoryką władz – jest daleki od zakończenia.

Wciąż brakuje bowiem odpowiedzi na pytanie, czy antyrosyjskość to wystarczające spoiwo w konstruowaniu nowej ukraińskiej tożsamości. Oraz: jak bardzo ta zmiana społeczna jest trwała – i jak jest głęboka w różnych regionach Ukrainy? Bo okazuje się, że w różnych miejscach przebiega ona w odmienny sposób.

Przy czym – jak pozwalają sądzić nie tylko badania socjologiczne, ale też rozmowy z mieszkańcami Donbasu – nadzwyczaj mozolnie dokonuje się ona w przyfrontowych regionach wschodniej części Ukrainy. Czyli tych, które rosyjskiej agresji doświadczyły przecież z bliska. Paradoks? Niekoniecznie.

Rewolucja, której nie było

Właśnie tych dwóch pytań – o zmianę i charakter procesów tożsamościowych – nie sposób było nie mieć z tyłu głowy, podróżując z północnego wschodu Ukrainy w linii prostej na południe, od Siewierodoniecka do Mariupola nad Morzem Azowskim.

W tych częściach kraju, gdzie – zdawałoby się – powinna być ona najbardziej widoczna, owej zmiany świadomościowej nie widać. A warunki najbardziej sprzyjające jej zaistnieniu, jak się wydaje, już minęły. Są to bowiem tereny leżące w bezpośredniej bliskości dwóch tzw. republik ludowych (ługańskiej i donieckiej, w skrócie: LNR i DNR), gdzie działania Rosji oraz jej lokalnych popleczników są znane nie z mediów, lecz z autopsji, a identyfikacja swój–obcy powinna (teoretycznie) nastąpić szybciej niż gdzie indziej.

Tymczasem w pozostających pod kontrolą sił ukraińskich zachodnich regionach obwodu ługańskiego i donieckiego, w pobliżu wciąż regularnych działań wojennych – życie wróciło do normy. W miastach i wioskach, położonych kilkanaście-kilkadziesiąt kilometrów na zachód od linii frontu, nie słychać wystrzałów, nie widać nowych fal przesiedleńców, trudno spotkać transporty żołnierzy, techniki wojskowej czy też patrole Gwardii Narodowej poruszające się po drogach (zresztą, co zasługuje na uwagę, częściowo nowych, bo w ostatnich latach sprawnie remontowanych – w odróżnieniu od wielu innych regionów kraju, gdzie ich stan bywa dramatyczny).

Co więcej, znikają blokposty – umocnione punkty kontrolne na głównych trasach. Jeszcze w 2015 i 2016 r. było ich na drodze z Charkowa do Kramatorska ponad dziesięć, podobnie jak na drodze Mariupol–Dniepr (dawniej, przed derusyfikacją, Dniepropietrowsk). Dziś są raptem trzy, obsadzone znudzonymi funkcjonariuszami policji, którym nie chce się nawet sprawdzać bagażnika. Przez niektóre można przejechać bez dokumentów, a podejrzeń nie wzbudzają obcokrajowcy podróżujący autem na mołdawskich (Naddniestrze!) numerach.

Projekt ukraiński (jeszcze) nie zwyciężył

Poczucie strachu ustąpiło prozie życia, a trwała zmiana świadomości mieszkańców tych terenów nie dokonała się – choć jeszcze w 2014 i 2015 r., w okresie masowej i bezprecedensowej mobilizacji ochotników, wolontariuszy oraz aktywistów wydawało się niemal pewne, że projekt ukraiński tutaj zwycięży.

Podobnie jak przed wojną, tu, w Donbasie, w dalszym ciągu ukraińską i prozachodnią tożsamość można znaleźć jedynie w większych miastach, w mieszkaniach lub w biurach mających kontakty prywatne lub służbowe ze światem zewnętrznym, np. z zachodnimi dostarczycielami pomocy humanitarnej.

W Słowiańsku czy Siewierodoniecku – miastach odbitych przez siły rządowe z rąk tzw. separatystów podczas letniej kampanii 2014 r. – masowo manifestowany proukraiński entuzjazm (flagi, koszulki, pomalowane na żółto-błękitno fasady) nie przerodził się w świadomy patriotyzm. Dziś, w sytuacji tej wojny-niewojny, żółto-błękitne barwy przyblakły, a szlachetne uniesienie ustąpiło miejsca marazmowi i irytacji.

Kijów (znowu) winowajcą

Powodów takiej sytuacji jest kilka, lecz jeden wydaje się szczególnie uderzający: wściekłość na władze centralne, u podstaw której leży niski poziom życia i brak perspektyw.

To Kijów na pierwszym miejscu obwiniany jest o wszelkie niepowodzenia. Nie władze lokalne – choć często są to ci sami ludzie, co przed wojną, lecz w innych barwach partyjnych. I nie Rosja – jej agresywne działania postrzegane są jako przebrzmiałe i wyolbrzymione, a szczodrze sączona przez internet i satelitę propaganda uznawana jest za nieistotną.

I nie o brak reform tu chodzi. W percepcji w iększości obywateli pomajdanowe reformy, o których rozprawiają kijowskie elity i światowe mocarstwa, mają postać głównie podwyżek opłat komunalnych, likwidacji zakładów pracy oraz wzrostu cen podstawowych produktów. ↳

TADEUSZ IWAŃSKI

Krajobraz Donbasu; w tle kurachowska elektrownia cieplna; lato 2018 r.

↦ Rozpowszechniona jest opinia, że to Rewolucja Godności była dla Donbasu początkiem zguby, a za wojnę odpowiedzialność ponoszą ci, którzy tę rewolucję wywołali.

Igor, dziś kierowca, a za Związku Sowieckiego robotnik wykwalifikowany pracujący za kręgiem polarnym, przedstawił logiczną wersję wydarzeń: – Prezydent Janukowycz powinien był zdusić Majdan, pokazać siłę. Ilu ludzi tam zginęło? Stu, niebiańska sotnia? A niechby nawet i trzystu zginęło, to nie byłoby wojny na wschodzie i nie zginęłyby tysiące, a miliony nie musiałyby opuszczać swoich domów. A przemysł by się ostał i Krym byśmy wciąż mieli!

Igor wskazał też winnych rewolucji i wojny: – To kijowscy oligarchowie, którzy obalili Janukowycza, bo jego syn Aleksander zanadto zaczął rozpychać się w biznesie.

Oczywiście można argumentować, że prości ludzie nie dostrzegają reform, w bólach przegłosowywanych przez parlament pod naciskiem zachodnich kredytodawców. Że nie rozumieją logiki transformacji i uwarunkowań biurokratycznych, koniecznych do skutecznego wdrożenia zmian. Nie zmieni to jednak faktu, że winowajcą wszystkiego są dla nich kijowskie elity – pogrążone w walkach miedzy sobą i odklejone od prawdziwego życia.

– A zaorać tych polityków i oligarchów wszystkich; tylko kradną i ludzi nie słuchają. Przychodzą coraz to nowi, na cztery lata, na pięć lat i kradną, kieszenie napychają, a potem odchodzą. I potem znowu. Ile tak można żyć? – sarknął Igor, parkując starego chevroleta w błocie i kałużach pod zdezelowanym dworcem autobusowym w Limanie (przed dekomunizacją: Krasnym Limanie).

Można by rzec: nic nowego. Donbas nigdy nie kochał stolicy. Nawet za prezydentury Janukowycza miał do reszty Ukrainy stosunek tyleż pogardliwy, co zmitologizowany – jak robotnik fizyczny do inteligenta. Ale nie o miłość tu chodzi. W czasie wojny liczy się lojalność wobec państwa, a tej brakuje.

Rosja to (ciągle) opcja

Niechęć do Kijowa nie oznacza jednak automatycznie sympatii do tzw. separatystów. A w każdym razie – nie do ich parapaństw. Skutki wojny i rządów marionetkowych prorosyjskich władz w Doniecku i Ługańsku okazały się skuteczną odtrutką na separatyzm *à la* LNR i DNR, intensywne kontakty między obiema stronami „linii rozgraniczenia" (jak oficjalnie nazywana jest linia frontu) uświadamiają zaś, że życie po ukraińskiej stronie jest wygodniejsze.

Na Ukrainie wciąż są duże różnice w sprawie stosunku do Rosji czy integracji z NATO/UE. Mimo utraty części Donbasu i Krymu, wschód kraju i w dużej mierze jego południe pozostają bastionami nastrojów eurosceptycznych.

Jednak to nie obie nieuznane republiki są głównym konkurentem „projektu Ukraina". Na terenach kontrolowanych przez Kijów, wzdłuż linii frontu, to Rosja pozostaje punktem odniesienia – i to tym ważniejszym, im dłużej w Słowiańsku, Pokrowsku czy Wołnowasze nie widać namacalnych rezultatów działań porewolucyjnych władz w Kijowie. Czyli: nowych miejsc pracy, nowej infrastruktury czy choćby nowej jakości administracji. Dla mieszkańców tego nowego pogranicza życie w państwie ukraińskim nie jest wcale oczywistością, a Rosja – choć agresor – to wciąż opcja.

Wynika to z potrzeb życia codziennego. I tak, wyjazdy do pracy w Rosji – przed wybuchem wojny bardzo popularne, a od wiosny 2014 r. częściowo zawieszone – dziś są tak samo częste, jak praca w Polsce czy innym kraju Unii Europejskiej. Nie ma moralnych oporów przed wizytami, sprawunkami czy urlopami u północnego sąsiada, w tym na Krymie – liczy się prosty rachunek zysków i strat.

„Świadomi" (i żyjący dostatniej) Ukraińcy z Kijowa, Lwowa czy nawet z Dniepra i Charkowa pogardliwie nazywają ludzi prezentujących taką postawę „watnikami" (jako że, w ich mniemaniu, zamiast mózgu mają „watę"). Ale jeśli – jak mówi Sergiej z przyfrontowego Kramatorska – miesięczne rachunki zimą za prąd, wodę i ogrzanie jego 40-metrowego mieszkania wynoszą prawie 2 tys. hrywien, a za przyzwoite zarobki na tych terenach uznaje się 3 tys. hrywien [dziś równowartość ok. 400 złotych – red.], to nie wojna i nie separatyści stanowią główną bolączkę mieszkańców Donbasu, lecz dylemat, jak przeżyć.

W efekcie sentyment do Związku Sowieckiego – po 1991 r. zawsze silny w Donbasie – pozostaje żywy, nienawiści do Rosji zaś nie widać. Wyraźnie odczuwalna jest natomiast atmosfera plebiscytu: kto da więcej i gdzie żyje się lepiej? W tej konkurencji tzw. LNR i DNR przegrywają. Ale Ukraina nie wygrywa w niej z Rosją.

Kraj mentalnie (nadal) podzielony

Gdy weźmiemy pod lupę całą Ukrainę, od 2014 r., obserwujemy stałą tendencję: jej obywatele coraz mniej przyjaźnie odnoszą się do Rosji i do integracji z nią swego kraju, a coraz bardziej do integracji z Zachodem – Unią Europejską i Sojuszem Północnoatlantyckim. Tendencja ta była tym wyraźniejsza w okresach eskalacji militarnej w Donbasie.

Ten kij ma jednak dwa końce: w czasie niskiej intensywności konfliktu – a taki obserwujemy w zasadzie od bitwy o Debalcewe w lutym 2015 r. – radykalność postaw się zmniejszyła. W lipcu tego roku odsetek zwolenników wyboru Unii Europejskiej jako jedynej organizacji, w której Ukraina miałaby uzyskać członkostwo, był o 17 punktów procentowych niższy (tak, niższy!) niż we wrześniu 2014 r. (badania ukraińskiej Rating Group).

Nie jest to jedyny wskaźnik, który świadczy o tym, że prozachodnia transformacja świadomości obywateli Ukrainy jest odwracalna. Prócz subiektywnych impresji z podróży potwierdza je „twarda" socjologia – szczególnie w rozbiciu regionalnym – badająca opinie na terenach wschodniej Ukrainy.

Zgodnie z opublikowanymi w maju badaniami Międzynarodowego Instytutu Republikańskiego brak akceptacji dla działań porewolucyjnych władz jest największy w południowej i wschodniej części kraju, w przedziale wiekowym 51+ (tj. wśród tych, którzy najczęściej biorą udział w wyborach) oraz wśród elektoratu byłej Partii Regionów Janukowycza (dziś formacja ta występuje pod nazwą Blok Opozycyjny).

Ponadto – działania wojskowe w Donbasie najmniej niepokoją mieszkańców

JONATHAN ALPEYRIE / POLARIS / EAST NEWS

Starcia między wojskiem ukraińskim i siłami rosyjskimi oraz tzw. separatystami to codzienność w okolicach miasta Awdijewka. Donbas, 19 lipca 2018 r.

właśnie wschodniej części Ukrainy, natomiast najbardziej martwią ich takie kwestie jak wzrost cen towarów i opłat komunalnych.

To również wschodnią Ukrainę zamieszkuje najmniejszy odsetek sympatyków integracji Ukrainy z Unią Europejską (tylko 28 proc.), a więcej respondentów wolałoby członkostwo kraju w Unii Celnej Rosji, Białorusi i Kazachstanu (34 proc., najwięcej w całej Ukrainie). I znowu: takie poglądy prezentuje najstarsza, a jednocześnie najbardziej gotowa do udziału w wyborach grupa – czyli ta głosująca na partie mniej lub bardziej otwarcie prorosyjskie (jak przede wszystkim wspomniany Blok Opozycyjny).

Podobnie sprawa się ma, gdy w sondażach pada pytanie o integrację z NATO (na wschodzie „za" jest tylko 20 proc.). Jednocześnie prawie połowa pytanych (49 proc.) deklaruje ciepły stosunek do Rosji, ponad 50 proc. uważa zaś, że w większości sfer życia Ukraina ma więcej wspólnego z Rosją niż Europą.

Frakcja prorosyjska wraca (znów) do gry

Dane te wskazują jasno, że na Ukrainie wciąż istnieją duże różnice regionalne w tak fundamentalnych kwestiach, jak stosunek do Rosji czy integracja z NATO/ /UE. Mimo faktycznej utraty części Donbasu oraz Krymu, wschód kraju i w dużej mierze także jego południe pozostają bastionami nastrojów, mówiąc łagodnie, eurosceptycznych.

Jaki wniosek można wyciągnąć z tych rozważań, szczególnie w kontekście zaplanowanych na rok 2019 aż podwójnych wyborów: w marcu prezydenckich, a w październiku parlamentarnych? Przede wszystkim taki, że pogrobowcy Wiktora Janukowycza i Partii Regionów pozostają jednymi z kluczowych graczy na ukraińskiej scenie politycznej.

Szanse tzw. kandydata wschodu i południa, np. Jurija Bojki z Bloku Opozycyjnego, wejścia do drugiej tury wyborów prezydenckich są spore (nawet jeśli bez szans na ostateczne w niej zwycięstwo) – szczególnie że elektorat patriotyczno-prozachodni zapewne ulegnie rozdrobnieniu, głosując na różnych kandydatów: walczącego o reelekcję Petra Poroszenkę, Anatolija Hrycenkę i Julię Tymoszenko (wszyscy oni rywalizują o podobnego wyborcę).

W takim układzie prorosyjski kandydat będzie mieć również duży potencjał na skuteczne pociągnięcie listy Bloku Opozycyjnego (może w sojuszu z mniejszymi prorosyjskimi partiami) w wyborach do Rady Najwyższej, oraz w efekcie na stworzenie w nowym parlamencie licznej frakcji parlamentarnej – i tym samym na powrót do wielkiej polityki w charakterze silnej opozycji bądź partnera koalicyjnego.

Procesy zjednoczeniowe i koncentracja mediów w obozie prorosyjskim już się zresztą rozpoczęły. A spodziewana wkrótce zgoda patriarchy ekumenicznego Konstantynopola na utworzenie nad Dnieprem kanonicznej Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej – niezależnej od Patriarchatu Moskiewskiego – może dodatkowo zmobilizować w wyborach zwolenników rosyjskiej Cerkwi [o emancypacji ukraińskiego prawosławia patrz „TP" nr 26/2018 oraz powszech.net/ prawoslawie – red.].

Z niepewnym wynikiem

Ponad cztery lata po majdanowej Rewolucji Godności, po aneksji Krymu i po rosyjskiej agresji w Donbasie – przyszłość Ukrainy nie jest przesądzona. A teza o dokonanym już jakoby prozachodnim zwrocie tożsamościowym Ukrainy – przez niektórych uznawana wręcz za oczywistość – jest zdecydowanie przedwczesna. W każdym razie nie na całym terytorium kraju.

Proces ten będzie bowiem długotrwały, a jego ostateczny rezultat pozostaje niewiadomą. Stanie się on zaś nieodwracalny, jeśli władze w Kijowie brakiem realnych reform nie zdyskredytują całkowicie ruchu Ukrainy na Zachód. Nie tylko wśród mieszkańców Donbasu.

© TADEUSZ IWAŃSKI

Autor jest analitykiem Ośrodka Studiów Wschodnich im. Marka Karpia w Warszawie, specjalizuje się w tematyce ukraińskiej.

Dom jest gdzie indziej

AGNIESZKA PIKULICKA-WILCZEWSKA Z BEJRUTU

Trump postanowił przerwać impas izraelsko-palestyński. Jego plan na pokój zakłada, że potomkowie palestyńskich uchodźców utracą ostatecznie prawo do powrotu. Pomysł może okazać się wybuchowy.

Ali Khatib żyje pamięcią przedmiotów. W swoim malutkim muzeum, schowanym pośród ciasnych uliczek Szatili – obozu dla palestyńskich uchodźców w południowym Bejrucie – ma ich setki. Narzędzia do uprawy roli, lampy naftowe, makiety domów, mapy, dokumenty, skrzynie, naczynia, pieniądze, a nawet meble. A wszystkie starsze niż 61-letni Ali i cała Szatila.

Ali zna historię niemal każdego elementu z tej kolekcji. Jego brat, doktor medycyny Muhammed Khatib, przez lata zjeździł dziesiątki miasteczek oraz wsi Libanu i Syrii. Poszukiwał ostatnich szczątków historii swojego narodu – przedmiotów, które pamiętają starą Palestynę. A wszystko po to, by pomieścić je na kilku ziejących wilgocią metrach kwadratowych, w jednym z najbardziej zatłoczonych miejsc na świecie. Tak, żeby nigdy nie były same. Żeby były pamięcią.

Makieta dawnej Palestyny

Najważniejsze zawsze były klucze. Niektóre duże, piękne i rzeźbione, inne pokryte rdzą. Z pewnością żaden z nich nie pasuje już dziś do żadnego zamka. Z nimi jednak najtrudniej było się rozstać tym, których odwiedzał doktor Khatib. Ich właściciele trzymali je w zdobionych szkatułkach lub drewnianych pudełkach – tam, gdzie trzyma się rzeczy najcenniejsze.

Palestyńczycy, którzy w 1948 r. uciekali z terenów dzisiejszego Izraela przed wojną, często wypędzani przez izraelskie wojska, w pośpiechu pakowali najważniejsze rzeczy. Wierzyli, że kiedyś powrócą do swoich domów. Choć w maju tego roku minęło 70 lat od tamtych wydarzeń i nie ma już większości ich świadków, a kilka pokoleń urodziło się i spędziło całe życie w Libanie, Syrii czy Jordanii, to dla Palestyńczyków wygnanie nadal jawi się jako tymczasowe. Muzeum Alego ma o tym przypominać. Tak jak zresztą cała Szatila.

Gdy po przybyciu do Libanu Palestyńczycy skierowani zostali na skrawki ziemi – wydzierżawione od libańskiego państwa przez specjalnie utworzoną Agendę Narodów Zjednoczonych dla Pomocy Uchodźcom Palestyńskim na Bliskim Wschodzie (UNRWA) – przenosili się tam często całymi wioskami. Często też reprodukowali ułożenie swoich wsi, osiedlając się obok dawnych sąsiadów i krewnych, tworząc żywą makietę dawnej Palestyny.

Zapytany o to, czym są dla niego obozy, Ali odpowiada dziś bez namysłu: – To palestyńska wspólnota. Nasze zwyczaje, nasze społeczności, aspiracje. Żyjąc wspólnie w jakimkolwiek miejscu, żyjemy myśląc o naszej wspólnej przyszłości.

I dodaje: – Czuję się tu trochę jak w Palestynie, ale to Palestyna jest moją ojczyzną. Żyjemy z myślą, że kiedyś powrócimy.

UNRWA, czyli symbol

Jednak Ali Khatib oczywiście wie, że kwestia powrotu to sprawa wielkiej polityki. A Palestyńczycy to dla jednych karta przetargowa, dla drugich zaś problem, którego trzeba się pozbyć.

Jako jedna z niewielu grup uchodźczych na świecie Palestyńczycy przekazują swój status uchodźcy z pokolenia na pokolenie, o ich zdrowie i edukację nadal zaś dba UNRWA. Dzięki temu (albo precyzyjniej: także dzięki temu) rządy krajów, w których przyszło im żyć, nigdy nie musiały do końca brać odpowiedzialności za los wygnańców.

UNRWA to również symbol. Jej działalność i istnienie pozwalają na podtrzymanie palestyńskiej tożsamości wśród kolejnych pokoleń oraz pamięci o historii narodu. Podczas gdy Wysoki Komisarz Narodów Zjednoczonych do spraw Uchodźców (UNHCR) – instytucja stworzona do pomocy uchodźcom w uzyskaniu azylu czy repatriacji – szuka rozwiązań, aby zapewnić ludziom bezpieczeństwo, UNRWA przypomina o tym, że problemy Palestyńczyków pozostają nierozwiązane.

O ile w 1948 r. liczbę palestyńskich uchodźców szacowano na 700 tys., to po 70 latach osób mogących korzystać z pomocy UNRWA jest już pięć milionów. A przy tym, poza Jordanią – gdzie większość spośród dwóch milionów Palestyńczyków posiada jordańskie obywatelstwo – są oni bezpaństwowcami. Dyskryminowani, często żyjący w biedzie i naznaczeni piętnem militarnej działalności Organizacji Wyzwolenia Palestyny – która od lat 60. XX w. aż do 1982 r. utrzymywała w Libanie swoje „państwo w państwie", skąd prowadziła walkę zbrojną z Izraelem – tkwią w stanie przejściowym.

Kwestie niepodlegające dyskusji

O ich powrocie na poważnie nie mówi dziś nikt – mimo że już w 1948 r. Zgromadzenie Ogólne ONZ przyjęło rezolucję, która miała gwarantować prawo powrotu lub rekompensatę za utraconą własność. Jako rezolucja niewiążąca, nie przyniosła jednak żadnych rezultatów, a kolejne negocjacje między Izraelem i Autonomią

AGNIESZKA PIKULICKA-WILCZEWSKA

Ali Khatib w muzeum Nakby w Szatili pod Bejrutem, 2018 r.

Palestyńską (powstałą po porozumieniach z Oslo, zawartych między Izraelem i OWP) zawsze kończyły się fiaskiem.

Dziś, w obliczu rosnącej liczby Palestyńczyków, którzy mogą aspirować do statusu uchodźcy, Izrael ani myśli podejmować tematu powrotu – poza wszystkim innym, taki powrót znacząco wywróciłby strukturę demograficzną kraju. Izrael, który definiuje siebie jako państwo żydowskie, nie zamierza brać na barki infrastrukturalnego i politycznego ciężaru potencjalnego przesiedlenia do kraju milionów Arabów, z których większość nosi w sobie poczucie niesprawiedliwości dziejowej czy wręcz nienawiści wobec Żydów i Izraela. Jest to zatem kwestia niepodlegająca dyskusji.

Autonomia Palestyńska z kolei nie może porzucić dążenia do powrotu nie tylko ze względu na to, że tak rozumie sprawiedliwość dziejową. Głęboki konflikt między rządzącym Strefą Gazy radykalnym Hamasem, głównym adwokatem prawa do powrotu, a rządzącym na Zachodnim Brzegu Jordanu Fatahem – z prezydentem Autonomii Mahmudem Abbasem na czele, widzianym jako słaby i nieskuteczny – dodatkowo pogłębia wewnątrzpalestyńskie podziały. Każde ustępstwo w kwestii prawa do powrotu dodatkowo nadwyrężyłoby i tak słabą wiarygodność prezydenta Abbasa.

Plan Trumpa

Trwający od lat impas w konflikcie między Izraelem a Palestyńczykami postanowił przerwać prezydent Donald Trump. Zadanie rozwiązania najdłuższego bliskowschodniego kryzysu powierzył Jaredowi Kushnerowi – swojemu zięciowi i zarazem oficjalnemu „starszemu doradcy" Białego Domu. Z charakterystyczną pewnością siebie Trump ogłosił, że ma zamiar doprowadzić do podpisania „układu stulecia", twierdząc, że nie ma najmniejszego powodu, aby pokój między zwaśnionymi stronami nie został osiągnięty.

Nie mając doświadczenia w dyplomacji ani w sprawach bliskowschodnich – poza jawnym poparciem dla Izraela (Benjamin Netanjahu, konserwatywny premier Izraela, jest przyjacielem jego rodziny), Kushner szybko przystąpił do działania. Ogłosił, że przez dziesięć miesięcy zagłębiał się w niuanse tematu, dzięki czemu jest odpowiednią osobą do rozwiązania trwającego 70 lat konfliktu.

Plan Trumpa wzbudził kontrowersje już w grudniu 2017 r., gdy prezydent uznał za stolicę Izraela Jerozolimę – miasto, w którym Palestyńczycy widzą symboliczne serce swojego przyszłego państwa. Z kolei w styczniu 2018 r. administracja prezydenta ogłosiła zamrożenie części funduszy przeznaczonych dla UNRWA, której budżet od lat w większości zależy od wsparcia Stanów. W efekcie UNRWA otrzymała jedynie 60 mln z obiecanych 365 mln dolarów.

Decyzja ta doprowadziła do największego kryzysu finansowego w historii tej instytucji. Masowe zwolnienia pracowników UNRWA w Strefie Gazy i na Zachodnim Brzegu wywołały protesty – i choć palestyńskie szkoły planują przyjąć uczniów 1 września, to nie wiadomo, czy UNRWA wystarczy funduszy, by przetrwać choćby pierwszy miesiąc nowego roku szkolnego. Nie wiadomo również, co dalej z palestyńskimi szpitalami, także zależnymi od pieniędzy agencji.

Bez prawa do powrotu

Amerykański magazyn „Foreign Policy", który dotarł do tajnej korespondencji Kushnera z wysoko postawionymi urzędnikami administracji Trumpa, twierdzi, że sekretny przepis na pokój na Bliskim Wschodzie ma mieć jeden główny cel: usunięcie wątku prawa do powrotu z negocjacji między Izraelem a Palestyńczykami.

Demontaż UNRWA, którą Kushner miał nazwać „skorumpowaną", „nieefektywną" oraz „niesprzyjającą pokojowi", ma być pierwszym krokiem na drodze do celu. W konsekwencji Palestyńczycy zostaliby pozbawieni specjalnego statusu uchodźcy i prawa do powrotu.

Według „Foreign Policy", dotychczasowe fundusze dla UNRWA miałyby być przekazane krajom goszczącym Palestyńczyków, które od tej pory miałyby wziąć na siebie koszty ich edukacji, opieki zdrowotnej, naturalizacji i przesiedlenia. Propozycję pozbawienia Palestyńczyków statusu uchodźcy Kushner miał już złożyć urzędnikom jordańskim podczas swojej czerwcowej wizyty w tym kraju, ale została ona przyjęta bez entuzjazmu.

Eduardo Wassim Aboultaif, wykładowca na Uniwersytecie Libańsko-Amerykańskim w Bejrucie, zwraca uwagę, że Trump jako pierwszy postanowił w tak jawny sposób interweniować w kwestii prawa do powrotu. ↦

– Amerykanie starają się wytworzyć konflikt pomiędzy krajami, które przyjęły uchodźców, a Palestyńczykami, presja z ich strony ma zaś na celu zmuszenie Autonomii Palestyńskiej do powrotu do negocjacji – mówi mi Aboultaif.

Co dalej? – Z osłabioną UNRWA i ograniczonymi możliwościami krajów regionu, aby wziąć na siebie koszty opieki nad palestyńskimi uchodźcami, wyjściem może okazać się przesiedlenie uchodźców za granicę. Pod warunkiem że zrezygnują z prawa do powrotu do Palestyny – przewiduje Aboultaif.

To płonie wewnątrz nas

Tymczasem prowadzone od 30 marca w Strefie Gazy demonstracje – w ramach „Wielkiego Marszu Powrotu", którym Palestyńczycy próbowali zwrócić uwagę świata na swoją sytuację – przeistoczyły się w krwawy konflikt. Według palestyńskiego ministerstwa zdrowia, z rąk izraelskich żołnierzy zginęło dotąd przeszło 160 Palestyńczyków.

Protestujący wypuszczali z Gazy nad terytorium Izraela balony i latawce, zawierające łatwopalne materiały, które pustoszyły izraelskie pola uprawne, lasy i sady. Eskalacja i wymiana ognia z obu stron były kwestią czasu. Plan Trumpa, zamiast promować pokój, dodatkowo podgrzał atmosferę.

A o to nietrudno. Emocje wśród Palestyńczyków nie opadają, „Wielki Marsz Powrotu" to zaś także efekt dziesiątek lat poniżenia, desperacji i oczekiwania na zmianę. To również wspólna inicjatywa palestyńskich uchodźców, bez względu na miejsce przesiedlenia, i cel jednoczący wszystkich.

Kulminacja protestów nastąpiła w połowie maja. Tamtego dnia również Palestyńczycy w Libanie – podobnie jak ich rodacy w Strefie Gazy – obchodzili Dzień Nakby, czyli Katastrofy (jak określają swoje przesiedlenie).

Także Wafa Issa, około 50-letnia Palestynka, jak co roku maszerowała parę kilometrów do Arnun, położonej na wzgórzu wsi z ruinami średniowiecznego zamku Beaufort, który był kiedyś strategiczną bazą Organizacji Wyzwolenia Palestyny. Ze wzgórza jak na dłoni widać bowiem terytorium Izraela. Stąd Palestyńczycy mogą patrzeć na niedostępną dla nich ziemię ojczystą.

Tego dnia na wzgórzu wszędzie widać było młodzież z kartonowymi transparentami w kształcie kluczy – znaku, że kiedyś na pewno powrócą.

Choć Wafa urodziła się w Bejrucie i dzięki małżeństwu z Libańczykiem ma libańskie obywatelstwo, tak samo jak dwójka jej dorosłych dzieci, to zawsze czuła, że dom jest gdzie indziej. Podobnie jak większość jej rodaków na uchodźstwie, w Palestynie nie była nigdy.

– Miałam kiedyś kefiję zawieszoną na drzwiach mojego mieszkania, a z drugiej strony naszą flagę. Mój dom wyglądał jak ambasada Palestyny – mówiła mi Wafa. – Mam wiele przedmiotów sprowadzonych z Palestyny, wszystkie ręcznie robione. Ale to nie te przedmioty wiążą nas z krajem, lecz to coś, co płonie wewnątrz nas.

Wafa pamięta dzień, gdy po raz pierwszy mogła zobaczyć Palestynę z bliska. To był maj 2000 r., a izraelskie wojska kończyły wycofywać się z pozycji w południowym Libanie, który okupowały od 1985 r. To był moment, gdy wielu Palestyńczyków z Libanu po raz pierwszy mogło podejść pod granicę i choć przez drut kolczasty popatrzeć na swoją ziemię.

– Jestem twarda, rzadko płaczę. To był pierwszy raz, gdy płakałam naprawdę – wspominała Wafa. – Płakałam tak, że nie potrafiłam kontrolować emocji. Nie interesowało mnie nic poza tym, że widzę Palestynę po raz pierwszy. Ale nie mogłam tam pójść, mogłam tylko płakać z bólu. Za każdym razem, gdy jestem przy granicy, czuję to samo.

Perspektywa nowej walki

Sewin Sleiman, 25-latka zatrudniona w palestyńskiej organizacji w Bejrucie, choć od Wafy dzieli ją różnica wieku i doświadczenia, czuje to samo: – Nigdy nie porzucimy prawa do powrotu, nadal będziemy walczyć. Mamy prawo być obywatelami naszego kraju, a nie uchodźcami bez praw w innych krajach – mówi mi Sewin.

Dziewczyna nie ma wątpliwości: plan Trumpa nie rozwiąże konfliktu, nie przyniesie pokoju: – Nie mogę nazwać tego inicjatywą pokojową. To raczej inicjatywa zniszczenia Palestyńczyków żyjących poza Palestyną. To, co dzieje się z UNRWA, to próba pozbawienia nas prawa do edukacji, opieki zdrowotnej i powrotu. To inicjatywa wojny, nie pokoju.

Podobne zdania usłyszeć można niemal od każdego Palestyńczyka. Słychać je na co dzień – także w przedstawieniach palestyńskich uczniów czy w libańskiej debacie publicznej, wśród pracowników organizacji pomocowych.

Słychać je też u Alego, w jego skansenie pamięci o dawnej Palestynie: – Ludzie muszą walczyć. Ktoś zabrał ich domy siłą i nie ma na co czekać, trzeba być tutaj i walczyć, aby odzyskać to, co nam odebrano – mówi Ali Khatib.

Za sprawą nowej inicjatywy administracji Trumpa perspektywa walki zdaje się przybliżać. Wątpliwe jednak, by ktoś wyszedł z niej wygrany.

© AGNIESZKA PIKULICKA-WILCZEWSKA

OGŁOSZENIA

Przed Sądem Rejonowym dla Warszawy-Woli w Warszawie, w II Wydziale Cywilnym, przy ul. Kocjana 3 w Warszawie, pod sygn. akt II Ns 433/17 toczy się postępowanie z wniosku Powiatu Warszawskiego z udziałem Miasta stołecznego Warszawa o stwierdzenie nabycia spadku po Karolinie Zapp-Janusz, ur. 12 maja 1922 r. w Warszawie, zm. 21 października 2004 r. w Warszawie.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców po Karolinie Zapp-Janusz, aby w terminie 3 miesięcy od opublikowania ogłoszenia zgłosili swój udział w sprawie i udowodnili swoje prawa do spadku pod rygorem pominięcia w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym dla Warszawy-Woli w Warszawie, w Wydziale I Cywilnym, pod sygnaturą akt I Ns 570/16 toczy się postępowanie z wniosku Asekuracja sp. z o.o. w Sopocie o stwierdzenie nabycia spadku po Eugeniuszu Stanisławie Woźnicy, s. Romana i Eugenii, ostatnio zwykle przebywającym w Warszawie przy ul. Przyokopowej 10/12/16, ur. 9 stycznia 1945 r. w Warszawie, zm. 5 stycznia 2012 r. w Warszawie.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się i udowodnili prawa do nabycia spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Miejsce pamięci w sali gimnastycznej dawnej szkoły numer 1 w Biesłanie, 2018 r.

Dziecięce dusze ulatują do nieba

TEKST I ZDJĘCIA KAROL FRYTA Z BIESŁANU (OSETIA PÓŁNOCNA, ROSJA)

Choć od ataku na szkołę w Biesłanie minęło 14 lat, to nie ma dnia, aby ktoś nie krzątał się na miejscowym cmentarzu. Na większości grobów nadal leżą zabawki.

Z Władykaukazu, stolicy Osetii Północnej – autonomicznej republiki należącej do Federacji Rosyjskiej i rozłożonej na północnych stokach Kaukazu (a przy tym niewielkiej, bo ledwie 700-tysięcznej i mniejszej od województwa opolskiego) – do Biesłanu jest tylko pół godziny drogi lokalnym busem, tzw. marszrutką.

Gdyby nie wydarzenia z września 2004 r., nazwa tego 35-tysięcznego miasteczka zapewne nikomu nic by nie mówiła. Tymczasem wpisy w księdze gości wyłożonej w miejscowej szkole świadczą, że przyjeżdżają tu ludzie z najodleglejszych zakątków Rosji. Aby złożyć kwiaty, pomodlić się, pomilczeć.

Przybysz, nawet z daleka, nie musi tłumaczyć, po co znalazł się w tym miejscu.

– Nie ma chyba w Biesłanie rodziny, która nie straciła kogoś bliskiego w tamtym ataku – mówi właściciel miejscowej piekarni, pakując gorącą samsę (rodzaj nadziewanego mięsem placka). Także jemu nie muszę wyjaśniać, po co przyjechałem.

– To straszne miejsce. Ale trzeba tam pojechać. Każdy powinien je zobaczyć – dodaje.

Biorę taksówkę. Do szkoły wiezie mnie sędziwy Osetyjczyk. Mówi, że może ze mną pochodzić po miejscu tragedii. Podjeżdżamy na skraj ulicy Bagatowa. Kiedy budynek pojawia się w polu widzenia, mężczyzna kładzie rękę na moim ramieniu. Zatrzymujemy się.

– Idźcie tam jednak sami, oglądajcie spokojnie. To wymaga ciszy. Będę tutaj czekał – deklaruje.

Rzeczywiście, cisza jest kompletna, przerywana tylko dalekimi odgłosami ulicy. Zaskakuje, że do dawnej sali gimnastycznej, jak też do szkoły można wejść bez problemu. Staję pośrodku miejsca, w którym przez trzy dni przebywało w nieludzkich warunkach ponad tysiąc ludzi.

Czeczenia: niepodległość, wojna, radykalizacja

Gdyby szukać przyczyn tego, co się tu stało (przyczyn, nie usprawiedliwień), należałoby cofnąć się do grudnia 1994 r., gdy armia rosyjska po raz pierwszy ruszyła na Grozny, stolicę Czeczenii – niepokornej kaukaskiej republiki. Formalnie należącej do Federacji Rosyjskiej, ale faktycznie od kilku lat niepodległej.

A może trzeba cofnąć się głębiej, do niepodległościowych dążeń Czeczenów ↦

↦ w XIX wieku, gdy pod wodzą imama Szamila na Kaukazie powstało ich państwo? Ale upadło, Rosja podbiła ich ziemie, odbierając dumnym góralom wolność. Potem, w XX wieku, Czeczenów (i ich sąsiadów Inguszów) znów spotkała katastrofa. Po wybuchu II wojny światowej stawili opór, wzniecając powstanie. W odwecie Stalin deportował naród do Azji Środkowej (podobnie postąpił z Tatarami Krymskimi). Czeczeni wrócili na Kaukaz po śmierci dyktatora.

Później, po rozpadzie Sowietów, w wielu miejscach Rosji zawrzało. Wiele małych narodów odnotowało wystąpienie Borysa Jelcyna z 1990 r.: „Bierzcie tyle niepodległości, ile zdołacie strawić". Także Czeczeni wzięli tę niepodległość, już w 1991 r.

Ale cieszyli się nią krótko: Rosja zaatakowała, najpierw w 1994 r., zaczynając konflikt nazwany pierwszą wojną czeczeńską. Trwała ona do 1996 r., pochłonęła od 50 do 100 tys. ludzi i zakończyła się chwilowym zwycięstwem Czeczenów: wymusili rozejm. Przyczynił się do tego brawurowy rajd Szamila Basajewa na szpital w rosyjskim Budionnowsku: czeczeński komendant wziął tam 1500 zakładników i – po rozmowie z premierem Rosji – uzyskał jego zgodę na zawieszenie działań wojennych, po czym spokojnie odjechał (wcześniej zginęło 150 zakładników).

Czy to ten – skuteczny wówczas – *modus operandi* sprawi, że kilka lat później Basajew podejmie podobną próbę?

Ale rozejm nie trwał długo: druga wojna czeczeńska zaczęła się w 1999 r. i trwała dekadę. Tym razem Rosjanie byli lepiej przygotowani, zdeterminowani i brutalni (stosowali taktykę spalonej ziemi). Zabili kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Po krótkim etapie działań regularnych, Czeczeni przeszli do akcji partyzanckich i zamachów. Im okrutniej postępowali Rosjanie, tym bardziej radykalizował się ich wróg – uderzając także w Rosji, także w cywilów.

Rok 2004 obfituje w wydarzenia. W lutym 41 osób ginie w zamachu w moskiewskim metrze. W czerwcu w Nazraniu umiera niemal 100 osób. Nad Tułą i Rostowem eksplodują samoloty. Ostatniego dnia sierpnia znów zamach w moskiewskim metrze, kilkanaście ofiar. Żadna z tych akcji nie przybliża Czeczenów do końca wojny ani niepodległości. Przeciwnie: w atmosferze po zamachach na USA z 11 września 2001 r. władzom na Kremlu tym łatwiej jest przedstawić swoje działania w Czeczenii jako „wojnę z terrorem".

Na biesłańskim cmentarzu, 2018 r.

Dzień pierwszy: atak na szkołę

1 września 2004 r., po ósmej rano, ulice Biesłanu zapełniają rodziny z dziećmi. Idą do szkoły numer 1. Słońce przypieka, uroczystość rozpoczęcia roku szkolnego przełożono z dziesiątej na dziewiątą. Dziewczęta ubrane są w obowiązkowe plisowane spódniczki, na głowach mają upięte białe kokardy; chłopcy zwykle są w schludnych garniturkach.

W tym czasie, w okolicy inguskiej miejscowości Psedak – Biesłan leży blisko granicy z Inguszetią – z obozu partyzantów wyjeżdżają dwie ciężarówki. W nich: 33-osobowy oddział złożony z Czeczenów i Inguszów, pod dowództwem 31-letniego Ingusza Rusłana Kuczbarowa. W grupie są dwie „smiertnice": kobiety w pasach szahida.

Świat usłyszał o „czarnych wdowach" w 2002 r., podczas ataku Czeczenów na teatr na moskiewskiej Dubrowce. Wzięli niemal tysiąc zakładników, widzów musicalu „Nord-Ost", a atak rosyjskich sił specjalnych spowodował śmierć nie tylko terrorystów, lecz także ponad setki widzów. Wśród napastników były kobiety: zwykle wdowy, które straciły niekiedy całe rodziny. Dla nich była to forma osobistej zemsty.

Teraz auta z partyzantami kluczą polnymi drogami. Trafiają na posterunek milicji – jednoosobowy. Kuczbarow porywa milicjanta i jego ładę (w Biesłanie i okolicy w ogóle jest niewiele milicji).

Na szkolnym placu gromadzi się ponad 1200 osób, zaczyna się uroczystość. Dziesięć minut później wjeżdżają tam auta z terrorystami. Serie prują w niebo, wybucha panika. Napastnicy zaganiają ludzi do budynku szkoły. Z zamieszania korzysta porwany milicjant i ucieka. Udaje się to także ok. 50 innym osobom.

Wśród spędzonych do szkoły są uczniowie (w wieku od 6 do 18 lat), są też rodzice i nauczyciele. A także maluchy: cztery biesłańskie przedszkola są w remoncie, więc wielu rodziców zabrało ze sobą także młodsze dzieci.

Przestraszeni ludzie zostają stłoczeni głównie w sali gimnastycznej. Ale jest ich tak dużo, że część będzie trzymana nawet w łazienkach. Terroryści instalują kamery przemysłowe, by mieć kontrolę nad otoczeniem, wyładowują broń: karabinki szturmowe, cztery ręczne karabiny maszynowe, granatniki przeciwpancerne. Mają maski przeciwgazowe – na wypadek, gdyby Rosjanie użyli gazu, jak na Dubrowce (z tego powodu zginęło tam ponad 130 zakładników).

Później będą krążyć plotki, że napastnicy mieli zapas broni w szkole, ukryty podczas jej wakacyjnego remontu. Społeczność Biesłanu nigdy nie pozbędzie się podejrzeń wobec dyrektorki szkoły, że miała coś wspólnego z atakiem. Ta, zaszczuta, wyprowadzi się z miasta.

Napastnicy zaminowują szkołę, przy wejściach i w korytarzach instalują ładunki. Także w sali gimnastycznej, na rozciągniętych kablach. Ocalała kobieta będzie wspominać, jak przez trzy dni wpatrywała się w odklejający się od taśmy ładunek, który zwisał nad jej głową.

Polecają mówić tylko po rosyjsku. Gdy jeden z ojców uspokaja dzieci po osetyjsku, zostaje zabity.

Władze rosyjskie zaczynają reagować. Na miejsce dociera grupa operacyjna FSB z Władykaukazu, potem jednostki z Chankały, Jessentuków i Moskwy. Otaczają szkołę.

O jedenastej szkołę opuszcza jedna z zakładniczek. Niesie kartkę, na której widnieje numer telefonu i informacja, że napastnicy chcą rozmawiać z prezydentami Inguszetii i Osetii Północnej, a także ze znanym w Rosji chirurgiem dziecięcym Leonidem Roszalem, który pośredniczył w negocjacjach na Dubrowce.

Tymczasem w okolicy szkoły zbierają się mieszkańcy Biesłanu. Mężczyźni naładowani są złością, kobiety płaczą.

Po szesnastej dochodzi do eksplozji w budynku – jeden z napastników przez przypadek wysadził się w powietrze. Inni, rozwścieczeni, zabijają 21 ludzi, zwłoki wyrzucają przez okna. Aby podsycić strach, napastnicy mówią zakładnikom

Zdjęcia ofiar w szkole numer 1 w Biesłanie, 2018 r.

w sali gimnastycznej, że to strzelał rosyjski czołg (Rosjanie faktycznie ściągnęli T-72).

Wieczorem do Biesłanu leci Roszal. Próbuje się tam dostać też dziennikarka Anna Politkowska, znana z krytyki prezydenta Putina i działań Rosjan w Czeczenii, która też brała udział w negocjacjach na Dubrowce. Ale nie doleci: po wypiciu herbaty w samolocie z objawami zatrucia trafi do szpitala (w 2006 r. zostanie zamordowana).

W sali gimnastycznej panuje duchota, najmłodsi płaczą, wszyscy cierpią pragnienie. Niektórzy zaczynają ssać łodygi kwiatów, które przynieśli na rozpoczęcie roku. Napastnicy odmawiają dostarczenia wody i prowiantu.

Dzień drugi: próby rozmów

Pierwsze migawki z Biesłanu trafiają do światowych telewizji.

Każda wojna, zwłaszcza ciągnąca się latami – a ta czeczeńska trwa przecież, z niewielkimi przerwami, od 1994 r. – z czasem powszednieje. O Czeczenii światowe media przypominają sobie, gdy dochodzi do kolejnego zamachu. O to chodzi ludziom, którzy zaatakowali szkołę: chcą przypomnieć o dramacie swego narodu. A może chcą powtórzyć sukces z Budionnowska?

Gdy tożsamość napastników staje się znana, pojawia się pytanie: skąd wśród nich tylu Inguszów?

Dotąd w konflikcie rosyjsko-czeczeńskim raczej stali oni na uboczu. Może chodzi o zadawniony spór między Osetyjczykami a Inguszami o Prigorodny rejon (powiat), owoc carskiej polityki „dziel i rząd" na XIX-wiecznym Kaukazie? Po powstaniu Rosji bolszewickiej teren ten dostali Ingusze (wielu z nich sprzyjało bolszewikom). Po 1944 r., gdy Stalin wysiedlił do Azji Środkowej Inguszów i Czeczenów, osiedli tam Osetyjczycy. Po powrocie z zesłania Ingusze zaczęli upominać się o tę ziemię. Rozpad Związku Sowieckiego sprawił, że spór rozgorzał na nowo, wybuchła krótka wojna (jej bilans: ok. 800 zabitych i kilkadziesiąt tysięcy Inguszów wygnanych z Prigorodnego rejonu). Konflikt stłumiła Rosja.

Tymczasem nocą z 1 na 2 września w Nowym Jorku zbiera się Rada Bezpieczeństwa ONZ; potępia akt terrorystyczny i apeluje o uwolnienie zakładników. Amerykanie oferują pomoc Rosjanom „w dowolnej formie". A w Biesłanie napastnicy – widząc, że nic się nie dzieje – pozwalają zakładnikom na kontakt telefoniczny z rodzinami, aby te zaczęły wywierać presję na władze.

Rankiem media rosyjskie podają, powołując się na rzecznika prezydenta Osetii Północnej, Aleksandra Dzasochowa, że w szkole jest 354 zakładników. Mieszkańcy Biesłanu są wzburzeni: przecież tam jest ponad tysiąc ludzi! Również terroryści śledzą wiadomości i je wykorzystują. Sugerują zakładnikom, że zaniżając ich liczbę, rząd rosyjski planuje rozwiązanie zbrojne. Do podobnych wniosków dochodzą mieszkańcy. Pamięć o Dubrowce jest świeża.

Około jedenastej Dzasochow dzwoni do Ahmeda Zakajewa, przedstawiciela władz niepodległej Czeczenii na emigracji. Prosi, by ten skontaktował się z Asłanem Maschadowem, ukrywającym się prezydentem Czeczenii (nieuznawanym przez Rosję). Z Zakajewem kontaktuje się też Politkowska.

Maschadow – świadom, że taki terrorystyczny atak nie pomoże sprawie czeczeńskiej – jest gotów podjąć mediacje. Deklaruje, że przyjedzie do Biesłanu. Ale Rosjanie nie są tym zainteresowani (potem Moskwa będzie obarczać Maschadowa winą za to, co się stało, choć potępił on atak). 17 września, gdy odpowiedzialność weźmie na siebie Basajew, Maschadow wyda oświadczenie, w którym nazwie tę akcję „bluźnierstwem niemającym usprawiedliwienia".

Po szesnastej w szkole pojawia się były prezydent Inguszetii Rusłan Auszew. Będzie jedyną osobą, która negocjowała z terrorystami twarzą w twarz. Ale na postawę Kuczbarowa i jego ludzi nie ma to wpływu. Nadal odmawiają dostarczenia swym więźniom jedzenia i wody. Idą tylko na małe ustępstwo: wypuszczają 26 matek z najmłodszymi dziećmi. Jedna z kobiet może opuścić szkołę wraz ze swym niemowlęciem, ale oddaje je i zostaje ze starszym dzieckiem, dziewięcioletnią córką. Później zginie.

Po wyjściu Auszewa – otrzymuje on kartkę z żądaniami, obejmującymi m.in. wycofanie wojsk rosyjskich z Czeczenii i uznanie jej niepodległości – sytuacja w szkole się pogarsza. Zakładnicy mdleją. Wokół unosi się woń odchodów. Niektórzy, spragnieni, piją własny mocz.

Dzień trzeci: masakra

Zakładnicy są wyczerpani. Pojawiają się problemy wśród chorych na cukrzycę, zwłaszcza dzieci. Tymczasem w domu kultury doktor Roszal spotyka się z mieszkańcami: uspokaja, że dzieci mogą wytrzymać wiele dni bez jedzenia. Potem rodziny będą go za to krytykować.

Około jedenastej napastnicy godzą się na zabranie zwłok zakładników, których zabili pierwszego dnia. Przed trzynastą podjeżdża auto i czterech sanitariuszy zaczyna znosić ciała.

Nagle, o godzinie 13.03 i potem 13.04, salą gimnastyczną wstrząsają wybuchy. ↦

↦ Do dziś nie wiadomo, co je spowodowało. Oficjalna wersja brzmi, że do eksplozji doszło w szkole. Inna wersja mówi, że to żołnierze z jednostki antyterrorystycznej Alfa, rozmieszczeni m.in. na dachu budynku naprzeciw szkoły, użyli broni.

W każdym razie jedna z eksplozji powoduje zawalenie się części dachu sali gimnastycznej. Druga robi wyrwę w ścianie, przez którą zaczynają bezładnie uciekać osmaleni, półnadzy i oszołomieni zakładnicy. Wyskakują też oknami. Terroryści strzelają do nich. W odpowiedzi Rosjanie też strzelają, więc dzieci, rodzice i nauczyciele dostają się w krzyżowy ogień.

Panuje chaos, trwa wymiana ognia; włączają się w nią także uzbrojeni mieszkańcy. Sala gimnastyczna płonie, topią się plastikowe panele sufitu. Brakuje karetek, ciężko ranni odwożeni są prywatnymi autami do szpitala we Władykaukazie. Nie ma dość noszy.

Rosyjskie jednostki mają problem ze szturmowaniem szkoły, bo terroryści z porwanych tworzą żywe tarcze. Akcję utrudniają pył i kurz. Odbijanie zakładników ma wymiar niemal samobójczy, obie strony strzelają do siebie z kilku metrów. Tę drogę śmierci, biegnącą szkolnymi korytarzami i salami, oznaczą potem tabliczki z informacjami, kto i gdzie stracił życie.

Około osiemnastej pozostali przy życiu zakładnicy są wolni. Straż pożarna dogasza budynek przez kilka godzin.

Epilog: bilans i pamięć

Według oficjalnych danych w Biesłanie zginęły 334 osoby, w tym 186 dzieci. Ok. 800 osób, głównie dzieci, zostało rannych. W 66 rodzinach zmarło od dwóch do sześciu osób, a 17 dzieci zostało sierotami. Dla porównania: podczas II wojny światowej na frontach życie straciło 357 mieszkańców Biesłanu.

Zginęli też niemal wszyscy napastnicy. Przeżył 24-letni Nurpasza Kułajew (odsiaduje dożywocie); przypuszcza się, że prócz niego przeżyli inni, którzy skorzystali z chaosu i uciekli.

Pewne jest za to, że Kułajew i jego towarzysze sprawili, że po Biesłanie z idei niepodległościowego zrywu Czeczenów nie zostało wiele; stracili też sympatyków w świecie.

Śledztwa w sprawie Biesłanu prowadziło – prócz prokuratury – kilka komisji. Stowarzyszenia Matki Biesłanu i Głos Biesłanu do dziś podważają ustalenia śledczych. Ich najpoważniejsze zarzuty dotyczą braku negocjacji z napastnikami, organizacji szturmu i przypuszczenia, że masakrę mogło sprowokować nieudolne (lub przypadkowe) rozpoczęcie działań przez stronę rosyjską. Także większość ekspertów zajmujących się terroryzmem negatywnie oceniała działania rosyjskich służb.

W 2017 r. Europejski Trybunał Praw Człowieka nakazał Rosji wypłatę niemal 3 mln euro odszkodowania dla rodzin ofiar Biesłanu.

Po 4 września 2004 r. na polu pod miastem powstało nietypowe miejsce: cmentarz dla tych, którzy umarli jednego dnia. Koparka pracowała bez przerwy, bo ciał wracających po sekcjach przybywało codziennie. Powstały trzy 150-metrowe rzędy mogił, podzielone na trzy bloki. Wykonano identyczne nagrobki, z brązowego marmuru. Swoje miejsce upamiętnienia mają tu także żołnierze rosyjskich sił specjalnych (podczas akcji zginęło ich dziesięciu).

Obecność

Na miejsce pochówku ofiar, które nosi nazwę Miasta Aniołów, docieram po długim spacerze przez pół miasta. Po drodze mijam nową szkołę, wybudowaną po biesłańskiej tragedii.

Nekropolię ulokowano obok starego cmentarza, na którym nie znalazłoby się tyle miejsca. To, co zdumiewa po przekroczeniu bramy, to obecność ludzi. A przecież jest południe, środek tygodnia. Przy nagrobkach i w alejkach widać głównie kobiety. Siedzą w milczeniu przed grobami lub je porządkują. Na większości mogił leżą zabawki.

Chciałbym podejść, porozmawiać. Ale ciężko jest wkroczyć w takim momencie.

Gdy wychodzę z cmentarza, uwagę przyciąga pomnik nazwany Drzewem Żalu. Symbolizuje dziecięce dusze ulatujące do nieba, które przybrały postać aniołów.

© KAROL FRYTA

300 Prenumerata POKOLENIA TYGODNIK POWSZECHNY

NA LATO I NA LATA. CZYTAJ „TYGODNIK" W PRENUMERACIE

Jeśli masz poniżej 25 albo powyżej 65 lat – możesz kupić krajową, ekonomiczną prenumeratę wydania papierowego „TP" w ofercie POKOLENIA za 300 zł rocznie. Aby z niej skorzystać, wystarczy opłacić ją zgodnie z ogólnymi zasadami zakupu opisanymi poniżej. ▪ Kupując krajową prenumeratę przez stronę tygodnikpowszechny.pl, masz możliwość zamówienia wydania specjalnego „TP" „Polska od nowa" – z dostawą do domu!

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY:
Prenumeratę krajową można zamówić przez:
- stronę www.tygodnikpowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym:
  Tygodnik Powszechny, ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków,
  Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP", ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę internetową www.tygodnikpowszechny.pl, na której podane są ceny.

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	339 zł	369 zł
Półroczna (26 numerów)	209 zł	229 zł
Kwartalna (13 numerów)	109 zł	119 zł

Oferta POKOLENIA – 300 zł na rok
▪ Regulamin oferty na powszech.net/regulamin

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

PARTNER MARKETINGOWY SALES MANAGO marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Głosowanie nogami

DOMINIKA MATEJKO

Wenezuela stała się pierwszym krajem świata, który oficjalnie posiada jednocześnie dwie waluty: papierową i cyfrową. Ma to być recepta na hiperinflację i kryzys.

LUIS ROBAYO / AFP / EAST NEWS

Wenezuelczycy na słynnej Drodze Panamerykańskiej. Tulcan w Ekwadorze, 21 sierpnia 2018 r.

Prezydent Wenezueli jak zawsze jest optymistą: Nicolás Maduro właśnie ogłosił koniec kryzysu ekonomicznego i początek nowej rewolucji. Polega ona na tym, że od 20 sierpnia w kraju obowiązują dwie nowe waluty: bolívar soberano (w miejsce starego bolívara fuerte) i kryptowaluta petro. Wartość bolívara soberano podporządkowano kondycji waluty cyfrowej, co ma ustabilizować gospodarkę.

Tym samym Wenezuela jest pierwszym krajem świata, który ma jednocześnie walutę papierową i cyfrową. Ma to być recepta na hiperinflację, która – jak szacował w lipcu Międzynarodowy Fundusz Walutowy – do końca roku sięgnie miliona procent. Stąd kryzys wenezuelski chętnie porównywano do Zimbabwe sprzed dziesięciu lat (gdy do obiegu trafiały banknoty o nominałach setek miliardów) lub inflacji w Niemczech w latach 20. XX w.

Różnica polega jednak na tym, że w Wenezueli zatrważająco niska wartość pieniądza nie odpowiadała liczbie banknotów dostępnych na rynku – dlatego w kraju brakowało także gotówki. Na czarnym rynku kupowano i sprzedawano banknoty: za 100 bolívarów w gotówce płacono przelewem nawet dwa razy tyle.

Kryzysowa karuzela

W istocie dewaluacja polega jednak na obcięciu o pięć zer starej waluty. Czy można więc mówić o rewolucji ekonomicznej?

Zdania są podzielone. Jedni zachwycają się ideą kryptowaluty. Inni przestrzegają, że może ona doprowadzić do nowego kryzysu. Wszystko przez to, że wartość petro, który ma pełnić rolę walutowej „kotwicy", została sprzężona z ceną baryłki ropy, podczas gdy cena ropy to niestabilna sinusoida. Ponadto, w przeciwieństwie do petro, funkcjonujące dotąd waluty cyfrowe, jak bitcoin, zostały uznane przez główne światowe gospodarki. Tymczasem rząd USA zakazał już obrotu kryptowalutą petro na krajowej giełdzie. To skutek sankcji nałożonych na Wenezuelę, jako reakcja na autorytarne rządy Maduro.

Zwolennicy nowych walut podkreślają, że po latach skrajnej biedy płaca minimalna w końcu została ustabilizowana i wynosi dziś 1800 bolívarów soberano miesięcznie (równowartość 30 dolarów). Jeszcze tydzień temu Wenezuelczycy o takiej sumie mogli marzyć.

Ale nie u wszystkich podwyżka płac budzi optymizm. Bo choć płace wzrosły, produkcja jest nadal na niskim poziomie, a prywatne firmy nie mają środków na wypłacanie pensji. Część przedsiębiorstw już wcześniej zaprzestała produkcji, czego skutkiem są masowe zwolnienia. Tymczasem Maduro dolewa oliwy do ognia: jego rząd deklaruje, że pożyczy właścicielom firm pieniądze na wypłatę pensji według nowej waluty na okres trzech miesięcy. W przypadku niespłacenia długów prywatne firmy zostaną przejęte przez państwo.

Z paszportem lub bez

Nie mając nadziei na zmianę, mieszkańcy głosują nogami: Wenezuelczycy to jeden z najliczniej emigrujących narodów świata, a obecny ich eksodus to największy kryzys migracyjny w dziejach Ameryki Południowej.

Zwłaszcza Kolumbia jest oblegana przez szukających chleba sąsiadów, a przybycie nowych imigrantów budzi tu coraz większy sprzeciw. Emigranci podejmują pracę nielegalnie także w innych krajach Ameryki Łacińskiej, w USA, a nawet Europie – zwłaszcza w Hiszpanii.

Część z tych, którzy emigrują do sąsiednich krajów, przekracza granicę bez dokumentów. Biorąc pod uwagę chaos i korupcję, jakie panują na granicach w tej części świata, przejście granicy bez paszportu nie stanowiło dotąd problemu. Teraz to się zmienia: niektóre kraje, jak Peru i Ekwador, staranniej kontrolują i wpuszczają tylko tych, którzy mają paszporty.

Zarazem rząd Wenezueli robi wszystko, by utrudnić obywatelom wyrabianie paszportów. Umówienie się na wizytę w urzędzie paszportowym jest prawie niemożliwe. Rząd tłumaczy, że brakuje materiałów do drukowania dokumentów. Kwitnie więc czarny rynek paszportowy: już za ok. 100 dolarów można wynająć osobę, która załatwi wizytę w urzędzie.

Liczbę emigrantów trudno oszacować. Według danych ONZ 31-milionowy kraj miało opuścić w ostatnich latach 2,3 mln ludzi. Wenezuelska opozycja twierdzi, że „uchodźców" (bo tak ich określa) może być nawet 4 mln.

Czy nowa polityka monetarna „wyzeruje" choć na chwilę wenezuelski kryzys? Bardziej prawdopodobne, że będzie to rozwiązanie chwilowe. I że wkrótce ceny znów zaczną rosnąć.

A Wenezuelczycy będą nadal masowo emigrować. ©

HISTORIA

DECYZJA MAJORA SUCHARSKIEGO

Obrona Westerplatte we wrześniu 1939 r. wciąż budzi emocje. Spór dotyczy głównie postawy dowódcy polskiego garnizonu. Jak go dziś oceniać?

JAN SZKUDLIŃSKI

Szedł niemal w milczeniu, z zaciśniętymi ustami. Jak wspominał jeden ze świadków, „pozornie spokojny, lecz nerwy napięte do ostateczności". Teren, przez który kiedyś tylekroć spacerował, teraz przedstawiał obraz całkowitego zniszczenia. Ziemia usiana była wielkimi, wypełnionymi wodą gruntową lejami po bombach i ciężkich pociskach. Liczne powalone drzewa i oderwane gałęzie czyniły marsz niezwykle trudnym. Towarzyszył mu starszy podoficer i jeden szeregowiec. Trzymali w rękach żerdzie z białymi płachtami.

Szedł, przygnieciony ciężarem odpowiedzialności i niezrozumienia podwładnych. Po wielu miesiącach przedwojennego napięcia oraz po sześciu dniach i nocach w walce – miał oto poddać miejsce, o którym w radiu można było usłyszeć, że „jeszcze się broni".

Był 7 września 1939 r., przed południem. 40-letni major Henryk Sucharski wykonywał swój ostatni obowiązek jako komendant Wojskowej Składnicy Tranzytowej na Westerplatte.

Polski półwysep w Gdańsku

Westerplatte: ten niewielki półwysep (liczący tylko kilkaset metrów szerokości i dwa kilometry długości), położony u wejścia do gdańskiego portu, jest dziś jednym z najważniejszych miejsc-symboli dziejów Polski oraz II wojny światowej. Strzały niemieckiego pancernika „Schleswig-Holstein", oddane rankiem 1 września 1939 r. ku położonej tu polskiej Składnicy, są uznawane – ostatnio obok nalotu Luftwaffe na Wieluń, także wczesnym rankiem 1 września – za symboliczny początek tamtej wojny, najstraszniejszego konfliktu w dziejach ludzkości. Obrona osamotnionej placówki, zakończona dopiero siódmego dnia wojny, weszła do narodowej legendy.

Tymczasem przyczyna utworzenia w 1926 r. polskiej Wojskowej Składnicy Tranzytowej na terenie Wolnego Miasta Gdańska była prozaiczna: chodziło o zapewnienie Polsce miejsca na rozładunek importowanych materiałów wojskowych, niezależnie od zdominowanego przez Niemców Gdańska. W czasie wojny polsko-bolszewickiej 1920 r. postawa niemieckich robotników utrudniała dostawy sprzętu dla desperacko potrzebującego go Wojska Polskiego.

Już wkrótce, ze względu na błyskawiczną rozbudowę portu w Gdyni, podstawowe zadanie Składnicy stało się zbyteczne. Ale garnizon stacjonował tu nadal – jako ważny symbol polskich praw do Gdańska (podobną rolę, tyleż praktyczną, co symboliczno-polityczną, odgrywała Poczta Polska w Gdańsku).

Po dojściu Hitlera do władzy, obawiając się zajęcia Składnicy z zaskoczenia, strona polska przystąpiła od połowy lat 30. do fortyfikowania półwyspu i wzmacniania jego załogi (w dniu wybuchu II wojny liczyła ona ponad 200 osób, w tym sześciu oficerów). Do służby na Westerplatte kierowano najlepszych żołnierzy służby czynnej, a obsadę wzmacniał szereg pracowników cywilnych, w przypadku wojny podlegających mobilizacji. W tajemnicy przerzucono na półwysep ciężką broń maszynową, moździerze, działka przeciwpancerne i polową armatę.

ULLSTEIN / BEW

Już po kapitulacji: obrońcy Westerplatte opuszczają półwysep i idą do niewoli. Zdjęcie wykonane przez niemieckiego fotografa 7 września 1939 r.

Wszystko to miało – w razie niemieckiego ataku – umożliwić garnizonowi utrzymanie się aż do momentu, gdy z pomocą nadejdą polskie oddziały z terenu Pomorza.

Sześć dni i sześć nocy

W ostatnich dniach sierpnia 1939 r. stawało się jednak jasne – przynajmniej dla decydentów politycznych i wojskowych – że konflikt z Niemcami nie będzie mieć charakteru ograniczonych ataków (np. w celu zajęcia Gdańska), lecz że może przybrać postać pełnej inwazji Wehrmachtu na Polskę. Dla załogi Westerplatte oznaczało to, że będzie musiała bronić się w osamotnieniu.

I tak się stało: trwająca sześć dni i nocy obrona Westerplatte stała się jednym z najbardziej znanych wydarzeń kampanii polskiej 1939 r. Gdy siódmego dnia przed południem Westerplatte skapitulowało, informacja o tym znalazła się na łamach gazet wydawanych w niezajętych jeszcze częściach Polski, ogłoszono ją też na pokładach polskich okrętów znajdujących się już w Wielkiej Brytanii.

Brak informacji na temat przebiegu walk sprawiał, że milcząco przyjęto założenie, iż wszyscy obrońcy zginęli – niczym Spartanie pod Termopilami. Jedna z polskich gazet zamieściła nawet nekrolog „ostatniego obrońcy Westerplatte". A Konstanty Ildefons Gałczyński napisał słynny wiersz, w którym obrońcy szli karnie i czwórkami „prosto do nieba" (w istocie polskie straty były względnie nieduże: 15 żołnierzy zginęło, a kilkudziesięciu odniosło rany).

Po wojnie to wyobrażenie hekatomby ustąpiło mniej krwawemu, acz nie mniej heroicznemu obrazowi: niewielkiej załogi, która odpiera trzynaście silnych niemieckich natarć i kilkanaście wypadów, nieustannie nękana ogniem. Obraz ten powstał na podstawie niemal wyłącznie źródeł polskich – niemiecki materiał archiwalny był dla polskich historyków trudno dostępny (jako że przechowywany w archiwum wojskowym we Fryburgu Bryzgowijskim, w Niemczech zachodnich).

Dopiero potem, w świetle niemieckich materiałów archiwalnych, stało się jasne, że Niemcy prowadzili natarcia lądowe tylko pierwszego i ostatniego dnia, przez resztę czasu blokując Westerplatte i nękając załogę ogniem. Tak czy inaczej – obrońcy byli poddawani nieustannemu naciskowi, a warunki geograficzne na niewielkim przecież półwyspie sprawiały, że nie było możliwości zluzowania żołnierzy na placówkach. Żadnego miejsca, gdzie można byłoby odpocząć poza zasięgiem ognia przeciwnika.

„Major wyraża wątpliwości"

Mimo to zachowany materiał pozwalał stwierdzić, że 2 września – po nalocie sztukasów – major Sucharski postanowił poddać Składnicę i że spotkał się ze zdecydowanym sprzeciwem dwóch swoich oficerów: kapitana Franciszka Dąbrowskiego i porucznika Stefana Grodeckiego. Ten pierwszy napisał potem we wspomnieniach, że „major wyraża poważne wątpliwości co do dalszego oporu".

Trudno jednak zakładać, aby w panującej wówczas w koszarach na Westerplatte sytuacji – po szarpiących nerwy tygodniach przedwojennego napięcia, po pierwszym dniu walki, po pierwszych ofiarach, po niszczącym (jak się mogło zdawać w pierwszej chwili) nalocie sztukasów, po zerwaniu sieci łączności, zniszczeniu wartowni nr 5 i moździerzy oraz po kolejnych stratach w ludziach (których wielkość nie była jeszcze znana) – pomiędzy oficerami odbyła się kulturalna wymiana poglądów („wyrażanie wątpliwości"), pełna kurtuazji.

Bardziej prawdopodobne, że doszło do sporu, by nie rzec – awantury. W polskich realiach zarzut „zdrady" pada w okolicznościach o wiele spokojniejszych niż obrona izolowanej placówki we wrogim mieście, placówki atakowanej przez przeważające siły, bez nadziei na odsiecz. Można zatem sądzić, że padło wówczas wiele ostrych słów. Być może włącznie z oskarżeniami o tchórzostwo czy zdradę.

Także już po wojnie niektórzy westerplatczycy mieli twierdzić, że major „załamał się jako pierwszy", a rzeczywistym bohaterem obrony miał być jego zastępca, kapitan Dąbrowski. W ostatnich kilkudziesięciu latach przynajmniej jeden ↦

↦ z autorów piszących o Westerplatte posunął się nawet do sugestii, iż major Sucharski był tchórzem i zdrajcą.

Westerplatte jak Berlin Zachodni

Co faktycznie stało się wieczorem 2 września? Czy Sucharski doznał załamania nerwowego, szoku, ataku epilepsji? Tego nie wiemy – wszystkie przekazy zawierające szczegóły dotyczące zachowania majora pochodzą z drugiej ręki i nigdy nie zostały potwierdzone przez świadków wydarzeń, co każe historykom traktować je ostrożnie.

Ale nawet jeśli uwierzyć, że major miał problemy z równowagą psychofizyczną, nie przesądza to wcale, że ich przyczyną była niechęć do walki wynikająca z niskich pobudek czy ułomności charakteru. Równie dobrze przyczyną mogła być właśnie waga zarzutów postawionych mu przez podwładnych.

Rozpatrzmy stanowiska. Major Sucharski – weteran wojny z bolszewikami, który awans na oficera (i Virtuti Militari) uzyskał w polu, dzięki odwadze i zdolnościom dowódczym, potem „dwójkarz" (związany z wywiadem), wreszcie od grudnia 1938 r. komendant Westerplatte. Ktoś taki, mianowany dowódcą w jednym z najbardziej zapalnych punktów, musiał być człowiekiem sprawdzonym i obdarzonym zaufaniem.

Westerplatte było przecież – *toutes proportions gardées* – czymś na kształt Berlina Zachodniego w czasie zimnej wojny. Było polską wyspą w niemieckim w przytłaczającej większości mieście – i to coraz wyraźniej wrogim. Na miasto to zwrócone były oczy polityków i międzynarodowej opinii publicznej (czego przykładem słynny artykuł we francuskiej prasie, podający w wątpliwość sens „umierania za Gdańsk").

W takim miejscu konieczne były i odwaga, i rozsądek. Należało się liczyć z możliwością niemieckiej prowokacji. Można sobie wyobrazić, jak szkodliwe dla pozycji Polski byłoby np. sprowokowanie któregoś z żołnierzy do użycia broni. Machina medialna Goebbelsa rzuciłaby się na to z zapałem równym temu, z jakim po 1 września usprawiedliwiała niemiecką agresję atakiem „polskich dywersantów" na radiostację w Gliwicach.

Dwanaście godzin

Stąd też zadaniem majora było nie dopuścić do prowokacji. A także do zdobycia Westerplatte z zaskoczenia i – od 1 września – utrzymać się do 12 godzin. Rozkazy nie zachowały się, ale fakt, że o 12 godzinach mówili właśnie Dąbrowski i Grodecki, zdaje się uwiarygadniać taką tezę.

W kampanii polskiej 1939 r. sprzeciw podwładnych wobec decyzji przełożonych o kapitulacji nie był czymś niezwykłym. I nieodmiennie padały przy tym najcięższe zarzuty.

Należy odrzucić zarzut – podniesiony w latach 60. przez mjr. Stefana Fabiszewskiego, komendanta Westerplatte w latach 1934-38 – że ów dwunastogodzinny rozkaz nie mógł zostać wydany, gdyż wojsko takich rozkazów nie zna. Przeczy temu relacja jednego z oficerów Lądowej Obrony Wybrzeża, na którą trafił dr Andrzej Bartelski: w składanej w Londynie relacji oficer ten wprost mówi, że wiosną 1939 r. admirał Józef Unrug (dowódca Marynarki Wojennej) przywiózł z Warszawy wytyczne dotyczące nakazanego czasu obrony dla poszczególnych polskich punktów na Wybrzeżu. Relacja ta, składana przecież przez oficera dla innych oficerów, nie wzbudziła niczyjego zdziwienia.

Ponadto Fabiszewski i cytujący go autorzy błędnie interpretują ten rozkaz: nie oznaczał on, że gdy od pierwszego strzału upłynie 12 godzin, należy się poddać. Rozkaz ten oznaczał coś innego – wszak nikt nie był w stanie przewidywać, że samotna załoga utrzyma się tak długo. W rozkazie tym chodzi raczej o to, by dołożyć wszelkich starań, żeby opór nie zakończył się p r z e d upływem 12 godzin. To zadanie zostało wykonane, i to z nawiązką.

Rozkaz: spalić szyfry!

Jak jednak wygląda sytuacja po upływie 12 godzin?

Westerplatte było odcięte. Komendant jako jedyny był w pełni świadom, że pomoc nie nadejdzie. Z kraju napływały wieści o szybkich postępach Wehrmachtu. Wieczorem 2 września następuje wspomniany atak bombowców nurkujących Ju-87, broni nowej i silnie oddziałującej na psychikę.

Nalot powoduje utratę łączności między dowództwem w koszarach i znaczną częścią umocnień – co każe zakładać, że uległy one zniszczeniu. Jeśli zapoznamy się z relacjami składanymi potem przez obrońców obecnych na poszczególnych stanowiskach, dostrzeżemy, że gdy wywoływane przez telefon placówki milczały, to uważano, że po drugiej stronie nie ma już nikogo żywego lub przynajmniej zdolnego podnieść słuchawkę. Wyszkolenie taktyczne i rozsądek podpowiadały, że natychmiast po nalocie zacznie się atak piechoty, który mógł zakończyć się masakrą ocalałych polskich żołnierzy.

Sucharski nie mógł wiedzieć, że niemiecki nalot zarządzono na rozkaz z samej góry, mimo sprzeciwu dowódców na miejscu. Nie mógł też wiedzieć, że główna niemiecka siła uderzeniowa na lądzie – kompania szturmowa marynarki wojennej – nie jest zdolna do walki po straszliwym laniu, jakiego doznała poprzedniego dnia z rąk polskich. Dlatego wydał rozkaz palenia szyfrów i tajnych dokumentów.

Czy taki rozkaz wydaje ktoś, kto – jak chcieliby najzacieklejsi krytycy majora – jest sparaliżowany strachem o własną skórę i los zgromadzonych oszczędności? Czy też rozkaz taki wydaje raczej dowódca, który oczekuje lada moment sylwetek wrogich żołnierzy podchodzących do koszar?

W dniu kapitulacji, 7 września, major powie do zebranych żołnierzy: „Jeszcze się Polsce przydacie". Świadczy to raczej o niechęci do doprowadzenia do masakry załogi w obronie celu, którego znaczenie pozostawało już tylko symboliczne. Taka postawa nie jest w żadnym wypadku naruszeniem żołnierskiego honoru.

Gdy zawala się świat

A że Dąbrowski i Grodecki protestowali? W kampanii polskiej 1939 r. sprzeciw podwładnych wobec decyzji przełożonych o kapitulacji nie był czymś niezwykłym. I nieodmiennie padały przy tym najcięższe zarzuty.

W czasie kapitulacji Warszawy dwa ochotnicze bataliony znalazły się wręcz na skraju buntu; z najwyższym trudem oficerom udało się przywrócić karność. Do dowódcy obrony miasta Juliusza Rómmla przybył podoficer (nazwiskiem Piłsudski) z zamiarem zabicia generała za „zdradę".

Niektórzy oficerowie spotkali się z wrogą reakcją warszawskich cywilów, zarzucających poddającym się małoduszność i zdradę właśnie.

Do podobnych scen dochodziło podczas kapitulacji Lwowa. Nierzadkie były też przypadki samobójstw. W oczach oficerów, którzy uczestniczyli w walkach o niepodległość w latach 1918-20, klęska państwa – wziętego w kleszcze przez III Rzeszę i Związek Sowiecki – była końcem ich świata.

Jedni popełniali samobójstwo, inni byli gotowi na samobójczą walkę do końca. W dramatycznych okolicznościach zapadła decyzja o poddaniu się, już na początku października 1939 r., Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Polesie" generała Kleeberga – ostatniego zwartego polskiego ugrupowania. Choć w tym momencie dla wszystkich było oczywiste, że unicestwienie SGO „Polesie" – atakowanej pospołu przez Wehrmacht i Armię Czerwoną – to kwestia czasu, podczas narady dowódców generał spotkał się z lodowatą niechęcią. Tak jak Sucharski na Westerplatte, Kleeberg musiał być swoim własnym parlamentariuszem, gdyż wszyscy jego bezpośredni podwładni odmówili pełnienia tej roli. W efekcie generał przeżył załamanie nerwowe, a uspokajać musiał go przyjmujący kapitulację generał niemiecki.

A potem? Gdy dowodzący Oddziałem Wydzielonym Wojska Polskiego major Henryk Dobrzański „Hubal" otrzymał przez Leopolda Okulickiego (jednego z dowódców formującego się podziemia) polecenie rozwiązania swojego oddziału – bo w realiach przełomu 1939/40 r. prowadzenie działań przez zwarte oddziały nie miało uzasadnienia militarnego, za to ściągało represje na cywilów – zarzucił Okulickiemu i przywódcom podziemia zdradę żołnierskiego honoru.

Widzimy zatem, że sam sprzeciw wobec kapitulacji nie oznaczał automatycznie, iż za decyzją dowódcy, który postanowił przerwać walkę, nie stały żadne istotne racje. Bo czy tchórzami byli obrońcy Warszawy? Lwowa? Czy tchórzem był Kleeberg? Albo Rowecki? Nie – i nie był także tchórzem Sucharski, pragnąc oszczędzić swoim żołnierzom masakry.

Kapitulacja

Ale na razie, przez kolejne dni, Westerplatte broniło się nadal, a Sucharski usiłował przekonać podwładnych o bezcelowości oporu. Na kolejnych zwoływanych

DOMENA PUBLICZNA

Major Henryk Sucharski, zdjęcie z 1939 r.

naradach konsekwentnie opowiadał się za poddaniem, wskazując na brak szans na pomoc i pogarszający się stan kilkudziesięciu rannych.

Ostatecznie major podjął decyzję o kapitulacji rankiem 7 września, gdy niemiecki ostrzał wyłączył z walki kolejną wartownię, osłabiając główny pierścień obrony. Tym razem nie zwoływał narady, a jego decyzja nie spotkała się z tak silnym jak wcześniej oporem. Choć także wielu podoficerów i żołnierzy pragnęło walczyć nadal i przyjęło decyzję o kapitulacji z goryczą i wściekłością.

Taka postawa majora dała niektórym asumpt do twierdzenia, że to nie Sucharski, lecz Dąbrowski był rzeczywistym dowódcą obrony Westerplatte. W moim przekonaniu taka interpretacja idzie zbyt daleko. W końcu oficjalna funkcja kapitana Dąbrowskiego brzmiała „dowódca oddziału wartowniczego" – i bezpośrednie kierowanie działaniami obronnymi było jego podstawowym obowiązkiem.

Można rzecz jasna podnosić argument, że Westerplatte powinno było się bronić jeszcze dłużej. W jakim celu jednakże? Jeśli chodzi o siły niemieckie, wiązane przez obrońców, były to kompania szturmowa marynarki, kompania saperów i nieliczne oddziały SS oraz formacje gdańskie. Składnica nie blokowała pancernika „Schleswig-Holstein" w porcie – jego dowódca obawiał się polskich min i torped okrętów podwodnych, toteż ośmielił się wyprowadzić swój okręt na wody Zatoki Gdańskiej dopiero tydzień po kapitulacji Westerplatte.

Niemcy mieli po swojej stronie wszelkie atuty, a szans na pomoc nie było już żadnych. Słowem, sytuacja wojskowa Składnicy mogła się już wyłącznie pogorszyć; wynik walk był przesądzony, a dalsze straty nie mogły przynieść wojskowych korzyści. Podobna logika kazała niemal miesiąc później admirałowi Unrugowi poddać Rejon Umocniony Hel, choć jego sytuacja taktyczna była lepsza niż Składnicy, a amunicji było jeszcze pod dostatkiem.

„Relacje" i „dokumenty"

Dyskusja na temat tego, czy Sucharski miał rację, jest zapewne nierozstrzygalna – niemalże tak samo, jak spór o zasadność powstania warszawskiego czy o sens dalszej walki zbrojnej po 1945 r. Ważne jest jednak, aby była ona prowadzona z rozwagą i rzetelnością.

Niestety, w ciągu ostatniego ćwierćwiecza dyskusję wokół Westerplatte zniekształcają liczne „ujawniane" rewelacje, które noszą wszelkie znamiona konfabulacji.

Oto zdaniem niektórych westerplatczycy, niemieccy weterani czy powojenni badacze mieli opowiadać o „instruktorach" polskiego wywiadu, przysłanych rzekomo przed wojną *incognito* na Westerplatte i wydających Sucharskiemu rozkazy w czasie obrony. Albo o niemieckich radiodepeszach informujących o dostrzeżeniu 2 września nad Westerplatte białej flagi, lecz „utajnianych" tak dobrze, że nie odnaleziono ich nigdy w żadnym archiwum. Lub też o odkrywanych w „amerykańskich archiwach" śladach tajnych polsko-niemieckich porozumień, zakładających... poddanie i ewakuację Westerplatte już po rozpoczęciu walk (*sic!*). Dziwnym trafem wszystkie te „relacje" i „dokumenty" odnajdują się dopiero po śmierci osób, które miały te relacje składać.

Choć takie sensacje zniekształcają obraz historyczny (przenikając niekiedy na łamy popularnych opracowań), to same w sobie nie są niczym zaskakującym. Jak każde wielkie wydarzenie historyczne, także obrona Westerplatte przyciąga również fantastów.

Warto zatem dbać o to, by przynajmniej ten sankcjonowany przez instytucje publiczne przekaz na temat obrony Składnicy opierał się na rzetelnych badaniach i wiarygodnych źródłach. Jesteśmy to winni tym ludziom i temu miejscu – jednemu z najważniejszych miejsc na mapie polskiej historii. © JAN SZKUDLIŃSKI

Autor jest kierownikiem Działu Historycznego Muzeum Miasta Gdyni.

PRZEDZIWNY PŁYN

Trudno chyba o lepiej znaną i przebadaną substancję chemiczną niż woda. Tymczasem jeszcze dziś dowiadujemy się o niej nowych rzeczy.

MARCIN BÓJKO

Pisanie o zaskakujących własnościach wody to igranie z ogniem lub – żeby użyć bardziej pasującego idiomu – stąpanie po kruchym lodzie, bo w internecie aż roi się od różnych szarlatanów usiłujących wmówić nam, że woda ma „pamięć" lub można ją „ustrukturyzować".

To, że istnieją różne rodzaje wody, słyszymy więc zwykle z ust różnych mniej lub bardziej szkodliwych specjalistów od wyciągania pieniędzy z kieszeni naiwnych klientów. Wydawałoby się, że naukowcy w XXI wieku powinni o wodzie wiedzieć wszystko i na gruncie poważnej nauki nie powinniśmy się spodziewać żadnych rewelacji. Tymczasem niedawno w czasopiśmie „Nature" pojawiło się doniesienie o tym, że dwa znane izomery wody różnią się radykalnie własnościami chemicznymi. Tego nikt się nie spodziewał.

Woda na dwa sposoby

Izomery to cząsteczki składające się z tej samej liczby poszczególnych pierwiastków, ale różniące się budową. To, że izomery różnią się własnościami chemicznymi, nie jest rewelacją – przykładem może być etanol i eter dwumetylowy, z których jeden to popularny w całym świecie alkohol, a drugi to gaz używany w aerozolach, rozważany też jako alternatywne dla LPG paliwo. Oba związki składają się z dwóch atomów węgla, sześciu atomów wodoru i jednego atomu tlenu, tylko inaczej uporządkowanych.

Pewnym zaskoczeniem może być fakt, że istnieją izomery wody, której cząsteczka, H_2O, jest bardzo prosta. Na pierwszy rzut oka nie bardzo jest tu miejsce na jakiekolwiek kombinacje. Izomery wody powstają w inny sposób i związane są z kwantowymi własnościami jąder wodoru. Jedną z takich własności jest spin,

YKUMSRI / STOCK.ADOBE.COM

Lodowiec w zatoce Disko, północna Grenlandia

do pewnego stopnia analogiczny do znanej z życia codziennego właściwości obracania się wokół własnej osi – choć trzeba zaznaczyć, że cząstki nie są w rzeczywistości małymi bączkami. Ponieważ w cząsteczce wody są dwa atomy wodoru, ich jądra mogą mieć zgodne bądź przeciwne kierunki spinu (równoległe lub przeciwrównoległe), co można sobie w przybliżeniu wyobrazić jako obracanie się w tym samym kierunku lub w kierunku przeciwnym. Tak powstają dwa izomery: orto-woda – dla spinów równoległych – i para-woda (nie mylić z parą wodną) dla spinów przeciwrównoległych.

Do niedawna wydawało się, że rozróżnienie to nie ma wielkiego znaczenia z punktu widzenia reakcji chemicznych, i naukowcy byli przekonani, że oba rodzaje wody reagują z innymi substancjami jednakowo. Tymczasem zespół badaczy z Bazylei pod kierunkiem prof. Stefana Willitscha udowodnił, że dwa rodzaje wody reagują z jonami N_2H^+ w różnym tempie. Para-woda reaguje o 25 proc. szybciej niż orto-woda. Eksperyment był możliwy dzięki opracowaniu przez profesora Jochena Küppera z Hamburga urządzenia do separowania dwóch rodzajów wody. Urządzenie to wykorzystuje fakt, że para-woda i orto-woda mają odrobinę inne własności magnetyczne, więc mieszaninę tych dwóch rodzajów molekuł można rozdzielić, wykorzystując pole elektryczne.

Z praktycznego punktu widzenia odkrycie to niewiele dla nas oznacza. Woda w temperaturze powyżej 50 kelwinów (czyli od -223 st. Celsjusza wzwyż) zawiera mniej więcej po równo orto- i para-wody, a cząsteczki wody wymieniają się dosyć swobodnie elektronami, tak więc szklanka czystego izomeru w temperaturze pokojowej staje się mieszaniną izomerów po około godzinie. Separator zbudowany przez Küppera jest na tyle skomplikowany, że trudno będzie sprzedawać go jako instalację do domu zapewniającą „cudowną" wodę, jak w przypadku „strukturyzatorów". Warto więc o tym pamiętać już dziś, ponieważ niewykluczone, że w najbliższych latach jakiś sprytny oszust postanowi podpiąć się pod opisywane tu odkrycie, kusząc „separatorem izomerów wody", którego cudowne zastosowania medyczne miałyby rzekomo wynikać z artykułu zamieszczonego w prestiżowym czasopiśmie „Nature". Tak działa wszak pseudomedycyna. Zanim jednak przyjrzymy się niewiarygodnym tezom piewców medycyny alternatywnej, pomówmy chwilę o samej wodzie. A ma ona naprawdę unikatowe własności.

O pożytkach z kry lodowej

Po pierwsze, nie „powinna" być cieczą w temperaturze pokojowej. Inne hydraty (związki wodoru) kuzynów tlenu z tablicy Mendelejewa, czyli siarki, selenu i telluru mają temperatury wrzenia poniżej zera st. Celsjusza. Wyjątkiem jest polon, którego związek H_2Po wrze przy 36 st. Celsjusza i topnieje przy minus 35 st. Tymczasem, jak wiemy, woda wrze w stu st. Celsjusza i topnieje w 0 st. Jest to niezwykła sytuacja, ponieważ tego typu „rodziny" związków chemicznych mają zwykle silnie zbliżone do siebie właściwości.

Mało tego – woda jako jedna z niewielu substancji ma tę własność, że od pewnego momentu wraz z ochładzaniem się rozszerza. Zwykle ochładzanie sprawia, że substancje się kurczą, tymczasem woda ma największą gęstość w temperaturze 4 st. Celsjusza, a przy dalszym ochładzaniu jej objętość zaczyna rosnąć. Dzięki temu woda przez wieki kształtowała naszą planetę, cykliczne topnienie i zamarzanie wody jest bowiem w stanie skruszyć nawet najtwardszą skałę (co doskonale widać po każdej zimie na naszych drogach). Mechanizm takiej erozji można łatwo zaobserwować, zostawiając szklaną butelkę z wodą w lodówce lub przed drzwiami domu zimą.

Fakt, że lód ma mniejszą gęstość niż ciekła woda, ma też fundamentalne znaczenie dla życia na Ziemi, ponieważ w temperaturze 4 st. Celsjusza woda jest wciąż ciekła, a za sprawą swojej względnie wysokiej gęstości spływa na dno zbiornika. Dzięki temu jeziora, morza i oceany zamarzają od góry, a przy dnie długi czas pozostają w stanie ciekłym, chronione przed dalszym zamarzaniem działającą izolująco czapą lodu, który pływa wszak po wodzie. Pozostając w stanie ciekłym, woda pozwala na podtrzymywanie czynności fizjologicznych organizmów, gdyż to ona transportuje składniki odżywcze i produkty przemiany materii. To wynika skądinąd z kolejnej niezwykłej właściwości wody – jest ona świetnym rozpuszczalnikiem.

Choć przywykliśmy do tego, że trudno jest umyć tłuste talerze bez płynu do mycia naczyń, tak naprawdę niewiele substancji nie rozpuszcza się w wodzie, szeroko rozumiane detergenty (w sensie potocznym, nie chemicznym) mają zaś za zadanie ułatwić wodzie rozpuszczenie brudu przez zmniejszenie jej napięcia powierzchniowego. Niewiele z nich, zwłaszcza tych stosowanych w gospodarstwach domowych, faktycznie wchodzi w reakcję chemiczną z samym brudem.

Woda jest tak dobrym rozpuszczalnikiem, że praktycznie nie istnieje w stanie czystym. Co więcej, gdybyśmy pili jedynie prawdziwie czystą wodę – destylowaną – to na dłuższą metę odbiłoby się to na naszym zdrowiu, bo odcięlibyśmy się od niezbędnych do funkcjonowania naszego organizmu mikroelementów. Woda destylowana nie jest szkodliwa, ale nie jest ↦

↦ ani smaczna, ani zdrowa. Natomiast wodę z rozpuszczonymi składnikami organicznymi i nieorganicznymi z przyjemnością spożywamy, niezależnie, czy przybiera ona postać coca-coli, soku owocowego, lampki dobrego wina, czy aromatycznego bulionu.

Butelki do nabijania ludzi

Jest taki dość przerażający związek chemiczny. To główny składnik kwaśnego deszczu. Przyczynia się do efektu cieplarnianego. Może powodować poważne poparzenia. Powoduje erozję najtwardszych nawet skał, przyspiesza korozję wielu metali, można go znaleźć we wszystkich tkankach nowotworowych. Jeśli po takim opisie rodzi się w nas chęć wyjścia na ulicę z transparentem zakazującym używania owego związku – a chodzi oczywiście o wodę – to znaczy, że daliśmy się nabrać na manipulację językiem naukowym. Podobnie rzecz się ma z wszelkiej maści magnetyzerami, polaryzatorami, heksagonerami i strukturyzatorami wody.

Ot, „woda strukturalna", „strukturowana" czy „strukturyzowana", którą sprzedają szarlatani, miałaby rzekomo przechowywać „życiodajny" układ heksagonalny cząsteczek wody. Cząsteczki H_2O faktycznie układają się w sześciokąty, głównie w lodzie (stąd wynika choćby kształt płatków śniegu), ale również w fazie ciekłej, przy czym – ze względu na naturalną ruchliwość cząstek – w ciekłej wodzie struktury takie trwają krótko: około 100 femtosekund, czyli mniej od jednej bilionowej sekundy. Nawet więc jeśli „strukturyzatory wody" naprawdę stymulują powstawanie w niej struktur heksagonalnych, to w kategoriach skuteczności sprzęty takie nie różnią się od łyżeczki do herbaty. Wystarczy wodę zamieszać – a tak naprawdę i tego nie trzeba w ogóle robić – by samoistnie zaczęły się w niej tworzyć struktury heksagonalne, które po jednej bilionowej sekundy znikną.

Osobną sprawą jest homeopatia, której zwolennicy często odwołują się do tzw. pamięci wody. Homeopatia polega na podawaniu różnych substancji, nierzadko trucizn, tak rozwodnionych, że często łatwiej trafić szóstkę w totolotka, niż znaleźć choć jedną cząsteczkę pierwotnej substancji czynnej w podawanym roztworze. Stąd pokrętne tłumaczenie, że woda użyta do rozwadniania substancji czynnej „zapamiętuje", co zostało w niej rozpuszczone, i przenosi tę informację do organizmu. Podobnie jednak jak ze strukturami heksagonalnymi, wszelkiego typu chwilowe uporządkowanie, które mogłyby przejąć cząsteczki wody w kontakcie z substancją aktywną, rozpada się w czasie liczonym w najlepszym razie w miliardowych częściach sekundy. Pomińmy już milczeniem niezwykłą inteligencję wody, która „zapamiętuje", co było substancją leczniczą, a co detergentem po myciu retort lub zanieczyszczeniem w wodzie destylowanej, dzięki czemu w „leku" homeopatycznym miałaby się mieścić tylko informacja pożyteczna, o tym zaś, co bezużyteczne czy wręcz szkodliwe, woda miałaby „zapomnieć".

> Jednym z wciąż nierozwiązanych problemów jest pytanie, **dlaczego gorąca woda zamarza szybciej niż zimna.**

Rurki, upały i lody po tanzańsku

Zostawmy na boku mitologię wody i wróćmy do jej rzeczywistych własności. Związek ten w stanie ciekłym ma gigantyczne napięcie powierzchniowe. Spośród spotykanych w życiu codziennym cieczy większe ma tylko rtęć. Ogromne napięcie powierzchniowe wody nie tylko umożliwia nartnikom śmiganie po powierzchni stawu w bezwietrzne dni. To także efekt kapilarny sprawiający, że drzewa są w stanie transportować wodę i składniki mineralne (rozpuszczone w niej, a jakże!) z korzeni do koron nawet na duże wysokości. Efekt jako pierwszy opisał Leonardo da Vinci, obserwując szklane rurki zanurzone w wodzie. Woda na ściankach naczynia wspina się delikatnie, tworząc menisk wklęsły (to dlatego, że woda jest takim dobrym rozpuszczalnikiem i tak dobrze przywiera do powierzchni, zwilża praktycznie wszystko). Jeśli ścianki naczynia są wystarczająco blisko, napięcie powierzchniowe wody jest w stanie podciągnąć ciecz odrobinę wyżej niż pierwotny poziom i w ten sposób ciecz wędruje w górę. Jeśli rurka jest odpowiednio cienka, woda może tym sposobem po ściankach podróżować wysoko. W wielkiej rurze o promieniu jednego metra lustro wody unosi się zaledwie o 0,014 mm; w cieniutkiej rureczce o promieniu 0,1 mm potrafi wspiąć się nawet o 14 cm.

Woda ma też unikatowe własności związane z magazynowaniem i przekazywaniem ciepła. System chłodzenia naszego organizmu (i wielu innych organizmów stałocieplnych) opiera się na odparowywaniu wody, która, przechodząc w stan gazowy, jest w stanie odebrać sporo ciepła – energia potrzebna do odparowania kilograma wody jest przeszło sześć razy większa niż potrzebna do doprowadzenia tegoż kilograma do wrzenia (startując z temperatury pokojowej). Dzięki temu między zagotowaniem zupy w garnku a jej całkowitym przypaleniem mija wystarczająco dużo czasu, byśmy byli w stanie zareagować i zmniejszyć gaz. I dzięki temu jesteśmy też w stanie jakoś przeżyć w upalne dni. Gdy się pocimy, nadmiar ciepła z naszego organizmu odbiera parująca woda, a wrażenie orzeźwiającego chłodu nie jest tylko złudzeniem – parująca woda obniża temperaturę naszej skóry nawet o kilka stopni.

Termiczne własności wody potrafią być zagwozdką również dla naukowców. Jednym z wciąż nierozwiązanych problemów jest pytanie, dlaczego gorąca woda zamarza szybciej niż zimna. Zjawisko zwane jest efektem Mpemby, od Erasto Mpemby – tanzańskiego naukowca, który zaobserwował ten fakt jeszcze jako chłopak, gdy na zajęciach praktycznych w szkole robili lody. Chłopiec miał na tyle dużo odwagi, że zapytał o zaobserwowane przez siebie zjawisko wizytującego szkołę dr. Denisa Osborne'a z college'u w Dar es Salaam. Choć rówieśnicy z klasy i nauczyciel wyśmiali kolegę, zaintrygowany pytaniem Osborne powtórzył eksperyment w swoim laboratorium i kilka lat później wspólnie z Mpembą opublikował artykuł naukowy na ten temat. Do dziś nie ma dobrego i jednoznacznego wytłumaczenia tego efektu – ale sam eksperyment każdy z nas może przeprowadzić w domu. Później można zaś wrzucić kostkę lodu do szklanki z napojem (czyli roztworem substancji rozpuszczalnych w wodzie) i obserwując pływający po powierzchni lód cieszyć się z faktu, że ciepło topnienia wody jest na tyle duże, iż mała kostka jest w stanie schłodzić dużą szklankę napoju o kilka ładnych stopni.

© MARCIN BÓJKO

REKLAMA

POLIN

Muzeum
Historii
Żydów
Polskich

ul. Anielewicza 6
00-157 Warszawa

WYPRAWA
W NIEZNANE
HISTORIE
DISCOVER
UNKNOWN
STORIES

polin.pl

PATRONI MEDIALNI

PARTNER MUZEUM:

WOJCIECH

Bonowicz: *Wylinka*

Ostatnio mało piszę, ale za to lepiej się czuję. Pisanie to jednak jest stres, nawet kiedy myślimy, że przyjemność, kiedy pisanego tekstu przybywa szybko i nawet nie trzeba za bardzo poprawiać. Wiadomo, ciało wydziela te różne swoje ogłupiacze, żeby się nam wydawało, że wysiłek nie jest wysiłkiem. Ogłupieni potrafimy godzinami ślęczeć nad jakąś robotą i kończyć ją w euforii, a potem nie idzie się wyprostować, głowa jest jak słój wypełniony wodą, a nogi zapomniały chodzić. Tekst lekki, a człowiek ciężki. Tekst rusza w drogę, a autor się przewraca.

Ponoć na warsztatach literackich ostrzegają: jeśli pisanie sprawia ci przyjemność, to znak, że prawdopodobnie jesteś grafomanem. Ja takich rzeczy na warsztatach nie mówię. Może jest tak, a może inaczej. Ewentualnych warsztatowiczów zawsze uprzedzam: od każdego ogólnego stwierdzenia, które usłyszycie, są wyjątki. Gdy idzie o pisanie, żadna rada, uwaga, obserwacja nie jest uwagą, obserwacją czy radą dającą się zastosować powszechnie. Na przykład: noś przy sobie notes, zapisuj wszystko, co cię zainteresuje lub przyjdzie ci do głowy. Rada niby dobra, ale nie dla każdego. Znam takich, którzy stworzyli znakomite dzieła bez notesów, i takich, którzy mają pełne notesy, ale nic z tego nie wynika. Mnie samemu taki notes czasem pomaga, a czasem nie. Gapisz się na to, co zapisałeś w notesie kilka lat wcześniej, i myślisz: o co mi, do licha, chodziło? Wracasz myślami do tamtej sytuacji, ale nie możesz wyjść poza ów zapis, a ponieważ nie ma on potencjału literackiego (choć wtedy może według ciebie miał), cała sytuacja przepada. To tak jak ze zdjęciami z wakacji: jak nawiozłem z jakiegoś miejsca dużo zdjęć, pamiętam głównie to, co zostało na nich utrwalone. A jak zdjęcia zostały skasowane, zanim mi się opatrzyły, to pamiętam wiele innych rzeczy.

W wakacje trochę pracuję: daję się wynająć do tego czy owego, zawsze starając się połączyć wyjazd do pracy z krótkim wypoczynkiem. W Szczebrzeszynie dostaliśmy kwaterę nad jeziorem Nielisz i choć woda w zatoce pachniała rybami i olejem silnikowym, poszliśmy się wykąpać. Ze Świnoujścia wybraliśmy się na Rugię, na czarno-białą plażę, gdzie nikt nawet nie moczył nóg, jeśli w pobliżu nie było ratownika. W Sopocie się spaliłem; woda chłodziła, wiaterek chłodził, a słońce robiło swoje. Przed namiotem festiwalowym przechadzała się dziewczyna z pytonem na szyi. Tydzień później i kilkaset kilometrów dalej sam zrzuciłem wylinkę.

Pewien pisarz, z którym jestem zaprzyjaźniony, zawsze mnie upomina: nie rozpraszaj się, skoncentruj, pisanie wymaga siedzenia. Musisz siedzieć co najmniej trzy godziny dziennie. Nawet jeśli wydaje ci się, że nic z tego nie wynika – kartka się nie zapełnia, nie rodzą się żadne pomysły – siedź. Dobra rada, ale znów: nieraz trudno z dnia nawet te trzy godziny wykroić. A poza tym, kiedy tak siedzę i nic się nie zjawia, to dopiero jest stres. Może kiedyś uda mi się osiągnąć taki spokój, jaki ma on. Na razie częściej udaje mi się napisać coś z doskoku, pomiędzy, bez planu.

Tak jak ten tekst. Za godzinę zaczynam ostatnie warsztaty tego lata, za półtora dnia poprowadzę ostatnie tego lata spotkanie. Literatura ciągle jeszcze gromadzi wokół siebie ludzi. Iluś z nich – nie tak mało chyba – nadal wierzy, że czytając i dyskutując o czytanym, coś w tym świecie możemy zmienić. Mógłbym odmówić udziału w tym ruchu, w tej wierze, wycofać się, skupić na tych trzech godzinach w pokoju. Nie umiem. Jeszcze nie. Może kiedyś, kiedy będę naprawdę zmęczony. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

PREMIERA

Już w sprzedaży
kolejne wydanie specjalne
„Tygodnika Powszechnego"

Na wydarzenia lat 1918, 1945, 1989, 2004 i 2018 patrzą historycy, politycy, pisarze, filozofowie i reporterzy, ale jest jeszcze jedna, przekraczająca kategorie zawodowe, perspektywa.
W dziale „Polska jest kobietą" oddajemy głos tym, których rolę często pomija historia, choć dzięki ich mocy i niezłomności nasze stanowienie Niepodległej mogło stać się faktem.

Niezastąpiona lektura podczas Roku Niepodległości.
Już w salonach prasowych oraz w e-wydaniu

GAZETA NAGRODY LITERACKIEJ
GDYNIA
EGZEMPLARZ BEZPŁATNY
ISSN 2081-7789

DODATEK LITERACKI
NR 18 (19)
2018

JURY NAGRODY LITERACKIEJ GDYNIA działa w tym samym składzie już od siedmiu lat i w naszej wspólnej pracy wyłonił się mocny wzór, który sprawia, że nasze wybory co roku podlegają tym samym ścisłym kryteriom. Po pierwsze, wybitna sprawność językowa. Po drugie, rozmaitość stylów i idiomów. Po trzecie, chyba najważniejsze, odwaga pisania dobrej literatury w czasach, kiedy język coraz bardziej degraduje się do zbioru zdartych liczmanów. Od jakiegoś czasu wyobrażam sobie pół żartem, pół serio, że nasze posiedzenia nawiedza surowe widmo Karla Krausa, legendarnego czyściciela niemczyzny, któremu Canetti poświęcił swoją „Pochodnię w uchu", Walter Benjamin zaś słynny esej. Tak jak Kraus, który bezlitośnie piętnował zjawisko żurnalizmu, spłaszczające język do banalnego przekazu informacji, tak i my staramy się wybronić polską literaturę przed zalewem niezbawiennej prostoty. My też, jak Canetti zachwycony Krausem, mamy „pochodnię w uchu": analizujemy czasem godzinami zdanie po zdaniu (nie tylko w poezji), bacznie się przyglądając, czy autorzy nie idą na skróty, czy nie uciekają się do tanich chwytów i czy potrafią nadać swojemu językowi własny idiomatyczny kształt. Jeśli tych kryteriów nie spełniają, nie przechodzą przez ucho igielne selekcji.

Zarzuca się nam często, że Nagroda Literacka Gdynia jest wyniosła i nieprzysiadalna; że promuje książki, które nie mają szans na czytelniczą popularność. Nie ujęłabym tego w ten sposób. Choć to samo mówiono w Wiedniu lat 30. o Krausie, to przecież nie pycha napędzała jego działalność, lecz raczej troska o stan języka, który wówczas przechodził najgorszą zapaść. Czy dziś polszczyzna znajduje się w podobnym kryzysie? Kiedy czyta się teksty gazetowe, które coraz dokładniej imitują przekaz internetowy – proste bezbarwne zdania niezdolne unieść żadnych figur, zwłaszcza ironii, ale za to mnóstwo ideologicznego jadu – można niestety dostrzec analogię. Nie tylko zresztą gazetowe: także i te mniej doraźne, krytycznoliterackie eseje w licznych pismach kulturalnych nierzadko przypominają teksty wygenerowane przez komputerowy program, nieuczynione ludzką ręką, pozbawione indywidualnej sygnatury. Nowa era Gutenberga – wiek powszechnego pisania – okazuje się więc sporym wyzwaniem dla tych, którzy chcieliby ocalić urodę własnej mowy. Dlatego zamiast wyrzucać Nagrodzie Literackiej Gdynia elitarność, pomyślcie o naszym jury jako o komitecie kryzysowym języka. Coraz bardziej pali nam się w uszach i to, co niektórym wydaje się wyniosłym chłodem, to nic więcej, jak tylko zasada rygorystycznej oceny. Nic więcej, ale też nie mniej. ©

Przewodnicząca Kapituły Nagrody Literackiej GDYNIA
AGATA BIELIK-ROBSON

NAGRODA LITERACKA GDYNIA

TYGODNIK POWSZECHNY
Nr 36/2018
Dodatek
„Tygodnika Powszechnego"
Redakcja:
Michał Sowiński

MECENAS NAGRODY LITERACKIEJ GDYNIA

Nagroda Literacka GDYNIA została powołana do życia w 2006 r. przez prezydenta Gdyni Wojciecha Szczurka w celu uhonorowania wyjątkowych osiągnięć żyjących polskich twórców. Jest przyznawana rokrocznie autorom najlepszych książek wydanych w poprzednim roku. Nagroda – Gdyńska Kostka Literacka i 50 tys. złotych – przyznawana jest w czterech kategoriach: Esej, Poezja, Proza, Przekład na język polski. NLG jest inicjatywą władz miasta, skierowaną zarówno do polskich pisarzy, jak i szerokiego grona odbiorców współczesnej literatury.
Kapituła Nagrody: Agata Bielik-Robson (przewodnicząca), Marek Bieńczyk, Jacek Gutorow, Jerzy Jarniewicz, Zbigniew Kruszyński, Małgorzata Łukasiewicz, Aleksander Nawarecki, Natalia Gromow (sekretarz Nagrody).
Nagrodzie Literackiej GDYNIA po raz pierwszy w tym roku towarzyszy festiwal Miasto Słowa: spotkania z nominowanymi, laureatami, panele dyskusyjne nawiązujące do wątków pojawiających się w tytułach walczących o Kostki Literackie, gościć też będziemy znamienitych polskich prozaików.
Więcej informacji: www.nagrodaliterackagdynia.pl.

WYDAWCA: TYGODNIK POWSZECHNY SP. Z O.O. PRZY WSPÓŁPRACY Z MIEJSKĄ BIBLIOTEKĄ PUBLICZNĄ W GDYNI

Ohio Blue Tip

ZOFIA KRÓL

Nominowane w tym roku tomiki prezentują nie tylko odmienne estetyki, ale też skrajnie odmienne podejścia do języka, roli samego wiersza i poezji w ogóle.

W inspirowanym życiem i pisaniem Williama Carlosa Williamsa filmie Jima Jarmusha „Paterson" poezję pisze się w przerwie na lunch, a wszystko balansuje na granicy kiczu. Same wiersze Patersona do filmu napisał jednak świetny Ron Padgett, którego tom wyszedł zresztą w tym roku po polsku w przekładzie Andrzeja Szuby. Jeden z wierszy, najbliższy może poetyce Williamsa, opisuje krok po kroku zapałki marki Ohio Blue Tip: zgrabne pudełeczko, kolorystykę i kształty liter.

Do wiersza o zapałkach uderzająco podobny jest „Ketchup Włocławek" Dominika Bielickiego. Tu także kolejne wersy skupiają się na kolorach tła czy rzucanych przez litery cieniach – i można by podejrzewać, że rzeczywiście chodzi jedynie o ketchup, gdyby nie dwa początkowe wersy, które jednym precyzyjnym ruchem ustawiają pomidory na niebieskim tle etykiety w kontekście całego teraźniejszego świata: „Na obrzeżach utrzymuje się jeszcze / stan chwiejnej normalności". Opisy sytuacji i drobne scenki – podobną strukturę zachowuje większość wierszy z tomu „Pawilony" Bieleckiego: kobieta wystukująca rytm kluczem na poręczy, podsłuchana w tramwaju czy autobusie rozmowa, dziewczyna odbierająca naleśniki na wynos. Towarzyszy im lakoniczne zwykle odniesienie do znacznie szerszego, społecznego czy nawet politycznego kontekstu ostatnich lat. Kiedy czytamy najkrótszy w tym tomie wiersz, wiemy już, że w tej dostrzeżonej z okna samochodu scence babcia i rower nie zamykają repertuaru możliwych znaczeń: „Babcia z rowerem w Rykach / na pasach ukłoniła mi się".

Najkrótszy wiersz Natalii Malek brzmi natomiast: „szczątki po performansie" i został zatytułowany „Kroki". Krytyka rozpoznawała w tomie „Kord" nowy poetycki język: inny, świeży rozkład akcentów i napięć. Świetnie to widać np. w wierszu „Negocjacje lubią ciszę", w którym kolejne elementy – „palcówka", „busik do Gdańska" i „twixy" – w żaden bezpośredni sposób się do siebie nie odnoszą, ale tworzą nową konstelację, opartą na zasadach innych niż podobieństwo czy zależności przyczynowo-skutkowe. To właśnie dzięki nieoczekiwanym zetknięciom słów i wersów, nowym połączeniom stylistycznym i tematycznym język odnawia swoje moce. W jednym z tegorocznych facebookowych sporów o poezję – między Jackiem Dehnelem, autorem „Serca Chopina", a Rafałem Wawrzyńczykiem – krytyk domagał się od poety właśnie wyciągania z języka mocy dotąd nieznanych, a poeta z kolei bronił się, twierdząc, że potrzeba tworzenia nowego poetyckiego języka była aktualna za czasów awangardy początku XX w., dziś zaś ten wymóg stał się anachroniczny.

O ile przy tak ustawionej linii sporu tom Natalii Malek byłby po myśli krytyka, o tyle tej drugiej, sformułowanej z kolei przez poetę zasadzie – że tworzenie dobrych wierszy nie polega wcale na stałym odnawianiu poetyckiego języka – pozostaje wierny Jerzy Kronhold w swoim dziewiątym tomie, „Stance". Składa się on z 45 rymowanych oktostychów i 16-wersowej „Piosenki", jednego z wielu w tym tomie wierszy miłosnych, zapisanego w większości czasownikami w pierwszej osobie. Choć to tomik różny od dotychczasowych książek nowofalowego poety, to moce języka, którymi włada Kronhold, są dobrze znane. Czytelnik tu i ówdzie wysłyszy echo rozmaitych tradycji – Piotr Matywiecki zwraca na tylnej okładce uwagę przede wszystkim na tony z Horacego, Kochanowskiego i baroku. Rymy i rytmy sprawiają, że tom czyta się jak rodzaj poematu, opowieść o nieustających zmaganiach ze sprawami miłości i śmierci.

Kolejne dwa tomy nominowane do gdyńskiej nagrody pochodzą od debiutantów: Macieja Topolskiego („Na koniec idą") i Agaty Jabłońskiej („Raport wojenny"). W 20 zatytułowanych podobnie utworach Topolski „na potrzeby wiersza" rozmawia z nieobecnym Bogiem, ale także narzucającą się pustką i samą tradycją liryki konfesyjnej. W efekcie nie powstaje oderwana od codzienności refleksja, ale wersy bardzo językowo gęste, zaangażowane także we współczesność: „ile jeszcze panowie / ile jeszcze żeby wypełnić wam / pustą i głodną przestrzeń brzuchów rąk bibliotek / kiedy powiedzieć dość" („nienasycone").

Agata Jabłońska, zgodnie z tytułem, tworzy wiersze intensywnie zaangażowane, oparte na oryginalnych konceptach, jak w świetnym „Mówieniu NIE. Instruktażu", gdzie kolejne trzy litery tego najważniejszego słowa zostają rozwinięte w instrukcję wymowy („żeby ci ten język nie przyrósł do zębów"), szybko jednak przemieniającą się w przegląd światowego zła, na które owym NIE należy zareagować. „Musiałam to zapisać, żeby was nie budzić, żeby wam nie płakać", tłumaczy się poetka i ta uwaga mogłaby dotyczyć całości tomiku: pisanie staje się sposobem na przekucie płaczu w działanie. I jesteśmy tu już ogromnie daleko od paczki zapałek marki Ohio Blue Tip, po drugiej wręcz stronie poetyckiej skali, na której rozpięte zostały tegoroczne nominacje. ©

Czarne grzbiety

MICHAŁ SOWIŃSKI

Książki prozatorskie nominowane do Nagrody od lat dają reprezentatywny wgląd w podskórne życie polskiej literatury.

Nie inaczej wygląda to w tym roku, przy czym finałowa piątka różni się od siebie tak bardzo, jak to tylko możliwe. I to zarówno pod kątem stylistycznym czy formalnym, jak i ze względu na rodzaj opowieści o świecie, które nam serwuje. Dlatego też poszukiwanie jakiejkolwiek linii przewodniej byłoby nie tylko karkołomne, ale przede wszystkim spłycające dla samych tekstów.

W Nagrodzie Literackiej Gdynia bynajmniej nie chodzi jednak o to, by tworzyć nowe konstelacje w polu literackim, ani tym bardziej wpasowywać się w istniejące już kanony i inne zależności. Finałowe zestawienia, szczególnie w tej kategorii, miały zawsze na celu pokazanie maksymalnie szerokiej perspektywy tego, czym może być literatura. A konkretniej: jakimi językami się posługuje, czy próbuje poszerzyć swoje granice, a może porzuca eksperymenty, aby rekonfigurować to, co już dobrze znane? I wreszcie – co nowego (albo starego) jest nam jeszcze w stanie powiedzieć o świecie i nas samych? Nieprzypadkowo więc w tych zestawieniach można znaleźć debiutantów (w tym roku aż trzech: Bogdał, Bunda i Sołtys), dominują też autorki i autorzy spoza głównego nurtu literackiego. Nie chodzi jednak o sprzedażowe słupki ani medialną rozpoznawalność, ale raczej o odwagę zapuszczania się na nowe literackie terytoria.

„Nieczułość" Martyny Bundy na pierwszy rzut oka odstaje od pozostałych pozycji. Formalnie najbardziej klasyczna – rozpisana na cztery kobiece głosy powieść, niemalże XIX-wieczna z ducha saga opisująca życie trzech pokoleń kaszubskiej rodziny. Od lat 30. aż po późny PRL śledzimy losy Rozalii i jej trzech córek – co znamienne, mężczyźni pojawiają się tu rzadko i zazwyczaj szybko stają się kłopotliwym balastem. W powieści nie chodzi jednak wyłącznie o pokazanie historii z oryginalnej, bo jednocześnie kobiecej

i prowincjonalnej perspektywy, ale raczej o relację z nierównej walki z rzeczywistością dotkniętą fundamentalnym brakiem czułości, a przez to skąpaną w mroku melancholii (wszak Kaszuby to miejsce narodzin demona Smętka).

Krok dalej idzie Aleksandra Zielińska w zbiorze opowiadań „Kijanki i kretowiska", który można potraktować jako dziennik dokumentujący kolejne wyprawy w ciemne rejony świata (a czasem i świadomości). Zielińską konsekwentnie (to już jej trzecia książka) interesuje to, co niedoformowane – znajdujące się gdzieś na granicy szaleństwa, wymykające się możliwościom naszego języka. Bohaterkami jedenastu opowiadań są młode dziewczyny próbujące – z różnym skutkiem – dopasować się do nowych warunków stawianych im przez opresyjną dorosłość. Autorka żongluje zarówno perspektywami narracyjnymi, jak i konwencjami gatunkowymi, za każdym razem na nowo próbując opisać to, co nie potrafi zmieścić się w normalnym kadrze.

Czarne słońce, choć tylko połowicznie pojawia się w tytule książki Waldemara Bawołka, świeci mocno i bez przerwy nad jej bohaterami. Tu nie dzieje się nic, bo nic nie może się wydarzyć. Podstarzali mężczyźni i ich stare matki, małe miasteczko, poranne piwo w parku i gazetki z promocjami z lokalnego dyskontu – w tym zamkniętym kręgu nijakości i beznadziei nawet język pracuje na jałowym biegu, mieląc wciąż te same kłótnie, ale i marzenia. „Echo słońca" to przejmująca opowieść o piekle codzienności zbudowanym z obsesyjnych monologów, których nawet śmierć nie jest w stanie przełamać.

Świat powoli wyłaniający się z kolejnych monologów mamy także we „Florydzie" Grzegorza Bogdała – zbiorze pięciu tekstów, które łączy wiara w niezwykłą moc opowiadania. Ich narratorzy, na początku jakby od niechcenia, potem coraz mocniej chwytają nas w żelazny uścisk swoich opowieści. O czym mówią? O swoich życiach – pozornie banalnych, podszytych jednak narastającą z każdym akapitem dziwnością, momentami ocierającą się o szaleństwo. Nie liczą, że uda im się swoje historie opowiedzieć do końca, ale przecież nie na tym polega literatura, ani tym bardziej uwodzenie.

Wie o tym doskonale Paweł Sołtys (niektórym znany bardziej jako Pablopavo), który w swoim zwiewnym zbiorze „Mikrotyki" wyczarowuje opowieści niczym z ulicznych ballad albo czeskich opowiadań. To literatura obliczona na krótkie, emocjonalne spięcia. Obrazki z życia stolicy – ale tej kameralnej, zbudowanej z zapomnianych uliczek i rzadko odwiedzanych zakamarków – migają przed naszymi oczami, zostawiając po sobie oszałamiające powidoki. Warszawa Sołtysa smakuje tym rodzajem goryczy, po którym chce się więcej.

Wcześniej pisałem, że doszukiwanie się cech wspólnych tych pięciu książek byłoby naiwnym uproszczeniem. Jedna rzecz je jednak łączy – wszystkie mają czarne grzbiety, choć to najprawdopodobniej tylko przypadek. ©℗

Esej, czyli wszystko

PIOTR KIEŻUN

Z esejem jest jak z czasem u św. Augustyna. W teorii wszystko wiemy, jednak gdy przechodzimy do konkretów, zaczynają się schody.

Chciałoby się wykrzyknąć: „esej, czyli wszystko!". I coś jest na rzeczy, skoro tak chętnie szafujemy tym szacownym terminem. Jego znaczeniową pojemność doskonale widać w nominacjach do Literackiej Nagrody Gdynia. Kategoria „esej" jest tu czymś w rodzaju wentylu bezpieczeństwa, bo pozwala docenić ważne publikacje, których jednak nijak nie da się opatrzyć etykietą „proza" lub „poezja".

Nie inaczej jest w tym roku. Wśród nominowanych dzieł książką, która najbardziej przypomina esej w jego tradycyjnej formie, jest „Rękopis znaleziony na ścianie" Krzysztofa Mrowcewicza – zbiór trzech tekstów poświęconych twórczości Jana Potockiego, Stanisława Trembeckiego i Jana Kochanowskiego. Jak to bywa u Mrowcewicza, wszystkie trzy są niezwykłym popisem stylu, a także rzadkiej umiejętności łączenia tekstu z obrazem. Niezbywalną częścią tych esejów są bowiem starannie dobrane ilustracje. Temat jest zresztą też nad wyraz eseistyczny, jeśli za wyróżnik eseju uznać erudycyjność. Mrowcewicz, wytrawny znawca literatury staropolskiej, odsłania nam pesymistyczną stronę epok kojarzonych zazwyczaj z optymizmem. Esej o Janie Potockim to rzecz o szaleństwie oświeconego rozumu. Tekst o Trembeckim pokazuje, jak krucha jest równowaga pomiędzy naturą a kulturą. Z kolei portret renesansowego Kochanowskiego to opowieść o samotności i zwątpieniu.

„Rzeczy, których nie wyrzuciłem" Marcina Wichy ubrać w szaty eseju już trudniej. Czym zatem są? Wspomnieniem? Hołdem dla zmarłej matki? Nie do końca. Nie chodzi w nich tylko o pożegnanie i upamiętnienie bliskiej osoby. Emocje autora nie są tu zresztą najważniejsze. Czułości, choć nieco chłodnej, Wisze co prawda nie zbywa, ale trudno byłoby wykazać, że autor – jak mawiał Miłosz – lubi babrać się w emocjonalnych bebechach. Minimalistyczna, oszczędna w słowach i jednocześnie bardzo precyzyjna książka Wichy jest przede wszystkim portretem pewnego pokolenia, a dokładniej formacji zwanej powojenną inteligencją – z naciskiem na literę „ż". Wszystko jest tu nakreślone trochę po Perecowsku – poprzez konkretne przedmioty (książki, meble), a ten sposób wypowiedzi doskonale zestroił się z nieco ironicznym tonem Wichy. Efekt długo pozostaje w pamięci.

Dorota Masłowska, wiadomo, to osobny gatunek literacki, ale w przypadku zbioru tekstów „Jak przejąć kontrolę nad światem, nie wychodząc z domu" jasne jest dla mnie, że chodzi tu po prostu o stary, dobry felieton. Publikowane na stronie Dwutygodnik.pl teksty zawsze wychodzą od aktualnego zdarzenia, a nawet jeśli zapuszczają się na terytorium tzw. historii najnowszej, niezmiennie dzieje się to w odniesieniu do współczesnej debaty bądź mody. Czuły sejsmograf społeczny Masłowskiej wyłapuje głównie to, co w dyskusjach wychodzi mimochodem – nasze nawyki, uprzedzenia, stereotypy. Przede wszystkim te inteligenckie, wielkomiejskie, choć trzeba przyznać, że Masłowska, analizując naszą rodzimą popkulturę z jej umiłowaniem do disco polo, seriali i pism ilustrowanych, nie oszczędza ani hipsterów z warszawskiego Zbawiksa, ani tłumu Grażyn i Januszów. I chwała jej za to.

Kolejną nominowaną książkę trudno skojarzyć z esejem już przez sam jej rozmiar. Marian Sworzeń, w 2012 r. nominowany do Nagrody Literackiej Gdynia za reportaż z podróży w rodzinne strony Gogola, stworzył bowiem dzieło totalne. „Czarna ikona Biełomor" to ponad sześćsetstronicowe tomiszcze, w którym autor postanowił w sposób kompletny przedstawić jeden z epizodów czasów stalinizmu – zbiorowy projekt stworzenia wielkiej księgi opiewającej budowę Kanału Białomorskiego. Sworzeń opisuje zarówno samo przedsięwzięcie, jak i losy jego bohaterów, czyli dziesiątek rosyjskich pisarzy i artystów. Nie dajmy się przy tym zwieść pozorom. Zaopatrzony w indeks, słowniczek wyrażeń i poprzedzony żmudnymi badaniami tekst nie jest pracą naukową. Zbyt dużo w książce samego Sworznia, a ostatnia jej część ma cechy wytrawnego reportażu.

Ostatnia z nominowanych książek „Inne życie. Biografia Jarosława Iwaszkiewicza. Tom 2" pióra Radosława Romaniuka nie pozostawia już żadnych wątpliwości, a podtytuł mówi sam za siebie. To chyba najbardziej klasyczne w swoim gatunku dzieło wśród wszystkich pięciu i na pewno nie jest esejem. Pisana od ponad dekady, solidna, ale niepozbawiona krytyczno-literackiego pazura biografia Iwaszkiewicza jest obecnie najpełniejszą prezentacją jego życia i twórczości. Szkoda tylko, że Romaniuk nie wydał swojego dzieła nieco wcześniej. Zanim drugi tom ujrzał światło dzienne, pojawiła się masa książek o autorze „Brzeziny", które przyćmiły doniosłość jego pracy. Wystarczy wspomnieć, że dostaliśmy do ręki dzienniki samego Iwaszkiewicza. Ale fakt pozostaje faktem – dziś żaden znawca i miłośnik Iwaszkiewicza nie będzie się mógł obejść bez tych dwóch monumentalnych tomów. ©

Przekłady i rozpady

TOMASZ SWOBODA

Tłumacze zmagali się z szalonymi logoreami, orgiami metafor, organizowaniem chaosu, ciemnością i oczywiście rozpadem języka.

W odróżnieniu od W.G. Sebalda, drugiego z wielkich mistrzów niemieckojęzycznej prozy, jacy zawładnęli w ostatnich latach naszymi umysłami, Thomas Bernhard przekładany jest na polski przez różnych tłumaczy. Tym razem z powodzeniem podjęła się tego Sława Lisiecka, której zawdzięczamy już niezrównane „Autobiografie". Ich ton bez trudu odnajdziemy w „Chodzeniu" – arcyberhnardowskim, obsesyjnym monologu, wymierzonym, jakże by inaczej, w Austrię, ale i w całą ludzkość oraz jej instytucje, prędzej czy później doprowadzające wybitne jednostki do obłędu. Drugie z opowiadań zawartych w nominowanym tomie, „Amras", przywodzi na myśl prozę Becketta i Blanchota. Poszarpana, nieefektowna opowieść o udręce dwóch braci ocalałych wbrew sobie z rodzinnego samobójstwa to coś w sam raz dla miłośników tezy, według której rolą literatury jest ukazywać ziejącą wokół nas pustkę.

Przy odrobinie dobrej woli Julię z „Macochy" Petry Hůlovej można by uznać za kobiecą wersję bohaterów Bernharda. Nie decyduje o tym pierwszoosobowa narracja – to bowiem jest, z jednym wyjątkiem, cechą wspólną wszystkich książek nominowanych w tej kategorii – lecz wywoływane przez jej opowieść wrażenie słowotoku, w którym tytułowa macocha, niegdyś obiecująca pisarka, obecnie zarabiająca pisaniem seryjnych romansideł, nie oszczędza dosłownie nikogo, w tym samej siebie. O ile jednak u austriackiego pisarza logorea opiera się na obsesyjnych powtórzeniach, o tyle przełożony przez Julię Różewicz monolog czterdziestoparoletniej alkoholiczki jest istną orgią metafor, obficie czerpiącą z wszystkich rejestrów języka. Choć bohaterka wyznaje, że „ma rzadki dar: potrafi za pomocą ogromnej ilości słów nie przekazać zupełnie nic", atrakcyjność tej prozy wynika również właśnie z precyzyjnej psychologicznej wiwisekcji, jakiej Hůlova

dokonuje na przewijających się przez powieść postaciach.

Innego rodzaju atrakcje czekały na Magdalenę Pytlak – tłumaczkę „Wzniesienia" Milena Ruskowa. Gdyby ktoś nie miał akurat dostępu do bułgarskiego oryginału, ze wstępu „Od autora" dowie się, że język powieści jest imitacją „zorganizowanego chaosu" tamtejszej literatury odrodzeniowej z drugiej połowy XIX w., a ze wstępu „Od tłumaczki" – że jej przekład jest próbą stworzenia (a nie tylko „przełożenia") języka, który by ten chaos oddał, nie tracąc zarazem czytelności. Próbą opartą na swobodnej archaizacji i niepoprawności, ale przede wszystkim – na niebywałej inwencji. Tak udaną, że wiele sformułowań chciałoby się przenieść do naszego codziennego, coraz uboższego języka. Narratorem „Wzniesienia", współczesnej powieści pikarejskiej, jest dzielny junak, który z „leworwerem" w jednej ręce, a z bułgarskim elementarzem w drugiej walczy jednocześnie o powstanie swojego kraju i o powstanie języka. Te podwójne zmagania czynią zeń postać *par excellence* heroikomiczną – arcydzielną figurę nowoczesności.

Ze swego rodzaju narodzinami mamy też do czynienia w powieści Anny Bolávej. Przełożone przez Agatę Wróbel „W ciemność" to narodziny powieściopisarki – debiut prozatorski młodej czeskiej poetki. Poetycki jest też pomysł na historię: bohaterka żyje samotnie w babcinym domu po rozstaniu z mężem, zbierając i susząc zioła. A także tłumacząc. Zioła oddaje do skupu, żeby dorobić (wiadomo...). A może raczej tłumaczy, żeby dorobić do pracy zielarki. Zielarki albo obłąkanej czarownicy, za jaką coraz powszechniej uważają ją mieszkańcy małego miasteczka, a którą Anna w szybkim tempie się staje. Naiwna psychologicznie narracja w czasie teraźniejszym jest tu świadectwem rozpływania się bohaterki w naturze – rodzaju błogiego szaleństwa, metafory egzystencjalnej ucieczki. Całości dopełniają żartobliwe blurby osób zajmujących się zielarstwem: każdy miłośnik roślin z pewnością chętnie utożsami się z bohaterką, która składa w makabrycznej ofierze swoje anorektyczne ciało.

W stawce nominowanych utworów nie mogło zabraknąć przekładu ponowionego: to właśnie nowe tłumaczenia klasyki spotykały się wszak w ostatnich latach z największym uznaniem kapituły Nagrody. Tym razem owym klasykiem jest „Dół" Andrieja Płatonowa w przekładzie Adama Pomorskiego. Antyutopia z lat 30. XX w., rzecz jasna nigdy oficjalnie nieopublikowana w Związku Radzieckim, krążyła w drugim obiegu i tam zyskała status powieści, która w najbardziej gorzki sposób rozprawia się ze stalinowskim totalitaryzmem. Wśród powodów, jakie skłoniły go do nowego przekładu „Dołu", Adam Pomorski wymienia w pierwszej kolejności uaktualnioną, kanoniczną edycję oryginału, lecz równie istotna jest z pewnością dokonana przez tłumacza próba wiernego podążania za osobliwościami prozy Płatonowa. Powieść tego wyklętego przez komunistyczne władze pisarza jest wszak historią rozpadu nie tylko świata i człowieczeństwa, lecz także języka. ©

URSZULA DUDZIAK jest wokalistką jazzową. W dzieciństwie uczyła się grać na fortepianie, śpiewać zaczęła w liceum, zauroczona głosem Elli Fitzgerald. Karierę rozpoczęła w latach 60. w zespole Krzysztofa Komedy, śpiewała też i nagrywała z orkiestrą Edwarda Czernego. Początkowo wykonywała głównie standardy jazzowe. Po nawiązaniu współpracy z Michałem Urbaniakiem (późniejszym mężem) zmieniła swój styl śpiewania. Podstawę jej wokalistyki stanowi instrumentalne traktowanie głosu, wywodzące się z klasycznej i powszechnej w muzyce jazzowej techniki zwanej „scat". W 1973 r. wraz z Michałem Urbaniakiem wyjechała do Nowego Jorku. Obecnie mieszka w Warszawie. Występowała lub nagrywała wspólnie z takimi sławami, jak m.in. Bobby McFerrin, Herbie Hancock, Jaco Pastorius, Flora Purim, Nina Simone, Sting czy Lionel Hampton. Jest dyrektorem artystycznym festiwalu Ladies' Jazz Festival. We wrześniu w wydawnictwie Agora ukaże się jej książka „Wyśpiewam wam więcej…".

BALLADY I ROMANSE

URSZULA DUDZIAK, WOKALISTKA JAZZOWA:

Koncert jest jak randka w ciemno, bo nie wiem, kto siedzi na widowni. Wyobrażam więc sobie, że jest to ten właśnie facet. Który ma mnie pokochać.

URSZULA DUDZIAK: Chciałabym najpierw powiedzieć o niedawno zmarłym Tomku Stańce, bo to strata jak w najbliższej rodzinie. Poznaliśmy się jeszcze w latach 60., gdy Tomek pracował z Komedą, graliśmy razem koncerty. Był niepokornym i nieprzewidywalnym muzykiem. Cały czas niespełnionym, dlatego nie ustawał w twórczych poszukiwaniach. Gdy z Michałem Urbaniakiem mieszkaliśmy już w Stanach, z Tomkiem pozostawaliśmy cały czas w kontakcie. Wspaniały kolega – w każdej chwili można było do niego zadzwonić. Był przeszczęśliwy, gdy kupił mieszkanie w Nowym Jorku, kochał to miasto, było dla niego matką i ojcem.

Mam list od Tomka sprzed 25 lat, w którym pisze, że Nowy Jork był zawsze jego marzeniem.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: W środowisku jazzowym to norma? Muzycy trzymają się razem?

Szczególnie mocno odczułam to w USA. Kiedy we wrześniu 1973 r. wylądowaliśmy z Michałem na lotnisku Kennedy'ego, zaopiekował się nami Chick Corea. Oczywiście od razu chciał, byśmy przystąpili do Kościoła scjentologów, którego jest wyznawcą. Ale i doradził nam, która wytwórnia to złodzieje i mafia, a którzy są w porządku, choć trzeba z nimi twardo negocjować. Pokazał nam, jak się poruszać nie tylko w świecie muzycznym, ale w ogóle w Ameryce. To był nasz pierwszy nauczyciel. A potem dołączyli inni. Gdy Flora Purim usłyszała naszą pierwszą płytę nagraną w Stanach zapytała: „*Who is this bitch?*". To było o mnie.

„Newborn Light" – nagrane z pianistą Adamem Makowiczem.

W rankingach jazzowych Flora zajmowała pierwsze miejsce, ja drugie. W 1985 r. brałyśmy udział w festiwalu jazzowym w Tel Awiwie. Wtedy się jej zapytałam, czy rzeczywiście w ten sposób o mnie powiedziała. A ona żartobliwie: „Wiesz, jak byłam zazdrosna?".

A Pani o nią była zazdrosna?

Ja w ogóle nigdy o nikogo nie byłam zazdrosna. Raczej dziwiłam się, że mnie chwalą i wynoszą pod niebiosa. Gdy przyjechałam do Stanów, byłam zahukana – wszystkiego się bałam. I zawsze wypychałam przed siebie Michała. Gdy ktoś pytał: „Jak to się stało, że zaczęłaś śpiewać w ten sposób?", to ja urywałam w połowie pierwsze zdanie i mówiłam: „Niech opowie o tym Michał...".

Kiedy zaczęła Pani mówić już za siebie?

Trudno mi to umieścić w czasie. Kiedy w latach 80. Michał ode mnie odszedł, zostałam sama z dwójką małych dzieci. Kasia miała lat sześć, Mika – pięć. Wtedy świat mi się zawalił, nie przypuszczałam, że Michał może to zrobić. Był zaborczy i trzymał mnie krótko – wydawało mi się, że jestem jego tlenem, że gdyby mnie zabrakło, to on by umarł. Michał zawsze powtarzał, że małżeństwo to 24 godziny na dobę i wszystko trzeba robić wspólnie. Gdy byliśmy razem, Michał trzymał całe nasze życie w garści, ja nawet nie miałam własnego konta w banku. Kiedy zostałam sama, myślałam, że umrę z głodu. I z bólu.

W „Wyśpiewam wam więcej...", Pani nowej książce, pisze Pani, że musiała wtedy iść do pracy w biurze. To była połowa lat 80.

Sprawdza się powiedzenie mojej mamy: „Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło". Wszystko złe, co się w moim życiu wydarzyło, pozwoliło mi odnaleźć własną siłę i znaleźć się w miejscu, w którym jestem teraz. Ile mi to zajęło? Trudno powiedzieć. Bardzo mi pomógł wtedy Jurek Kosiński, z którym byłam przez kilka lat. Początkowo myślałam, że to jest pranie mózgu, kiedy powtarzał mi, że ja jestem geniuszem, a on jest tylko pierwszorzędnym drugorzędnym pisarzem. Cały czas mnie chwalił – nigdy wcześniej nikt tak do mnie nie mówił. A może i mówił, ale ja tego nie umiałam usłyszeć, dopiero z ust Jurka. Widział we mnie pozytywne dziwadło – nie byłam oportunistką, nie spekulowałam, prosto z mostu mówiłam to, co czuję i myślę. Niedawno Kasia, moja córka, zapytała: „Mamo, jak by twoje życie wyglądało, gdybyś została z Jurkiem?".

Jak?

↦

PAWEŁ MAZUREK / STUDIO69 / FORUM

↦ Chyba by nie wyglądało. Z Jurkiem zaczęliśmy być, gdy on był już po pięćdziesiątce, a ludzie w tym wieku się nie zmieniają. Musiałby zerwać z całym swoim dotychczasowym życiem. Przede wszystkim – blichtrem. Czuł się jak książę, który gdzie wchodził, tam zaczynał rządzić. Będąc ze mną, musiałby się skupić na innych sprawach – na rodzinie i dzieciach, z których mógłby czerpać inspirację do pisania. Bo kiedy patrzył na Kasię i Mikę, zachwycał się: „Ale one są mądre, ale dużo widzą!". Mówił: „Pojedziemy na Florydę, ja będę pilnował dzieci, a ty będziesz koncertowała".

Miał też pomysł, że razem będziecie jeździć po Ameryce z występami – Pani by śpiewała, a on by czytał swoją prozę.

Jurek miał bardzo dużo pomysłów, co wieczór inny, i błyskawicznie o nich zapominał. Za dwa, trzy dni o którymś mu przypominałam, a on na to: „Taaak? To świetny pomysł!". Jakby pierwszy raz o nim słyszał. Jurek był też ogromnie zazdrosny, to rodziło mnóstwo konfliktów. Ubóstwiał mnie, gdy widział, jak śpiewam na scenie, ale gdy z niej schodziłam, był już wściekły, że obcy faceci gapią się na mnie i nie jestem wyłącznie dla niego.

Pamiętam dobrze, kiedy 3 maja 1991 r. w radiu usłyszałam, że Jerzy Kosiński popełnił samobójstwo.

2 maja siedzieliśmy w hotelu Meridien i piliśmy herbatę. Nie było żadnego alkoholu. Odprowadziłam Jurka do domu – mieszkaliśmy 200 metrów od siebie, on na 58. ulicy, ja na 57. Potem jeszcze do mnie zadzwonił – zawsze tak robił – i umawialiśmy się na następny dzień, słyszałam, jak przerzuca kartki kalendarza, a potem mówił, że o trzynastej ma bardzo ważny lunch i żebyśmy się spotkali o dziesiątej w Central Parku. Praktycznie cały kwiecień w nim spędziliśmy, szliśmy tam, gdy tylko w ciągu dnia mieliśmy chwilę. Dużo mi wtedy Jurek o sobie opowiadał, potraktował mnie jak spowiednika. Co mówił? Nie mogę powtórzyć, byłam przecież jego spowiednikiem.

Przeczuwałam, że zmierza w stronę samobójstwa, choć to bardzo dalekie od mojego patrzenia na świat. Czasami przychodziło mi do głowy, że może on pisze książkę i że sprawdza moją wytrzymałość? A w tę noc, kiedy umierał, ja umierałam razem z nim. O trzeciej, czwartej nad ranem dostałam palpitacji serca i paraliżu lewej ręki. Bałam się, że to zawał. Obudziłam dzieci, powiedziałam, że gdybym się przewróciła, mają wołać sąsiadów. W każdym razie spać położyłam się koło ósmej – dopiero gdy dziewczynki poszły do szkoły. O dziewiątej słyszę telefon, na sekretarkę nagrywa się Kiki, żona Jurka: „Hi, Ula, zadzwoń do mnie natychmiast". Oddzwoniłam. Kiki: „Czy ty się wczoraj pokłóciłaś z Jurkiem?". Ja: „Nie". Kiki: „Bo on nie żyje". Po chwili dodaje: „Przyjdź, jeśli chcesz się z nim pożegnać". Poszłam. Gdy wracałam do domu, widziałam już koronera i ludzi z noszami, a pod wejściem zrobiło się zbiegowisko.

Wszystko złe, co się w moim życiu wydarzyło, pozwoliło mi odnaleźć własną siłę i znaleźć się w miejscu, w którym jestem teraz. Ile mi to zajęło? Trudno powiedzieć.

Kosińskiego na pewien sposób zniszczyła emigracja. W „The Village Voice" w 1982 r. postawiono Kosińskiemu zarzuty m.in., że nie jest autorem własnych książek, że „Malowany ptak" był napisany po polsku i przetłumaczony na angielski przez nieznanego tłumacza.

Mam napisane 40 stron książki o Jurku, ale coś mnie wstrzymuje przed tym tematem. Może sama się boję, że nie będę umiała się zmierzyć z jego geniuszem? Czy dam sobie radę z wrogami Jurka, bo on ich ma naprawdę sporo; to była szalenie kontrowersyjna postać. Ale z takiej strony, z jakiej ja go zobaczyłam, chyba nikomu innemu się nie udało. Kosiński potrafił być otwarty jak dziecko. Bardzo za tą niewinnością w sobie tęsknił, choć nie umiał już się przeformatować.

W „Wyśpiewam wam więcej..." obiecuje Pani, że w przyszłości napisze o Kosińskim o wiele więcej, a na razie poświęca mu Pani dwa akapity.

A te 40 stron, które mam gotowe i kiedyś opublikuję, kończę na rozmowie Jurka z Geoffreyem Stokesem, jednym z autorów artykułu w „The Village Voice". Z Jurkiem siedzieliśmy w restauracji, do której Stokes wszedł z ręką na temblaku. Podszedł do nas. Kosiński zagaił: „Masz ochotę, to siadaj, pogadamy". To był rok 1991, a cała afera miała miejsce dziesięć lat wcześniej. Od tego czasu Kosiński ze Stokesem nie rozmawiali.

Dosiadł się?

Dosiadł. Miał pretensje do Kosińskiego, że się nie bronił. Bo Jurek, gdy usłyszał te zarzuty, całkowicie się zablokował. Chyba nie przypuszczał, że ktoś w ten sposób go zaatakuje. Może coś w tym było? Jurek przecież umiał i lubił manipulować. A może sądził, że jak zacznie się bronić, wyjdzie coś jeszcze innego. Nie wiem, jak było.

Musiały minąć cztery lata od śmierci Kosińskiego, zanim nagrała Pani zadedykowanego mu „Malowanego ptaka".

Tą płytą mierzyłam się z bólem po jego stracie. Niektórzy uważają, że „Malowany ptak" to moja najlepsza płyta, i dziwią się, że przepadła. Ale dla mnie Jurek, jego śmierć i ta płyta to zamknięcie pewnego etapu.

Czegoś nie rozumiem... Podkreśla Pani, jak mocno Kosiński umocnił Panią jako człowieka, kobietę i artystkę. A w „Wyśpiewam wam więcej..." opisuje Pani, jak niedawno uczestniczyła w Nowym Jorku w warsztatach dla kobiet organizowanych przez Regenę Thomashauer. Po co to Pani?

O jej sposobie pomagania kobietom opowiadała mi już kilka lat temu moja córka Kasia, która zrobiła cały kurs. Był jej potrzebny – widocznie coś jej nie wystarczająco przekazałam jako mama. Przez osiem weekendów uczestniczki warsztatów muszą wykonywać różne zadania, które mają im pomóc wyzbyć się zachowań blokujących potencjał, a narzuconych przez wychowanie. Jedno z ćwiczeń polega na tym, by wejść do restauracji, usiąść, poprosić o darmową szklankę wody, zwykłą kranówę, i siedzieć przez godzinę, nic więcej nie zamawiając. Dla wielu kobiet jest to bardzo trudne. Te niby niewinne próby uczą je asertywności.

Pani by potrafiła siedzieć przez godzinę w restauracji przy darmowej szklance wody?

Lata temu pewnie bym to zrobiła, ale skręcałabym się ze wstydu. Natomiast teraz miałabym świetną zabawę obserwując, co się stanie i jak kelnerzy reagują na takiego źle wychowanego roszczeniowca.

Na dwudniowych warsztatach mogłam obserwować kilkaset kobiet, które nagle otwierają oczy i zaczynają się zmieniać. Otyłe, nieśmiałe, bywa, że brzydule, udają, że są modelkami, a przecież nigdy wcześniej do głowy by im nie przyszło, że mogą przejść przez scenę, na której będzie je obserwować mnóstwo ludzi. Prowadząca eksponowała swoje pięćdziesięcioletnie ciało, nie chowała pod szeroką bluzką wałków na brzuchu, podkreślała: jestem, jaka jestem, taka się sobie podobam.

To takie ważne?

Gdy po raz pierwszy przyleciałam do Nowego Jorku i widziałam kobiety o pomarszczonych nogach w minispódniczkach, to oburzałam się: „Jak tak można? Pomarszczonych nóg trzeba się wstydzić". A właśnie nie trzeba, co zrozumiałam dopiero po latach. Starzenie się to nie jest choroba, nie trzeba go ukrywać. W Stanach sporo obecnie mówi się o lookizmie. Jeśli robi ci się zmarszczka, trzeba ją zlikwidować, bo to tak, jakby w uzębieniu brakowało ci jedynki. Operacje plastyczne traktuje się tam niczym wizytę u dentysty. A w „New York Timesie" czytałam niedawno artykuł, w którym kobieta podkreśla, że każda nasza zmarszczka jest historią. Operacjami plastycznymi wymazuje się więc całą historię z ludzkiej twarzy, to jest wbrew naturze.

Nastąpiło ogromne pomieszanie – młodzi z pogardą patrzą na kurczących się i siwiejących starszych, a starsi z zazdrością na gładkich i szczupłych młodych. Między pokoleniami istnieje niezdrowa konkurencja. A tu chodzi o coś zupełnie innego: o to, by ludzie z różnych pokoleń potrafili wzajemnie z siebie czerpać, uczyć się, inspirować. W tym roku kończę 75 lat i nie miałam pojęcia, że tak długo będę żyła! Rozpiera mnie energia, mam mnóstwo pomysłów. I wzruszam się, kiedy czuję pod palcami swoją pomarszczoną szyję... Mam fenomenalny punkt odniesienia: przebyłam długą drogę, by siebie zaakceptować. Kiedyś siebie nie lubiłam, uznawałam się za mało atrakcyjną.

Ale zawsze miała Pani swoją muzykę. Nie bez przyczyny Flora Purim, która zapytała „Who is this bitch?", zaprosiła Panią do śpiewania na jej płycie „Encounter".

W tym roku kończę 75 lat. **Nie miałam pojęcia, że tak długo będę żyła!** Rozpiera mnie energia, mam mnóstwo pomysłów. I wzruszam się, kiedy czuję pod palcami swoją pomarszczoną szyję...

Na tym festiwalu w 1985 r. Tel Awiwie był też Joe Farrell, który pięknie grał na flecie i saksofonie altowym. Joe rzucił: „Słuchajcie, robimy zespół! Flora stoi po prawej stronie sceny, Ula po lewej i muzycznie się kochamy, muzycznie się kłócimy, muzycznie się godzimy, muzycznie się nienawidzimy. Wyśpiewacie to swoim głosem".

No i nic z tego nie wyszło, bo Joe parę miesięcy później umarł.

Ale coś podobnego zaśpiewała Pani z Bobbym McFerrinem.

W Bobbym to ja się podkochiwałam przez to, że taki był tajemniczy, skupiony, z Biblią. I rewelacyjny wokalista. Gdy dawaliśmy z Bobbym koncerty, to między nami, na scenie, tworzyła się niezwykła erotyka. Uniesienie i ekstaza – pożeraliśmy się muzyką.

Gdy schodziliśmy ze sceny, mówiliśmy: „Fajnie było, to cześć". I tyle. A chwilę wcześniej absolutne wyzwolenie. Choć wciąż mieliśmy zapalone światełko kontrolne, które koryguje, podpowiada: tu uważaj, tam nie przesadzaj.

W jakimś innym duecie zdarzyło się Pani takie porozumienie?

Na zasadzie siostrzanej, bez kontekstu seksualnego, z Grażynką Auguścik. To inny wymiar, choć też pełen wolności.

Ma Pani jeszcze tremę przed wyjściem na scenę?

Kilkadziesiąt lat temu trzęsłam się jak galareta. A teraz mam zniecierpliwienie: chciałabym jak najszybciej wyjść i ludzi uwieść. Koncert jest jak randka w ciemno – nie wiem, kto siedzi na widowni. Wyobrażam więc sobie, że jest to facet, który bardzo chcę, by mnie pokochał. I tu następuje sprzężenie zwrotne, wymieniamy się energią, wzajemnie uwodzimy.

Jak w romansie.

Chcę wierzyć, że ten wykreowany przeze mnie świat oczyszcza ludzi, daje im ukojenie.

Śpiewa Pani w samotności?

Śpiewam. A kiedyś ZAiKS wyszedł z propozycją, że artysta zadaje pytanie innemu artyście. Grzesiek Turnau zapytał: „A dlaczego ty nie chcesz śpiewać z tekstem? Dlaczego to jest tylko i wyłącznie wokaliza?". Odpowiedziałam mu bardzo szczerze, że pokochałam swój styl śpiewania i w nim się prawdziwie spełniam. To jest tak, jakbym fikała koziołki na linie, która wisi 50 metrów nad ziemią, a potykam się, gdy idę gładkim chodnikiem. Nie chcę śpiewać jak milion trzystu wokalistów.

A może się boję tego, że gdy zacznę śpiewać „normalnie", to stracę coś, za co jestem teraz podziwiana?

A czy śpiewa Pani, gdy jest Pani smutno?

Gdy umarł Tomek Stańko, zrobiło mi się okropnie smutno. Ale umiałam sobie to wytłumaczyć, że taka jest kolej rzeczy.

W ogóle jak jest ciężko, to dziś już nie pytam: dlaczego mnie to spotkało? Zmądrzałam. Nie użalam się nad sobą, w niekorzystnych sytuacjach staram się szukać rozwiązania.

Zawsze masz wybór – albo się załamujesz, albo działasz. Najważniejsza jest głowa, to ona decyduje. Choć córki mi po latach wypomniały to, jak się zachowywałam, gdy Michał ode mnie odszedł. Byłam tak sterroryzowana bólem, że nie dało się ze mną złapać kontaktu. Siedziałyśmy we trójkę przy stole i Mika z Kasią mnie testowały. Jedna mówiła do drugiej: „Brałaś dziś heroinę?". A druga: „Nie, dziś akurat tylko trochę kokainy wciągnęłam". Kompletnie na to nie reagowałam, bo byłam głucha i nieobecna. Z Jurkiem Kosińskim związałam się, gdy córki były jeszcze małe. I bardzo mnie potrzebowały. A ja potrzebowałam Jurka. Nie mogłam się doczekać, kiedy pójdą spać i będę mogła spokojnie wyjść z domu. Latami dręczyły mnie przez to wyrzuty sumienia.

Kilka lat temu Kasia powiedziała: „Wiesz co, mamo, było nam ciężko z Miką, ale nie byłabyś dziś tą kobietą, gdybyś się nam wtedy totalnie poświęciła".

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

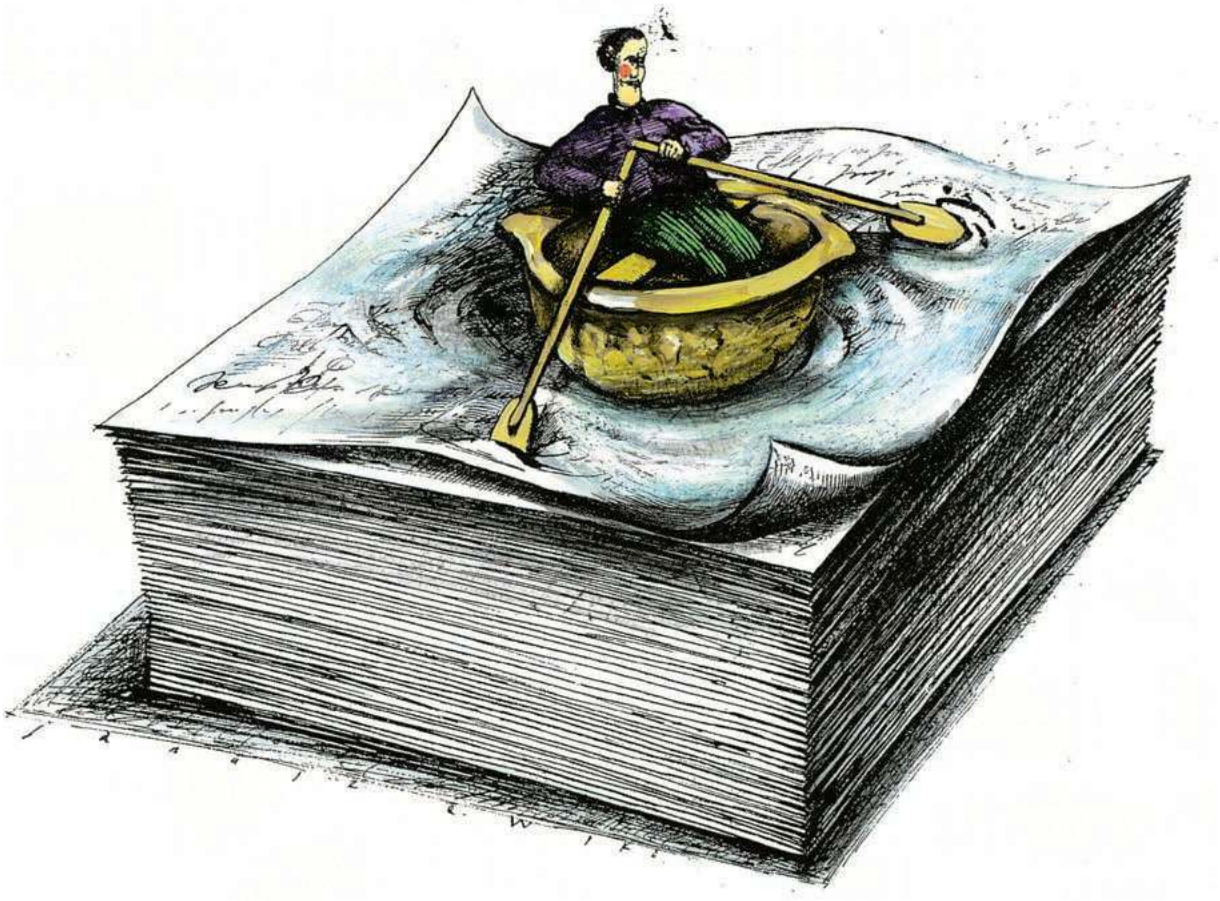

ZYGMUNT JANUSZEWSKI

Jad pytona

MONIKA OCHĘDOWSKA

Polska proza silnie ciąży ku społecznemu zaangażowaniu. Mamy tu przemoc Kościoła, państwa i jego instytucji oraz korporacji. Mamy przemoc symboliczną i domową. Najwięcej w tym klisz, najmniej literatury.

Pyton zrzucił skórę i ślad po nim zaginął. Tymczasem w strachu żyją nie tylko mieszkańcy Mazowsza, ale i Kujaw, bo warszawski pyton – rekordzista w skoku wzwyż – pokonując tamę we Włocławku, dotrzeć miał co najmniej do Torunia. Odświeżający popłoch, jaki wśród pospolitych, skończenie powtarzalnych letniskowych rozkoszy wywołała medialna wrzawa wokół gada, przywodzi na myśl udręki niepewności, jakie wzbudza istnienie innego, ponoć także zabójczego gatunku. Polskiej powieści rozrachunkowej.

W czym rzecz? Kilkanaście lat temu, w zapoczątkowanej przez Annę Nasiłowską na łamach „Tygodnika" dyskusji nad „literaturką" Przemysław Czapliński słusznie wskazał trumny Prusa i Żeromskiego jako centra dowodzenia fantazjami o polskiej literaturze. Gdy ich wygłodniali mieszkańcy, jak dwa wampiry, ruszają na łowy, natychmiast któryś z krytyków, pokąsany przez taką bestyjkę, odkurza i publikuje tekst, którego treścią jest nieśmiertelne pytanie: dlaczego polska literatura nie przedstawia (rzeczywistości), nie ukazuje (nas w zwierciadle) i nie wymierza (sprawiedliwości kapitalistom i neoliberałom)?

Zdarzało się, że oba wampiry napadały naraz jednego krytyka i wtedy Sławomir Sierakowski potrafił ogłosić, że polska literatura co prawda odzwierciedla, ale nie potrafi podpowiedzieć, jak my, głupi, mamy sobie z tą narracją objawioną poradzić.

Byliście głupi

Jeszcze dekadę temu autorzy wydanego przez Krytykę Polityczną zbioru „Polityka literatury", w tym Sierakowski, powtarzali głosy krytyki z lat 60., która zarzucała „małym realistom", że idzie im tylko o święty spokój i hołdowanie gustom czytelników kolorowych magazynów. Literatura miała porządkować i nadawać sens „amorficznej rzeczywistości", gwałtowne zmiany społeczno-gospodarcze domagały się przecież opisania. Tymczasem proza lat 90. nie miała ochoty angażować się w tarapaty młodej demokracji, podchodząc do symptomów transformacji raczej lekceważąco. Dopiero około roku 2000, wraz z książkami Dawida Bieńkowskiego, Agnieszki Drotkiewicz, Sławomira Shutego czy Krzysztofa Vargi, pojawiły się

teksty wobec przemian ustrojowych krytyczne – część z nich rozpatrywała kapitalizm korporacyjny wręcz w kategoriach czwartego rozbioru Polski. To wtedy „leming", wyrodne dziecię elit, stał się symbolem wygodnictwa, głupoty i bezwzględności, amatorem ciepłej wody w kranie. Gorszym, bo wykształconym na prywatnej uczelni w zakresie marketingu japiszonem.

W publicystycznym dyskursie, referującym stosunek Polaków do nowego kształtu państwa, dominowały dwie przeciwstawne narracje, do których kilka tygodni temu na łamach „Tygodnika Powszechnego" wrócił Paweł Marczewski. Z jednej strony mieliśmy więc zaradnych, przedsiębiorczych prywaciarzy na wzór amerykańskich „self-made manów" budujących kapitalizm „szczękowy", podnoszących gospodarkę z zapaści lat 80. „Jesteś kowalem własnego losu", „możesz więcej" – przekonywały media. „Na 68,03 FM ktoś zapytał: »Czy czasy, w jakich żyjemy, bardziej nas budzą, czy gubią?«. Zaraz zadzwonił mężczyzna, który udowadniał, że nowa Polska daje nowe możliwości. Radio go pochwaliło" – pisał Mariusz Szczygieł w reportażu z lat 90. Pracownikom upadających PGR-ów i fabryk, którzy nie potrafili odnaleźć się na nowym rynku pracy, to samo radio radziło, by starali się bardziej. Tymczasem szokowa terapia przekształceń własnościowych sprawiła, że ci najbardziej bezbronni wpadli z deszczu pod rynnę.

Te narracje sprzęgnięte są z początkiem przemian ustrojowych, bo już w 1988 r., gdy pakiet ustaw liberalizujących polską gospodarkę był w powijakach, Paweł Śpiewak zwracał uwagę na mogące rozwinąć się na jego podłożu społeczne nierówności (podobną diagnozę zawierają nawet fragmenty „Dzienników" bulteriera terapii szokowej, Waldemara Kuczyńskiego). Dekadę później Śpiewak był już pewien rosnącego, na korzyść uprzywilejowanych i najlepiej zarabiających *professionals*, dystansu międzyklasowego. Ale potrzeba było jeszcze kilku dobrych lat, by na powierzchni liberalnej demokracji i gospodarki wezbrała fala nacjonalizmu, pod naporem której pokolenie „rodziców III RP" próbowało dokonać oczyszczającej samokrytyki, już nie tylko na kartach dzienników. „Niepotrzebnie stworzono nadzieję i dano obietnicę, z której państwo nie potrafiło się wywiązać" – mówił Marcin Król do Grzegorza Sroczyńskiego w głośnym wywiadzie z 2014 r. „Popełniliśmy zbiorowy błąd" – tłumaczył dwa lata później Śpiewak w rozmowie z synem.

Estetyka usterki

Anachroniczny, wydawałoby się – a przynajmniej trwający długo jak III RP – spór obsesyjnie wraca w książkach autorów urodzonych w latach 80., dla których Leszek Balcerowicz, Jacek Kuroń czy Marcin Król to postaci fascynujące na miarę tych z amerykańskiego serialu „Mad Men". I równie widmowe.

Rzeczywiście, mniej więcej od roku 2012, wraz z pojawieniem się książek Anny Dziewit-Meller, Dominiki Słowik, Sylwii Chutnik, Joanny Lech, Jacka Melchiora, Krzysztofa Siwczyka, Grzegorza Bogdała, Anny Cieplak, Weroniki Gogoli, czy Marcina Wichy – by wymienić tych najważniejszych – obserwowaliśmy falę nostalgicznych, mniej lub bardziej biograficznych opowieści zanurzonych w dusznej duchologicznej mgiełce.

Skąd przyszła ta moda? Znudzony przepuszczoną przez filtry, instagramową bezbłędnością świata, *glitch art* i *vaporwave* zainspirował i podbił najpierw sieć. Pod ich wpływem nostalgię za czasami pełnymi szumów, skaz i usterek skapitalizował rynek książki – nie tylko zresztą beletrystycznej, bo wystarczy rzucić okiem na wydawnictwa dotyczące architektury, designu czy pogranicza antropologii i socjologii, jak właśnie „Duchologia" Olgi Drendy. Na fali popularności tematu jeszcze na początku tego roku ukazała się „Robbo. Solucja", artefakt, rzecz w całości wygenerowana na ośmiobitowym komputerze Atari.

Zasada kierująca tymi opowieściami jest prosta. Chodzi o gromadzenie niemal zapomnianych, pospolitych, ale wspólnych dla pokolenia dzisiejszych 30- i 40-latków wspomnień: o cinkciarzach i Ruskich ze stadionu, grach na Amigę 500, rowerach BMX, hamburgerach z kiszoną kapustą i pizzach na gofrze czy zgrzebnych reklamach fluorescencyjnego pumeksu. Większość historii kapryśnie uobecniających po dziecięcemu zapamiętane lata 80. i 90. oraz te (jak w tytule drugiej powieści Cieplak) „powyżej zera" nie chce wyrażać wyjątkowego doświadczenia. Są one raczej, jak pisze Krzysztof Siwczyk w eseju „Koło miejsca", poszukiwaniem „kodu nieistniejących wspólnot", tworzącym uwiarygodniające rusztowanie dla fikcji (jak w przypadku „Diska" Anny Dziewit-Meller czy „Kochanka" Jacka Melchiora) albo zawiązującym czytelniczą wspólnotę (jak w „Latach powyżej zera").

Z „Lat powyżej zera" Cieplak, „Florydy" Bogdała, „Po trochu" Gogoli czy „Stancji" Wioletty Grzegorzewskiej tu i ówdzie przenika bezradność wobec ówczesnej rzeczywistości. Ktoś musi zamknąć zakład fryzjerski, bo klientki wybierają sieciówkę w galerii handlowej, ktoś inny udaje Freddiego Mercury'ego na imprezach integracyjnych, tyra w fast foodzie albo lepi gipsowe siusiaki i cycki na eksport (do Niemiec oczywiście).

Celem tej prozy nie było jednak nigdy, szczęśliwie, cięcie gordyjskiego węzła odwiecznych polsko-polskich sporów.

Tracimy krew

„Kod nieistniejącej wspólnoty" bardzo szybko zmienił swoją pożywkę. Zastąpiła go kontra do inteligenckiego pokolenia ojców założycieli III RP. „To jest jak wojna generacyjna w dysfunkcyjnej rodzinie przeniesiona w skalę całego społeczeństwa" – powiedziała kilka tygodni temu w rozmowie z Aleksandrą Pawlicką Agata Bielik-Robson, filozofka. Ta społeczna w zamyśle diagnoza nieźle sprawdza się na użytek prozy, która ochoczo powiela skompromitowane kilkanaście lat temu w książkach Dawida Bieńkowskiego trywialne tezy, wedle których kapitalizm deprawuje, korporacja niszczy, a urlop ojcowski kastruje.

I tak, najnowsza książka Doroty Masłowskiej „Inni ludzie" to, wedle samej pisarki, obraz „społeczeństwa postkomunistycznego, w którym agresywny kapitalizm zrujnował porządki, wymienił ludziom dusze na aparaty do przeliczania pieniędzy. Ta zmiana była nienaturalna, gwałtowna, spowodowała rozmaite wynaturzenia".

Warto się zastanowić, jakie porządki, ku utrapieniu autorki, zrujnował drapieżny kapitalizm. Bo podczas gdy w „Pawiu królowej" sprawnie ujawniała, jak doskonale zaprojektowany system konsumpcji połyka i przerabia wszystko, łącznie z nią samą, na towar, dziś – wbrew deklaracjom – Masłowska nie rozbija już symbolicznych reżimów opresji.

„Inni ludzie" to formalnie udająca kontestację mdła wariacja na temat powieści mieszczańskiej, w której bogata ↦

↦ i uzależniona od xanaxu Iwona, współczesna Emilia Korczyńska, w odwecie za mężowski romans wybiera sobie na kochanka „witalnego" pomocnika hydraulika z artystycznymi ambicjami.

Sama Masłowska w wywiadzie dla „Dwutygodnika" umacnia szkodliwą wizję świata, zgodnie z którą osoby niewykształcone mają jednocześnie mniejszą skłonność do zaburzeń nastroju, i wynaturzenia kapitalizmu charakteryzuje tak: „mężczyźni łażą po parku z wózkami, role płciowe się zamazują, jest moda na unisex, również w podziale obowiązków domowych. Tymczasem świat busów i bloków jest pełen staminy, duży fokus na dobór naturalny, na seks, na podkreślanie cech płciowych – kobiety mają długie rzęsy i ostrzyknięte usta; mężczyźni przerysowane mięśnie, dużo radykalniejsze zachowania seksualne, dyskoteki, taniec, szybkie samochody – są po prostu bardziej witalni, seksualni i w jakiś sposób żywi. A my cierpimy na depresję, oglądamy seriale i tracimy krew".

Tak oto dotkliwie pokąsane elity zamieniają się w swoich SUV-ach w leniwe zombies: „Na Instagramie #szczescie #wolnyweekend #noraczej, / w realu #znowusamawłóżkupłaczę #błagamprzyjedźMaciek".

Sytuacje wymyślone

Mdłe-elity, „pier...ni public intellectuals" wkurzają z kolei Patrycję Pustkowiak, która wzorem Śpiewaka marzy o nowej, innej inteligencji. Jej „Maszkaron" to słuszna satyra na japiszonkę, pisana w kontrze do Rycerzy Solidarności i z punktu widzenia tych, o których z pewną taką nieśmiałością troszczył się Waldemar Kuczyński w rządzie Tadeusza Mazowieckiego. Tyle że, choć słuszna, to pozbawiona kąśliwej mocy i znaczenia. Bo zamiast przynosić jakiś rodzaj wyzwolenia tym, o których się przecież domyślnie upomina, zamyka ich w obserwacyjnej bańce jak „intrygującego, egzotycznego gada umieszczonego za szybą terrarium". Oczywiście, satyra lubi oswojone tematy i proste kontrasty, ale jeśli jej żarliwym celem jest zrzucenie społecznych masek i rezygnacja z niewygodnych, wartościujących ról, to sięgnięcie po stereotyp tylko umacnia *status quo*.

Tymczasem autorzy „powieści krytycznych" nie kryją, że ich książki to tendencyjna publicystyka w beletrystycznym przebraniu. „Wymyśliłam sobie sytuację, w której bohaterka gwałtownie potrzebuje duchowości, żeby wzmocnić się jako osoba, jako dusza, jako spójna całość cielesna i emocjonalna. Najbliżej domu Karoliny stoi kościół, więc ona do niego idzie i szuka tam pociechy" – mówi Natalia Fiedorczuk-Cieślak, autorka „Ulgi", przyznając, że temat duchowości oraz przykościelnych grup wsparcia zgłębiała na podstawie wpisów na forach internetowych i blogi „kobiet, które piszą o religii i o chrześcijaństwie w kontekście współczesności".

> Autorzy „powieści krytycznych" nie kryją, że ich książki to **tendencyjna publicystyka w beletrystycznym przebraniu.**

Polska proza (mam tu na myśli przede wszystkim ostatnie książki Natalii Fiedorczuk-Cieślak, Wojciecha Kuczoka, Doroty Masłowskiej, Michała Olszewskiego, Agnieszki Szpili czy Katarzyny Wiśniewskiej) silnie ciąży ku społecznemu zaangażowaniu, próbując opisać zarówno przemoc Kościoła, państwa i jego instytucji oraz korporacji, jak też przemoc symboliczną czy wreszcie domową.

Niestety zwykle przeważa w nich, zawieszony w psychologicznej próżni i oparty na swoistym *basic polish*, obrazek obyczajowy okraszony mdłymi, wtórnymi tezami.

Paradoksalnie, trywialność tej prozy próbuje się uzasadniać poprzez wpisanie jej, nawet wbrew jednoznacznie deklarowanej fikcyjności, w nurt tzw. wypowiedzi konfesyjnych, tworzących „krąg współodczuwających czytelników", którego zadaniem jest oddziaływanie terapeutyczne bądź polityczna aktywizacja odbiorcy. Rolą, a jednocześnie niepodważalną wartością wypowiedzi konfesyjnych ma być ich funkcja emancypacyjna.

Tym samym jakakolwiek recenzencka wątpliwość dotycząca literackiej jakości „wyznań" staje się, z jednej strony, równoznaczna z atakiem na mówiącego, negacją jego doświadczeń oraz pragnieniem odebrania mu głosu, a z drugiej – domagającą się kłopotliwego literackiego sztafażu próbą przysłonięcia autentycznej traumy. I tak, wedle redaktor naczelnej Culture.pl Joanny Stryjczyk, dylemat, przed którym obecnie stoi polska proza (głównie kobieca), wygląda następująco: „powiedzieć dużo i dosadnie, ale przez to zamieszkać w wiecznym literackim przedpokoju" albo „opuścić go na rzecz salonu, ale wyrzec się części własnego głosu".

Poirytowanej krytyce chodzi przecież nie o to, że ktoś pisze źle – spiskuje z kolei na stronach „Wakatu" Joanna Bednarek – ale że wdziera się na salony, próbując pisać „o sobie w sposób niezawoalowany i bez przepraszania, że zajmuje przestrzeń, domaga się uwagi, obnosi się przed nami ze swoimi neurozami i lękami, robiąc spektakl ze swojego cierpienia". A przecież jeśli jest to „spektakl", to właśnie taki, w którym doskonale odnajdują się oskarżane o jego uciszanie media, o czym świadczy stała w nich obecność autorów, pełniących rolę ekspertów lub terapeutów określonego „kręgu czytelników" w zakresie uzależnień, depresji poporodowej czy różnic między tymi z bloków i busów a bezpłciową resztą Polski, która zasypia przy Netfliksie.

Tym samym konfesyjna i krytyczna proza rozrachunkowa nie wypełnia wypełnia założonej przez jej rzeczników emancypacyjnej funkcji. Staje się za to doskonałą pożywką krzywdzących i płytkich, momentami zaś niebezpiecznych – jak w przypadku Masłowskiej – społecznych diagnoz.

Legitymizacji jakiego świata domagają się twórcy nowej powieści rozrachunkowej? Czy nie tego, który jest właśnie najsilniej umocowany w stereotypowej publicystyce głównego nurtu? Jeśli katolicyzm, to „blogowy" albo „rydzykowy"; jeśli rodzina, to patologiczna, patriarchalna, przemocowa; macierzyństwo – w cieniu *baby blues*; praca – źle płatna, uzależniająca i nikomu niepotrzebna; wakacje – za 500 plus w polskiej strefie w Grecji, zatłoczonej przez Januszów i Grażyny. Co ciekawe, najgorszym „złym" polskiej prozy od ponad 20 lat pozostaje kapitalista – przedsiębiorca albo pracownik korporacji.

Różnica jest taka, że podczas gdy na początku XXI w. wysadzaliśmy supermarkety w powietrze, dziś – bladzi, słabi, anemiczni – próbujemy je kochać. Czyżby „literaturkę", która chciała być „Lalką" III RP, zastąpiła właśnie „paraliteraturka" pisana dla pokrzepienia?

© MONIKA OCHĘDOWSKA

Żar

ROBERT KASPRZYCKI

Bez głosu Arethy Franklin, jej piosenek, jej obecności, świat muzyczny nie byłby taki sam. I jeśli to nie jest zwycięstwo zza grobu, to zaiste nie wiem, co nim jest.

Królową soulu obwołano ją już w pierwszej połowie lat 60., jednak dopiero w 1979 r., kiedy wybierała tytuł dla swego kolejnego albumu, udało jej się zdefiniować, kim jest naprawdę. Nie sezonową królową, desygnowaną przez grono zblazowanych krytyków muzycznych – lecz Divą, Boginią, boskim wcieleniem Czarnej Muzyki.

Podobnej czci, jeśli nie boskiej, to przynajmniej tej, którą przypisuje się zwykle prorokom, zażywał zresztą jej ojciec, Clarence LaVaughn Franklin, duchowny Kościoła baptystów, kaznodzieja, przyjaciel Martina Luthera Kinga, prawdziwy celebryta z Bożej Łaski. Z pomroki dziejów, która okrywa zwykle wszelkie mitologie, wyłania się wizerunek bojownika o prawa czarnych, tytana słowa i ducha, retora i poety.

Piekło w niebie

Aretha Louise Franklin urodziła się 25 marca 1942 r. w Memphis jako trzecie dziecko C.L. i Barbary, *de domo* Siggers, utalentowanej wokalistki i pianistki. Przed Arethą mieli dwoje dzieci – córkę Ermę oraz syna Cecila, po niej zaś na świat przyszła Carolyn. Częścią rodziny był także Vaughn, syn Barbary z poprzedniego małżeństwa.

Legendy opiewające dzieciństwo Arethy mówią o jej rzekomo wyrodnej matce, która opuściła męża i czworo dzieci po to, by zniknąć na zawsze. Po części to prawda – Barbara wyjechała z Detroit, jednak ponieważ do Buffalo miała zaledwie trzysta kilometrów, podtrzymywała więź, odwiedzając dzieci u ojca bądź zapraszając je do siebie. Nadzieja na to, że państwo Franklin mogą się pogodzić, prysła cztery lata później, kiedy w marcu 1952 r., tuż przed dziesiątymi urodzinami Arethy, jej matka umarła nagle na atak serca. Choć wokół przystojnego i charyzmatycznego pastora zawsze pełno było kobiet pragnących jej matkować (m.in. dlatego Barbara opuściła Detroit), prawdziwą opoką będzie dla Arethy babka Rachel, zwana „Big Mamą". Dziewczynka wpatrzona jest również w nową partnerkę ojca – członkinię jego świty oraz znakomitą wokalistkę Clarę Ward.

Aretha, zwana w domu Ree, debiutuje jako dziecko, śpiewając w prowadzonym przez ojca New Bethel Church stary hymn „Jesus Be a Fence Around Me". Równie ↦

MICHAEL OCHS ARCHIVES / GETTY IMAGES

Aretha Franklin pozuje do zdjęcia na okładkę albumu „Let Me in Your Life", luty 1974 r.

wcześnie okazuje się, że z łatwością przychodzi jej gra na fortepianie. Potrafi zagrać i zaśpiewać wszystko, jej głos brzmi niezwykle dojrzale, jej interpretacje poruszają wiernych do głębi.

Nic zatem dziwnego, że w wieku zaledwie 12 lat, jako wokalistka i pianistka, rusza z ojcem w tzw. *gospel caravan*, objazdowe *show* połączone z kazaniami i wykładami prowadzonymi w różnych kościołach. Gorąca atmosfera trasy, zażyłe relacje między muzykami, splatanie się uniesień religijnych i zmysłowych sprawiają, że Ree zachodzi w pierwszą ciążę mając lat zaledwie 12, w drugą, gdy ma 14 – obaj synowie trafiają zaś pod skrzydła „Big Mamy".

Kiedy po latach, z pomocą Davida Ritza, wyda autobiograficzne „Aretha. From These Roots", ukazujące wyidealizowany obraz własnej przeszłości, więcej w tej książce będzie zakryte niż odkryte. Gdzieś znikną sześcioletnia dziewczynka porzucona przez matkę, patriarcha, kaznodzieja i seksoholik ze skłonnością do przemocy, gdzieś zniknie 15-letnia dziewczyna, matka dwóch synów, rzucona na pożarcie molochowi show-biznesu.

Na pierwszym planie stanie niesamowity talent, który przychodzi „skądś", mroczne *je ne sais quoi*, tajemniczy dar, za który trzeba będzie zapłacić osobnością, samotnością, wyobcowaniem, paranoją, w której zagrożeniem staną się nawet własne siostry (zarówno Erma, jak Carol były co najmniej interesującymi wokalistkami, Carol zaś zdolną autorką, napisała m.in. „Piece of My Heart", śpiewane przez samą Janis Joplin). W swej samotności Aretha tworzyć będzie alternatywny świat, szukając zapomnienia w alkoholu, narkotykach, kompulsywnym jedzeniu i traceniu wagi, w skrzętnym ukrywaniu nieprzepracowanych traum.

Pociąg ku sławie

Jesteśmy jednak u zarania jej kariery. Ojciec, pełniący funkcję menedżera, pomaga nagrać pierwszy album – „Songs of Faith". Jest to jednak zaledwie przedśpiew – skoro Bóg obdarzył Arethę ogromnym talentem, nie należy go chować pod korzec. W odróżnieniu od wielu przedstawicieli konserwatywnego Kościoła Afroamerykanów, był C.L. zwolennikiem tezy, iż między muzyką gospel a bluesem nie ma w istocie różnicy. I jak to ujęła Aretha podczas jednej z prób swego zespołu: cała ta muzyka to po prostu Kościół. Stamtąd płyną wszystkie źródła, a spór o to, co było pierwsze, jest bez znaczenia – być może to wzniosły *negro spiritual* zainspirował bluesa, śpiewanego na polu bawełny niczym żeglarska szanta, być może to metafora roboczego trudu przeniesiona została w obręb duchowy.

Zdobyła 18 nagród Grammy, sprzedała 75 milionów płyt, kolekcjonowała honorowe doktoraty prestiżowych uniwersytetów, **uświetniała swoimi występami zaprzysiężenia prezydenckie.**

Zdaniem wielebnego „Franka" blues i gospel były częścią dziedzictwa, z którego należy być dumnym, oba sprawiały, że ich wykonawca nie czuł się dłużej rabem, przygiętym do ziemi ciężarem grzechów, z których najcięższy polegał na tym, że do Ameryki przybył pod pokładem brygu, a nie na statku „Mayflower". Swym głębokim głosem wielebny przynosił pobratymcom Dobrą Nowinę, ucząc szacunku dla własnej rasy, sprawiając, że czułeś się dumny z bycia czarnym, że przez chwilę byłeś czymś więcej niż kłaczkiem bawełny zaplątanym w siwą brodę Boga Białych Ludzi.

Aretha, szukając syntezy obu nurtów, trafi początkowo do Columbia Records, jej mentorem zaś stanie się John H. Hammond, ten sam Hammond, którego znamy jako akuszera sukcesu Dylana, Cohena czy Springsteena.

Niestety, lata spędzone w Columbii będą dla Arethy okresem nie tylko owocnej pracy, ale także studziennych depresji: zdobywanie kolejnych przyczółków sławy okupi dwubiegunowym kołysaniem pomiędzy poczuciem spełnienia a psychicznymi zapaściami. Jednak to nakładem Columbia Records ukazał się jej pierwszy „świecki" album.

„Aretha: With the Ray Bryant Combo", a za nim kolejne albumy, na których talent, wręcz przepalający ebonitowy krążek, zmagał się z poszukiwaniem stylu, a przede wszystkim – sukcesu.

Koncerty sprzedawały się dobrze, zarobki bywały na niezłym poziomie, krytycy z aprobatą odnosili się do jej twórczości, coś jednak nie grało na linii artystka–listy przebojów. Aretha widziała, jak jej młodsze konkurentki odjeżdżają pociągiem ku sławie; ona na masową popularność musiała zaczekać.

Do hymnu!

Spod opieki Columbii, a przy okazji spod kurateli ojca, wyrwie ją Ted White – mąż, promotor, agent, człowiek z przeszłością alfonsa, co zresztą przydaje mu się w śliskim świecie show-biznesu. Ogłada White'a, jego klasa i dobry wpływ na Arethę w kwestiach artystycznych nie ograniczały jego „latających" rączek – zresztą jak pisze w swej świetnej książce „Respekt. Życie Arethy Franklin" biograf artystki John Ritz, damscy bokserzy stanowili w tamtym środowisku, zdominowanym przez alfonsów, naganiaczy, naciągaczy, szemranych fotografów, didżejów niegardzących payolą, pedo- i nimfofilów, całkiem spore grono, przemoc traktowana zaś była, również przez bite partnerki, na zasadzie: „kto bije, ten kocha". Jak się zdaje, również Aretha tkwiła w podobnym związku, i wiedziała, od kogo żądać odrobiny szacunku.

Po sześciu latach w Columbii, która zdaniem Arethy wiecznie szczędziła na promocję, nadszedł czas na bardziej agresywną kampanię prowadzoną przez Atlantic Records. Dzięki współpracy z producentem Jerrym Wexlerem udaje się nagrać przełomowy album „I Never Loved a Man (The Way I Love You)", a zwłaszcza „Respect", *cover* piosenki Otisa Reddinga, który okaże się prawdziwą bombą: nie dość, że podbije listy przebojów i na całe lata będzie wizytówką Arethy, to stanie się hymnem feministek i bojowników o prawa człowieka. Także kolejne płyty nagrywane dla Atlantic z Wexlerem pokrywały się złotem, hitem zaś stał się multiplatynowy krążek „Amazing Grace", będący triumfalnym powrotem do gospelowych korzeni.

Nieprzypadkowo jednak to „Respect" Reddinga oraz autorskie „Think" trafiły w swój czas i po dziś dzień tworzą aurę oświetlającą całą twórczość Arethy: jest w ich prostych tekstach mnóstwo wieloznaczności, można je zatem czytać jako metaforę relacji biali–czarni, kobiety–mężczyźni czy społeczeństwo–władza, jednak jak się zdaje, decydującym elementem pozostaje żar, z jakim je zaśpiewano. W książce Ritza i w piosence Otisa „*respect*", prócz rzeczownikowego znaczenia „szacunek", oznacza bowiem także im-

peratyw: „Szanuj mnie!”, co sprawia, że z miękkiej formy opisu staje się bojowym zawołaniem i żądaniem zmian.

W autobiografii „Aretha. From These Roots” kluczowe wydaje się słowo „*roots*” (korzenie), naprowadzające nas na książkę Alexa Haleya oraz miniserial z 1977 r., który do polskiej telewizji zawitał pod koniec lat 70. Zapewne część z nas pamięta losy Kunta Kinte, młodego Murzyna z plemienia Mandinka, porwanego, sprzedanego, zniewolonego, złamanego i okaleczonego. Wizja ukazanego tam niewolnictwa była tam tak skrajnie odmienna od tego, co serwowały nam „Chata wuja Toma”, „Przygody Tomka Sawyera” czy „Przeminęło z wiatrem”, że znacznie głębiej mogliśmy rozumieć siłę czarnej muzyki. Zniewolenie, upokorzenie, brak poszanowania nie były bajką o żelaznym wilku – to wszystko działo się blisko i niedawno. Być może to od „Roots” – książki i serialu – zaczęło się rewelowanie dla świata białych swoistej *theirstory*, „ich-historii”, mrocznej niczym pisarstwo Marlona Jamesa.

Historia amerykańskiego show-biznesu jawi się niekiedy jako przedłużenie tamtego procederu. Aretha miała szczęście – wpływowy ojciec czuwał nad miękkim wejściem w ten świat i zadbał o psychiczny komfort. Tego szczęścia nie mieli przedstawiciele rodów, których status celebryty nie chronił. Wiedząc, że nie mają nic więcej poza talentami swoich dzieci, zmuszali je do morderczej pracy ponad siły – kazus rodziny Jacksonów czy Houstonów wydaje się tu *memento*. Cały wysiłek rodziny skupiał się na skłonieniu Michaela bądź Whitney do orki, jakby byli wołami roboczymi ciągnącymi pług przez wyschnięte pole.

W przebraniu

Dla Arethy ostatnim etapem poszukiwań wydawcy doskonałego była Arista Records, w której niestrudzenie i skutecznie walczyła o uwagę publiczności. Współpracowała z wielkimi, znakomitymi i młodymi producentami, którzy potrafili dać jej blask i modny szlif. By od nowa zachwycać kolejne pokolenia, nagrywała duety międzypokoleniowe – od Eltona Johna, przez Annie Lennox, Luthera Vandrossa, Roda Stewarta, George’a Michaela, po Whitney Houston (która była jej córką chrzestną).

Z biografii Ritza przebija nie tylko jej psychiczne skomplikowanie i dążność do maskowania rzeczy niewygodnych, lecz także niespożyta ambicja, żywiołowość oraz instynktowna świadomość, że liczy się tylko ten, kto jest na górze, że zawsze trzeba zwyciężać, żeby, jak to ujął Ray Charles, nie być „pieprzonym eksponatem z muzeum”. Sister Ree miała w sobie ten sam ogień i ambicję co Brother Ray – była niezależna, niespożyta, niezłomna: świadczy o tym nie tylko chłodna statystyka, ale także dynamika i ciężar gatunkowy jej kariery. Stoją za nią dziesiątki płyt, ponad setka piosenek umieszczonych na listach „Billboardu”, uznanie jej za najwybitniejszą wokalistkę wszech czasów przez magazyn „Rolling Stone”.

Franklin była pierwszą kobietą, która weszła do Rock and Roll Hall of Fame – wprowadzana przez Keitha Richardsa. Zdobyła 18 nagród Grammy, sprzedała ponad 75 milionów płyt, kolekcjonowała honorowe doktoraty prestiżowych uniwersytetów, uświetniała swoimi występami zaprzysiężenia prezydenckie. Jak na córkę C.L. przystało, sympatyzowała oczywiście z Demokratami. ↦

REKLAMA

Pochwała Wolności

Pokój na świecie
zaczyna się przy rodzinnym stole

8.09.–7.10.2018
Centrum Kultury ZAMEK w Poznaniu

artyści:
Elżbieta Jabłońska Kamil Kuskowski Zbigniew Libera Daniel Rycharski Jana Shostak

kurator:
Jagna Domżalska

kurator programu edukacyjnego:
Maciej Szymaniak

wystawa dla każdego

WWW.CKZAMEK.PL
CENTRUM KULTURY ZAMEK
POZnań
PATRONAT MEDIALNY
SZUM
CzasKultury

↦ Nic zatem nie zabrzmiało mniej zabawnie i gorzko niż masowe enuncjacje, jakoby wraz ze śmiercią Arethy Franklin soul umarł – jeśli ów soul potraktować jako całość muzyki wynikłej z gospel, bluesa i rhytm and bluesa, w świetle tego wszystkiego, co dała nam Franklin, chyba nigdy dominacja jej muzyki nie była tak powszechna, i nie mówię tylko o artystkach odwołujących się bezpośrednio do statusu diw (Whitney Houston, Céline Dion, Mariah Carey, Christina Aguilera, Adele czy Lady Gaga), lecz również o ludziach, którzy wyrośli na jej muzyce (Kanye West, Jay-Z i Beyoncé). Nie wspomnę już o nieprzebranej rzeszy producentów funku, soulu, popu, bluesa, hip-hopu, o tysiącach wokalistów uprawiających ten gatunek, a mających Franklin do zawdzięczenia więcej, niż podejrzewają. Bez jej głosu, jej piosenek, jej obecności świat muzyczny w dziesiątkach jego odcieni nie byłby taki sam. I jeśli to nie jest zwycięstwo zza grobu, to zaiste nie wiem, co nim jest.

W legendarnym „Blues Brothers" z 1980 r. zagrała rolę Mrs. Murphy, żony gitarzysty bluesowego, którego koledzy wyciągają na ostatnią trasę. Stała za kontuarem, przyjmując od Elwooda Bluesa zamówienie na cztery smażone kurczaki i grzanki z dżemem, odziana w czerwoną kamizelkę, łososiowy fartuszek upaprany niezidentyfikowanym tłuszczem oraz różowe laczki z takimiż farafuszkami. Nijak nie przypominała królowej, a już najmniej boską diwę czy inną Godivę. Także przyklepana, ruda fryzura, gestykulacja i genialne oddanie charakteru pyskatej żony, której mąż chce się zerwać z łańcucha, doskonale oddawały stereotyp banału, przyziemności i „babskiego" myślenia o konsekwencjach. Dopiero kiedy zaczęła śpiewać, zaczęły się czary, magia i fajerwerki.

Jak przecież wiemy z mitologii, bogowie i boginie często przechadzali się po świecie w przebraniu.

© ROBERT KASPRZYCKI

ROBERT KASPRZYCKI będzie gościem Grzegorza Chlasty w środę 29 sierpnia o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można odsłuchać także w podcastach na stronie internetowej radia.

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

Koniec lata

ANITA PIOTROWSKA

Czy opowieść o radzieckim punk rocku da się dziś czytać jako wezwanie do buntu?

Biedni czy modni? – zastanawia się starsza pani patrząc na długowłosych rockandrollowców z Leningradu. Dziś powiedzielibyśmy „biedni, ale sexy", bo tak właśnie Kirił Sieriebriennikow (rocznik 1969) przedstawia na ekranie swoich starszych kolegów i koleżanki z początku lat 80. Za żelazną kurtynę dotarła wówczas fala punk rocka: muzyka Velvet Underground, Sex Pistols czy Blondie. Czy wespół z nadchodzącą pieriestrojką przyczyniła się do obalenia komunizmu? Rosyjski reżyser takich pytań nie stawia wprost. Z nostalgicznych powidoków i zabawnych wideoklipów tka stylowo poszarpaną materię. To prywatny wspominkowy Instagram, złożony z czarno-białych kadrów i tekstów ulubionych piosenek.

Zapewne inaczej ogląda się „Lato" dzieląc z twórcami ów kultowy stosunek do pionierskich zespołów radzieckiego undergroundu, jak Zoopark czy Kino, a inaczej poznając dopiero ich fenomen. Świadomość przedwczesnej śmierci charyzmatycznych liderów obu grup, Majka Naumienki (w tej roli Roman Biłyk) i Wiktora Coja (Teo Yoo), również ustawia nam odbiór. Podobnie jak fakt, iż scenariusz filmu został oparty na wspomnieniach Nataszy Naumienko, blisko związanej z oboma muzykami. Co więcej, Sieriebriennikow jako reżyser sam też usiłuje wskoczyć w punkowe glany i rozsadzić formę dość już znanego podgatunku: „historia niepokornej kapeli w czasie marnym". Mamy tu więc nastrojowe, filmowane uwolnioną kamerą tytułowe „lato miłości", kiedy popijając mołdawskie wino młodzi buntownicy pokazywali język przaśnej epoce Breżniewa. Mamy smakowite obserwacje koncesjonowanej wolności – gdy w pierwszej scenie „Lata", żeby dostać się na koncert, napalone fanki forsowały okna obskurnej toalety w słynnym Leningradzkim Rock Klubie. Ale są także atrakcje czysto surrealistyczne, jak okraszone drapanymi animacjami musicalowe wstawki.

To zarazem najbardziej odzierające z nostalgii sceny filmu. Kiedy podczas jazdy elektryczką smutni panowie zainteresują się obszarpanymi fanami imperialnej muzyki (nieważne, że wyrosłej z proletariackich dołów) i utwór „Psycho Killer" Talking Heads nakręca anarchizującą rozróbę, nagle pojawia się napis „To się nie zdarzyło", trzymany przez tajemniczego komentatora czy prowokatora zdarzeń. Takiego demaskowania fantazji jest w filmie więcej: pasażerowie leningradzkiego trolejbusu tylko w konwencji współczesnego musicalu mogliby poskarżyć się głośno na swój podły los, śpiewając „The Passenger" Iggy'ego Popa, a podczas koncertu w domu kultury można było tylko pomarzyć o dawaniu czadu, dziewczęcych piskach i rozwalaniu gitar w drzazgi. Zamiast tego była cenzura, przymusowe ukrzesłowienie i grzeczne oklaski.

Sieriebriennikow pokazuje, czym stała się, a zarazem czym nie mogła się stać zachodnia muzyka dla wyposzczonych, przyduszonych sowiecką codziennością dwudziestokilkulatków. Była głośnym, acz nieśmiałym marzeniem o jakiejś nowej, nieprześnionej rewolucji, ślepo kopiowanym wzorcem, lecz i wyzwaniem do szukania własnej dykcji. W tekstach o „aluminiowych ogórkach na brezentowym polu", podobnie jak w animacji zamieniającej siermiężne auto w międzygalaktyczną rakietę, odbija się tęsknota za innym wymiarem rzeczywistości, za światem bez wojny w Afganistanie, za idealnym, czyli po prostu najnormalniejszym dniem – jak z piosenki Lou Reeda. Kiedy Natasza i Wiktor niosą przez miasto porcelanową filiżankę z gorącą kawą, jest w tym akt prywatnej wolności. Bo nawet jeśli ten, kto ma dostać ów ekscentryczny prezent, w ogóle na niego nie zasłużył, a kawa i tak po drodze wystygnie,

GUTEK FILM

Kadr z filmu „Lato" w reżyserii Kiriłła Sieriebriennikowa

liczy się miłosna i artystyczna bezinteresowność gestu.

U Sieriebriennikowa widać też wyraźnie, że muzyczna rebelia w Związku Radzieckim (i nie tylko tam) była zabawą typowo chłopacką. Młode kobiety spełniały funkcje muz, kochanek, ewentualnie opiekunek do dzieci. Reżyser rozmywa jednak tę rozdzielność ról, jak i wszelkie inne napięcia, bardzo impresjonistycznymi pociągnięciami pędzla. Celowo nie pozwala się przebić ani skomplikowanej historii miłosnego trójkąta, ani opowieści o muzycznej rywalizacji czy „różnicach programowych" między Naumienką i Cojem. Nieostre kontury pozbawiają nas możliwości bliższego spotkania z bohaterami, pozwalają za to poczuć atmosferę miejsca i czasu: dzikich imprez w zadymionych komunałkach i silnego po nich kaca, użerania się z absurdami systemu i brudnego garażowego grania. Choć nawet w tych namiętnie celebrowanych klimatach reżyser nie pozwala nam się zbytnio zadomowić i rozrywa raz po raz sentymentalną tkankę.

To Władimir Putin sprawił, że rozchwiana perspektywa filmu, chwilami intymnie bliska, to znów ironicznie zdystansowana, okazała się koniec końców głęboko osobista. Podczas canneńskiej premiery „Lata" nieobecność jego twórcy, zarazem dyrektora moskiewskiego teatru Centrum Gogola, znanego z dysydenckiej postawy i przebywającego w areszcie domowym pod zarzutem defraudacji, uznana została za współczesny komentarz polityczny do filmu. Czy opowieść o radzieckim punk rocku da się dziś czytać jako wezwanie do buntu? „Uczeń", poprzedni film Sieriebriennikowa, był przecież czymś znacznie więcej niż opowieścią o nastoletnim fanatyku religijnym. „Nowoczesny" język, którym reżyser przywołuje dziś w „Lecie" czasy minione, wyraźnie na taką intencję wskazuje. Sęk w tym, że właśnie ten *sexy* język – teledyskowy, komiksowy, instagramowy – zbyt szybko się starzeje. Znacznie szybciej niż stare dobre piosenki, legendy ich wykonawców i to, co w owym filmie pozostaje najpiękniejsze, czyli wszystkie czułe muśnięcia rzeczywistości naśladujące pracę pamięci. ©

LATO *(Lieto) – reż. Kiriłł Sieriebriennikow. Prod. Rosja/Francja 2018. Dystryb. Gutek Film. W kinach od 31 sierpnia.*

RADIO KRAKÓW

Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika".

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM **www.radiokrakow.pl**

WARTO ZOBACZYĆ W TV [1 – 7 IX]

1. Liberation Day. Laibach w Korei Północnej

Dokumentalny, reż. Ugis Olte, Morten Traavik, Łotwa/ /Norwegia/Słowenia 2016, Planete+, 2 IX, 20.10

Muzycy legendarnej grupy ze Słowenii ruszają na podbój najbardziej zamkniętego kraju świata. Okazją stała się 70. rocznica wyzwolenia Półwyspu Koreańskiego spod japońskiej okupacji. Dokument opowiada o kulisach koncertu w Pjongjangu, w którym wzięło udział 1500 fanów zespołu.

2. Music and Dance for a While

Koncert, reż. Sonia Paramo, Francja 2017, Mezzo, 3 IX, 20.30, 6 IX, 16.30

Zespół L'Arpeggiata na czele z Christiną Pluhar podczas występu w Landestheater w Linzu wykonuje improwizacje do utworów Henry'ego Purcella, Georga Friedricha Händla i Claudio Monteverdiego. Towarzyszą im tancerze z Mei Hong Lin Dance Company oraz śpiewacy: Céline Scheen (sopran) i Vincenzo Capezzuto (alt).

3. Jeszcze nie koniec

Dramat, reż. Xavier Legrand, Francja 2017, Canal+ Film, 4 IX, 16.45

Mało który film potrafi tak dotkliwie i szczerze opisać zjawisko domowej przemocy. Nagrodzony w Wenecji i San Sebastian francuski debiutant wychodzi od sądowej batalii o dziecko, by ostatecznie zafundować swemu widzowi niezwykle dojrzały emocjonalny thriller.

4. John McCain: Komu bije dzwon

Dokumentalny, reż. Peter Kunhardt, USA 2018, HBO, 6 IX, 21.50, HBO2, 7 IX, 22.55

Chory na złośliwy nowotwór mózgu senator Partii Republikańskiej opowiedział przed kamerą o swoim życiu i politycznej aktywności, która nawet dla jego przeciwników była przykładem autentycznego poświęcenia dla sprawy, coraz słabiej obecnego w epoce postpolityki. Zmarł 25 sierpnia.

JAN

Klata:
Muł i miał

Bociany odleciały, Prezes truchta po górach, Jarosław Gowin radośnie wieszczy rychły rozpad Unii Europejskiej, więc wszystkie znaki na niebie i ziemi zapowiadają ciężką zimę.

Zapobiegliwie o zimie pomyślał minister Tchórzewski, wskrzeszając tradycje państwa podziemnego i podejmując akcję sabotażu i dywersji. Mianowicie miały być normy jakości paliw stałych... i będą, ale takie, żeby w piecach można było spalić praktycznie wszystko, co sprzedawca nazwie węglem. Najgorszy sort, odpady węglowe, w niemal jednej trzeciej popiół, a reszta generalnie śmieci i siara, tudzież muł. Przecież jeśli polejemy węgiel wodą, to będzie cięższy! Się wydobyło – trzeba sprzedać, za wszelką cenę. Głowa do interesów. Lobby węglowe z pomocą ministra Tchórzewskiego może rodakom wcisnąć coś, co na eksport po prostu nie pójdzie. Bo zabija.

No, ale nie można powiedzieć, żeby nowych norm ministerstwo nie wprowadzało... Konsultacje? Dyskretnie się odbyły. Zaplanowano je na długi weekend sierpniowy, niepostrzeżenie. Samorządy nie miały zbytnio okazji zapoznać się z projektem, bo i po co, jeszcze by miały za złe. Prywatne kotły węglowe w domach nie spełniają żadnych norm, bo norm nie ma, sensownych norm węgla też nie ma, i dzięki ministrowi Tchórzewskiemu nie będzie. Ludzie wrzucą miał, będą mieli ciepło i tanio. Jeśli nie widać różnicy, to po co przepłacać? Legalnie i fajno. Wolny rynek w zenicie.

Że premier Morawiecki elegancko a elokwentnie zapowiadał walkę ze smogiem jako priorytet, zmierzenie się z wyzwaniem cywilizacyjnym, nowoczesną energetykę? Pic na wodę fotomontaż, jeśli się wcześniej nie przewietrzyło gabinetu rady ministrów. Nie ma się co spieszyć, przecież się jeszcze nie pali, kopalnie muszą zbyć swój syf i miał, jak nie zbędą, jeszcze górnicy przybędą do stolicy pod gmach w alejach, i będzie przykro. A chorzy na raka nie przybędą, bo niby jak? Co z oczu, to i z serca.

Idą wybory. Zanieczyszczenie powietrza morduje 50 tys. Polaków rocznie. Nie wiem, czyim byliby elektoratem, czy ministra Tchórzewskiego, czy wręcz przeciwnie, wiem, że tak czy owak ci ludzie już nie zagłosują. Zmarnowane głosy, nieprawdaż, ministrze? ©

Lektor:
Człowiek wielu światów

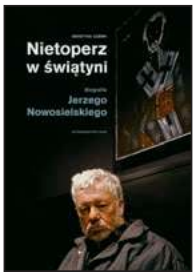

▪ *Krystyna Czerni,*
NIETOPERZ W ŚWIĄTYNI. BIOGRAFIA JERZEGO NOWOSIELSKIEGO,
Wydawnictwo WAM, Kraków 2018, ss. 448 + ilustr.

„To malarstwo rozpięte na ramionach miłości »niebiańskiej« i miłości »ziemskiej«. Rozdarty przez te dwie miłości malarz przypomina czasem anioła, a czasem nietoperza wiszącego w podziemiach opuszczonej świątyni" – napisał o przyjacielu Tadeusz Różewicz. Nowosielski, wielki twórca pomiędzy światami: Wschodem i Zachodem, religią i erotyką, teologią i sztuką. Czy może raczej – łączący te światy w sobie, a przez to zawsze osobny, nigdzie do końca nieprzystający, wewnętrznie rozdarty. Biografia artysty to gatunek trudny. Krystynie Czerni udała się rzecz niemal niemożliwa: drobiazgowo odtwarzając życiorys Nowosielskiego, ani na chwilę nie traci z pola widzenia jego dzieła i jego życia duchowego, choć zastrzega, że szczegółowe opracowanie tematu jego malarstwa religijnego i monumentalnego (a Nowosielski służył swoją sztuką zarówno prawosławnym, jak i katolikom obu obrządków, u wszystkich zresztą budząc kontrowersje) wyłączyła do osobnej publikacji. Historyczka sztuki i uczennica prof. Mieczysława Porębskiego poszła w ślady mistrza, który jako krytyk przez dziesięciolecia towarzyszył Nowosielskiemu, a równocześnie okazała się niestrudzoną badaczką archiwów i zbieraczką świadectw, konfrontującą rozmaite relacje o przeszłości. Ta sumienność zawsze czemuś służy: wzbogaceniu tła, na którym tym wyraźniej rysuje się sylwetka bohatera, przede wszystkim zaś zbliżeniu do jego wewnętrznej tajemnicy. Portret, który w rezultacie powstał, fascynuje. I jeszcze jedno: Nowosielski jest dla Krystyny Czerni „najwybitniejszym może polskim malarzem współczesnym" i „jednym z najciekawszych twórców i myślicieli współczesnej Polski", ale jej praca nie ma w sobie nic z hagiografii. Pokazuje jasne i ciemne strony życia Nowosielskiego, włącznie z jego alkoholizmem. Oddaje sprawiedliwość jego żonie, która dla tego związku poświęciła własny talent malarski. „Jest w tych akapitach odwaga w poruszaniu kłopotliwych tematów – pisał w „Tygodniku" Dariusz Czaja, recenzując przed siedmiu laty pierwsze wydanie „Nietoperza...", które ukazało się w Znaku wkrótce po śmierci artysty. – Jest sprawozdawczy, unikający emocji i taniego moralizowania opis sytuacji. Jest dyskrecja i nadzwyczajna zupełnie empatia. Jest pragnienie zrozumienia i czułość". Jak dobrze, że jezuickie wydawnictwo wznowiło tę książkę! ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Prawo kanibala

To nie musiały być wcale wakacje nad dalekim morzem, bogatym w plaże białe jak mąka. Nawet lato w zwyczajnym mieście czyniło z nas kanibali. Starczyła fala światła wpadająca przez balkon ukosem na zajętą połowę łóżka, zarys ramion kontemplowany w bezruchu stojącego w korku samochodu, gęsia skórka na rękach, kiedy wchodziło się na zakupy prosto z ulicy do ostro klimatyzowanego sklepu. W powietrzu fruwały cząstki elementarne zmysłowej fizyki upału. Ośrodek mózgu wrażliwy na mieszankę słońca, wiatru i soli, podlany w południe aperolem mieszał pragnienia różnego rodzaju, toteż na proste pytanie, „co zjesz dziś na obiad?", udzielał jednej prostej odpowiedzi: „ciebie".

Pożeramy się wzrokiem, mowę mamy pełną ludzkich dań i kąsków, od pączuszków przez konkretne befsztyki aż po wachlarz bardziej obcesowych skojarzeń, których na pewno nie usłyszycie w trakcie seansów narodowego czytania, albowiem, jak wiadomo, Polak w stulecie niepodległości przedłuża narodowy byt wyłącznie po rycersku, tudzież w czystej pościeli. Tak czy owak każde z nas zjadało nieraz człowieka do ostatniej kosteczki lub chociaż ze dwa kąski po kryjomu, czasem miewając z tego powodu zgagę lub nawet kaca – ale to nie zmienia postaci rzeczy, że jest to spożywcze instrumentarium jednym z najpiękniejszych, jakie ludzkość posiadła, od kiedy poznała uroki mówienia nie wprost.

BEW

Tym bardziej że przed grozą dosłownego potraktowania najmocniejszych aluzji chroniło nas zawsze twarde tabu, chroniące świętość ludzkiego ciała. Co prawda od czasów degeneracji oświecenia coraz częściej bywa ono przedmiotem manipulacji i uprzedmiotowienia na skalę przemysłową, o czym każdy mieszkaniec świata po Auschwitz wie nawet bez lektury Adorna. Jednak te zabiegi i procedury (dziś zwłaszcza związane z patologiczną obsesją urody i młodości) nigdy nie przekraczały progu kuchni.

Aż do ubiegłej niedzieli. Wakacje zakończyły się dla mnie twardo i obuchem w łeb, gdym przeczytał o kolejnym odcinku świetnego programu Sachy Barona Cohena „Who is America?". Komik ten wrabia swe ofiary, udając różne postaci i namawiając je do gadania i robienia rzeczy durnych, strasznych lub żałosnych. Jako rzekomy izraelski ekspert ds. bezpieczeństwa wkręcił np. kilkoro republikańskich polityków do głoszenia przed kamerą, że dobrze by było szkolić przedszkolaki w posługiwaniu się bronią. Jako były więzień, nawrócony na wyższe wartości kultury, przekonał znaną marszandkę z Kalifornii, żeby wzięła do galerii obrazy, które rzekomo malował swoimi odchodami. I również jako były więzień, a obecnie szef kuchni serwujący dania inspirowane tym, co jada się za kratami, zaprosił do programu pewnego krytyka kulinarnego.

Pominę tu z przyzwoitości pierwsze dwie pozycje z menu degustacyjnego – kto chce się narazić na niesmak, niech wpisze w wyszukiwarkę hasło *anally-aged veal in a strawberry prophylactic* (analnie dojrzewana cielęcina w truskawkowej prezerwatywie). Na trzecie danie było w każdym razie mięso „karmionego wegetariańsko chińskiego dysydenta z purée kalafiorowym". Lekko tylko zdumionej ofierze Cohen wyjaśnił, że surowiec na pewno pochodzi z etycznego źródła (tak jak kawa *fair-trade* albo ekokurczak z wolnego wybiegu): otóż tak jak istnieje program donacji organów, tak też w Chinach ludzie mogą dobrowolnie zapisywać swoje mięśnie w celach kulinarnych.

Krytyk chwilę się waha, po czym bierze do ust kąsek, jest zachwycony, mówi, że jest tak miękki, aż rozpływa się na języku jak masło. Cohen namawia go jeszcze do nagrania krótkiego wideo z podziękowaniami dla rodziców „surowca". I facet to naprawdę nagrywa.

Każdego można odpowiednim warunkowaniem skłonić do rzeczy strasznych, powiecie. Sęk w tym, że „warunkowanie" w tym przypadku to tylko sztafaż typowego programu o odkryciach kulinarnych oraz okrągła gadka, jaką serwuje publiczności byle pretensjonalny kucharz w tematycznym kanale w waszej kablówce. Nic więcej. Cohen po prostu, niczym współczesny Adorno, pokazuje brak logicznych barier na drodze po utracie niewinności. Kiedy w mojej branży nastąpił konkretnie jej moment, trudno wskazać, ale nawet nasza skromna rubryczka, pisana z dala od awangardowych restauracji i trendsetterskich programów, przez chwilę wydała mi się podejrzana. Pisać tak, żeby jedzenie zawsze było środkiem, a nie celem – tyle mogę sobie nakazać. ©℗

Żeby cofnąć się w niewinność wakacji, wracam do krótkiej podróży po zacisznym zakątku Piemontu, gdziem jadał wieczorami jedną z esencji tego regionu (obok zielonego sosu z pietruszki, o którym kiedyś tu była mowa) – grillowane lub surowe warzywa w sosie bagna cauda. W dialekcie nazwa ta oznacza dosłownie „ciepły sos" i jest to faktycznie rzecz tak podstawowa, że nie prosi się o bardziej wyszukane nazwy (zwłaszcza że kolor ma raczej bury). Bierzemy po jednym ząbku czosnku na osobę, obieramy go, kroimy wzdłuż, wydłubujemy rdzeń, siekamy na drobne plasterki, wrzucamy do garnuszka z mlekiem (ok. 50 ml na ząbek) i podgrzewamy na wolnym ogniu 20 minut. W tym czasie kładziemy na patelnię po 3–4 fileciki anchois na głowę, dusimy je na bardzo wolnym ogniu na oliwie, aż się rozpadną, pilnując, by nic nie skwierczało. Dodajemy ugotowany czosnek i jeszcze trochę oliwy, dalej dusimy, mieszając i rozgniatając drewnianą łyżką na małym ogniu około 20 minut, aż wszystko się ładnie rozpuści. Możemy podlać odrobiną mleka, w którym gotował się czosnek. Podajemy na ciepło w miseczkach. Dobre nie tylko z „południowymi" warzywami, ale także np. z pieczonym burakiem.

JAKI JEST, NIKT NIE WIDZI

Jak to w końcu jest z tym koniem? Mądry jest czy jednak głupi? I dlaczego pozwolił się ujeździć? Czy w ogóle wiecie, co mówią jego uszy?

DOROTA KOZIŃSKA

Był sobie koń – nazywał się Kluger Hans, czyli Mądry Jan. Jego właściciel Wilhelm von Osten – z zawodu nauczyciel matematyki, z upodobań frenolog i miłośnik kłusaków orłowskich – kupił go w roku 1900 i nauczył porozumiewać się z ludźmi stukaniem kopyta.

Kluger Hans rozwiązywał najrozmaitsze zadania matematyczne: dodawał, odejmował, mnożył, dzielił, wykonywał działania na ułamkach. Wynik podawał, stukając w specjalnie przygotowaną tablicę. Umiał też rozpoznawać bezwzględną wysokość dźwięków oraz poprawiać błędy ortograficzne w tekstach niemieckich. W 1904 r. powołano komisję weryfikacji jego uzdolnień, w której skład weszło 13 osób, m.in. oficer kawalerii, dyrektor cyrku i weterynarz. Na czele komisji stanął Carl Stumpf, niemiecki muzykolog i psycholog, uczeń i współzałożyciel szkoły filozoficznej Franza Brentano. Zespół nie wykrył oszustwa, powstrzymał się jednak od komentarza i zlecił dalsze badania Oskarowi Pfungstowi, który był asystentem Stumpfa w berlińskim Instytucie Psychologii Eksperymentalnej.

Trzy lata później Pfungst orzekł, że Mądry Jan jest w gruncie rzeczy Głupim Jasiem i nie potrafi nawet zliczyć do pięciu. Zamiast rachować, bacznie obserwuje otaczających go ludzi i stuka kopytem dopóty, dopóki publiczność wyśle mu podświadomie sygnał, żeby już przestał. Wniosek Pfungsta, że konie są durne, przypomina jednak wniosek radzieckiego zoologa z dowcipu o tresowanej pchle, która po wyrwaniu szóstej nogi traci słuch. Technika stosowana przez Mądrego Jana przypomina przecież metodę zimnego odczytu, czyli analizy osobowości na podstawie zachowań – używanej m.in. w profilowaniu przestępców.

W historii było więcej takich końskich geniuszy. Gniady Morocco – własność Williama Bankesa, stajennego Roberta Devereux – umiał nie tylko tańczyć i udawać martwego, ale też odróżniać dziewice od kobiet lekkich obyczajów i odmawiać złożenia honorów królowi Hiszpanii. Niewiele brakowało, by sztuczki Morocca zaprowadziły jego pana na stos. Na szczęście ogier pokłonił się przed krzyżem orleańskiego księdza i wybawił Bankesa z opresji. Amerykańskim odpowiednikiem Mądrego Jana był Piękny Jim Key, który talenty matematyczne łączył z całkiem ponoć niezłą znajomością Pisma Świętego, a przynajmniej tych fragmentów, w których jest mowa o koniach.

W latach 20. ubiegłego wieku klacz Lady Wonder pomagała policji stanu Massachusetts w szukaniu zaginionych, typowała wyniki walk bokserskich i lokalizowała źródła ropy naftowej. Pięć lat temu zmarł Cholla, malarz abstrakcjonista, pierwszy koń w dziejach, któremu zorganizowano wystawę indywidualną – i to nie byle gdzie, bo w prestiżowej weneckiej galerii Giudecca 795.

→

THOMAS SHANAHAN / GETTY IMAGES

Otwarte przestrzenie

↦ Życiorysy tych wszystkich koni więcej mówią o ludziach, którzy pewnie jeszcze długo nie wyzbędą się pokusy antropomorfizowania zwierząt. Ich niewątpliwe końskie talenty rozkwitały jednak pod opieką właścicieli, którzy traktowali je jak żywe, czujące istoty – towarzyszy codziennych doli i niedoli, równorzędnych partnerów własnych, często szalonych przedsięwzięć.

Von Osten widział w swoim Mądrym Janie dowód na mistyczny porządek wszechświata. Czarnoskóry William Key, opiekun Pięknego Jima, był wyzwolonym niewolnikiem i weterynarzem samoukiem: pomny na doświadczenia swoich przodków, trenował ogiera łagodnie i cierpliwie, nie uciekając się nigdy do użycia bata. Pani Fonda odchowała osieroconą Lady Wonder na butelce z mlekiem. Katowany przez kowbojów Cholla trafił w ręce Renee Chambers, byłej tancerki, która długo zdobywała zaufanie zwierzęcia i odkryła jego zapał do malowania przypadkiem – kiedy podkradł jej pędzel przy remoncie ogrodzenia pastwiska.

Obrońcy praw zwierząt domagają się uznawania przedstawicieli kolejnych gatunków za „osoby niebędące ludźmi", którym należy zagwarantować własne, odrębne prawa. Rząd Indii już w 2014 r. zabronił trzymania delfinów w niewoli.

W Polsce trwa walka o bezwzględny zakaz uwiązywania psów na łańcuchu, delegalizację występów cyrkowych z udziałem zwierząt, zlikwidowanie ferm futrzarskich, nowelizację prawa łowieckiego.

Na razie z mizernym skutkiem, bo pracę należy zacząć u podstaw – od stopniowej zmiany ludzkiej mentalności w podejściu do czworonogów. Dobrymi chęciami wybrukowane jest także piekło naszych podopiecznych. Wśród nich koni: od wielkiego dzwonu bohaterów spektakularnych akcji interwencyjnych w gospodarstwach zwyrodnialców, na co dzień – pokornych zwierzęcych niewolników, tyrających od świtu do nocy w szkółkach jeździeckich, wożonych po całej Polsce na kolejne zawody, cierpiących w samotności, bo tatuś kupił córce konika w prezencie na komunię.

Nawet rozkochani w swoich rumakach adepci jeździectwa rzadko znajdują czas, by zostać z nimi dłużej po treningu. A kiedy koń przestanie być grzeczny – kopnie, skubnie zębami, nie zagalopuje w narożniku albo poniesie w terenie – zwalają wszystko na końską głupotę.

To jak w końcu jest z tym koniem? Mądry on jak ten Hans czy jednak głupi jak Jasio? Dlaczego koń w ogóle pozwolił się ujeździć?

Większość naszych międzygatunkowych nieporozumień bierze się z faktu, że mózg człowieka funkcjonuje zupełnie inaczej niż mózg roślinożercy. Koń ma silnie zakodowany instynkt ucieczki przed napastnikiem – dlatego najpierw daje dyla, a dopiero później sprawdza, czego się przestraszył. Koń widzi inaczej niż człowiek – ma zaskakująco szerokie pole widzenia, sięgające blisko 360 stopni, okupione przez to mnóstwem kłopotów z oceną głębi ostrości i dystansu, jaki dzieli go od obserwowanych przedmiotów.

Jest zwierzęciem otwartych przestrzeni.
Fatalnie się czuje w zamknięciu. Znacznie trudniej niż ludzie oswaja się z niedostatkiem światła. I nie znosi hałasu.

Jest zwierzęciem otwartych przestrzeni, fatalnie się czuje w zamknięciu i znacznie trudniej niż ludzie oswaja się z niedostatkiem światła. Nie znosi hałasu – kilkudniowe przebywanie w pobliżu pracującej kosiarki może u niego wywołać nieodwracalny ubytek słuchu. Za to szelest przemykającego w zaroślach drapieżnika potrafi wychwycić z odległości pół kilometra. Węch też ma znakomity i nie gustuje w zapachach uważanych przez ludzi za powabne. Wyczuwa też strach niedoświadczonego jeźdźca, na który potrafi zareagować agresją, ucieczką do stajni albo próbą zrzucenia kłopotliwego balastu z grzbietu.

Więcej mówi uszami, ogonem i postawą całego ciała niż głosem. A kiedy się odezwie – parsknie, chrapnie, kwiknie, zarży, czasem nawet ryknie – jego słowa rzadko znajdują zrozumienie w uszach dwunogów. Uwielbia się bawić, ale jest stadnym roślinożercą i przeważnie się bawi, jak na stadnego roślinożercę przystało, w wyścigi, w kto silniejszy albo w tatę i mamę. Człowiek zaś odpowiada czasem na końskie figle panicznym strachem.

Nasze prawa

W 2016 r. ponad 20 tys. polskich internautów podpisało się pod apelem o wykreślenie koni z listy zwierząt rzeźnych oraz nadanie im statusu zwierzęcia towarzyszącego człowiekowi. Taki status przewidziano już w obowiązującej ustawie o ochronie zwierząt – dla czworonogów przebywających z człowiekiem w domu lub innym pomieszczeniu i utrzymywanych przez niego w charakterze towarzysza. Zresztą nie tylko czworonogów: w myśl prawa polskiego w codziennych zmaganiach z rzeczywistością mogą nam towarzyszyć także papugi, gupiki i karaczany madagaskarskie. To samo prawo przewiduje łączenie kilku funkcji w obrębie jednego gatunku. Czyli nie tylko pies i kot, ale także koń mogą odgrywać role zwierzęcia hodowlanego, użytkowego i towarzyszącego – wszystkie razem lub każdą z osobna.

Nie ma zatem potrzeby wyważać drzwi, skoro są otwarte. Koń może i powinien zostać ludzkim towarzyszem. W pełni zasłużył, żeby człowiek traktował go jako członka rodzinnego stada. Mało kogo stać na utrzymywanie własnej stajni, nic jednak nie stoi na przeszkodzie, żeby dwunożna końska rodzina – choćby jednoosobowa – wykorzystywała każdą wolną chwilę na odwiedziny u własnego wierzchowca w pensjonacie, u podopiecznego jakiejś fundacji albo u kobyłki w zaprzyjaźnionym gospodarstwie agroturystycznym.

Możliwości jest znacznie więcej: z końmi można też obcować w ramach wolontariatu w stadninach, klubach jeździeckich i ośrodkach treningowych. Oczywiście nie zawsze i nie wszędzie: miarą naszego prawdziwego stosunku do tych wspaniałych zwierząt jest liczba stajni, gdzie koniom brakuje nie tylko pastwisk, ale nawet porządnie ogrodzonych padoków. Dla tych nieszczęśników jedyną szansą rozprostowania zastałych kości jest praca pod siodłem albo w zaprzęgu.

Nie mam zamiaru nikogo zniechęcać do nauki jazdy konnej i uprawiania jeździectwa – choćby tylko w wymiarze rekreacyjnym. Trwam jednak w mocnym zamiarze pozyska-

nia jak największej liczby zwolenników innej kampanii: apeluję o nadanie człowiekowi statusu zwierzęcia towarzyszącego koniowi. Niech końskie stado przyzna mu prawo przebywania w swoim otoczeniu, niech uzna go za ozdobę stajni i pastwiska, niech dzięki niemu zaspokoi własne, od stuleci zaniedbywane potrzeby emocjonalne.

Sens konia

Zanim ktokolwiek wdrapie się na grzbiet konia, powinien spędzić długie godziny na nauce mowy końskich uszu (postawione na sztorc – „dzieje się coś ciekawego, ale trochę się tego boję"; lekko odstawione na boki – „mów, mów, odpoczywam sobie, ale cię słucham"; oklapłe jak u owcy – „padam na twarz, poza tym strasznie nudzisz"; przypłaszczone do czaszki – „zaraz cię rąbnę"). Powinien oduczyć się gwałtownego wymachiwania rękami („oj, człowiek stanął dęba i może mnie zaatakować"), nagłego zachodzenia konia od przodu i od tyłu („co to jest i dlaczego ja tego nie widzę?") oraz wrzeszczenia w jego obecności.

Najlepiej byłoby, gdyby przebywał z nim w ciszy i spokoju, odwzajemniał jego pieszczoty, zamiast narzucać się ze swoimi, a przede wszystkim obserwował. Uczył się, że ciche rżenie może oznaczać radość na widok końskiego przyjaciela, początek flirtu między ogierem a klaczą albo matczyną troskę o źrebaka, który zawieruszył się gdzieś w wysokiej trawie. Że konie pomagają sobie nawzajem w codziennej toalecie, czochrając kolegę zębami po tych częściach ciała, do których najtrudniej sięgnąć samemu: po grzywie, bokach szyi, łopatkach i grzbiecie, aż po nasadę ogona.

Żeby zinterpretować układy panujące w stadzie, trzeba przypatrzyć się koniom tuż po wyprowadzeniu ich ze stajni na padok lub pastwisko. Zwierzęta najpierw „spuszczają parę": biegają w kółko, strzelają z zadu, zarzucają ogony na grzbiet, okrążają się nawzajem, po czym zaczynają szykować się do tarzania. Koń przywódca znajduje odpowiednie miejsce i tarza się pierwszy. Pozostałe czekają na swoją kolej i tarzają się w tym samym dołku albo tuż obok, zawsze jednak zgodnie z miejscem w hierarchii. Kolejność dotyczy wszystkich wspólnie wykonywanych czynności: koń dominant pierwszy podchodzi do wody, pierwszy rozgarnia pyskiem świeżą belę siana, prowadzi konie na łąkę i dyscyplinuje niesfornych podopiecznych.

Ten układ zależności jest uzasadniony z biologicznego punktu widzenia. Porządek w stadzie jest gwarancją czujności – przepychanki nad strumieniem i wałęsanie się samopas mogłyby ściągnąć niebezpieczeństwo na całą grupę. Zasady są tyleż czytelne, co niewzruszone: źrebaki ustępują dorosłym, młode klacze ulegają starszej samicy, słabsze osobniki podporządkowują się zdrowszym i mocniej zbudowanym. Koń niżej postawiony w hierarchii trzyma się zawsze o pół kroku za „dowódcą" i stara się nie unosić łba ponad linię jego grzbietu. Klacz alfa może bezkarnie spuścić łomot każdemu z podopiecznych – nawet i bez powodu.

Niewykluczone, że po wielu dniach takich obserwacji człowiek-towarzysz zupełnie straci ochotę na dosiadanie jakiegokolwiek rumaka. Nic w tym złego, jeśli koń może spożytkować nadmiar energii inaczej. Znam pewnego wałacha, który potrafił ganiać się do upadłego ze swoim właścicielem, aportując mu pusty worek po cemencie. W młodości miałam do czynienia z końskim dowcipnisiem, którego przed każdą jazdą odławiałam z łąki co najmniej trzy kwadranse. On wiedział, że po takiej

DOMENA PUBLICZNA

Emerytowany nauczyciel Wilhelm von Osten i jego Mądry Jan, Berlin, 1904 r.

zabawie w berka kucanego nie będę zbyt wiele od niego wymagać, ja wiedziałam, że dzięki wstępnej rozgrzewce tym szybciej wybierzemy się razem na wycieczkę do lasu. Ze swoich stajennych doświadczeń znacznie milej wspominam wspólne wylegiwanie się w świeżo wyściełanym boksie niż żmudne i często stresujące dla obu stron treningi na czworoboku.

Człowiek towarzyszący koniowi w jego codziennej rutynie przestaje uważać go za przyrząd do ćwiczeń, maszynę do bicia rekordów i materiał na czempiona pokazów hodowlanych. Wchodzi z nim w związek, który przywodzi na myśl skojarzenia ze starym dobrym małżeństwem. Po pierwszym etapie namiętnej fascynacji emocje opadają i zaczyna się mozolny proces wzajemnego poznania. Później rodzi się zobowiązanie – świadomość, że konia nie można zawieść, opuścić w chorobie, pozbyć się z dnia na dzień, bo nie sprawdził się w sporcie albo w hodowli. Kiedy poczucie obowiązku przestanie doskwierać, przyjdzie pora na normalność, czyli skrupulatne wywiązywanie się z danych koniowi obietnic. Prawdziwa końsko-ludzka miłość nie wypali się nigdy: z czasem trzeba będzie zapewnić czworonogowi spokojną starość (co często wiąże się z koniecznością zmiany stajni), towarzyszyć mu wiernie w jego ostatniej drodze i zapewnić godną śmierć – bez bólu, strachu ani poczucia, że zostało się w tyle za stadem.

Po drodze

Rasowi koniarze łapią bakcyla na zawsze i przechodzą czasem długą drogę, zanim zrozumieją, że największe szczęście w świecie nie leży na końskim grzbiecie, tylko trochę niżej. Niewiele jest zwierząt, które w prawidłowej relacji z człowiekiem dają mu takie poczucie wolności, intensywnego obcowania z naturą i porozumienia z istotą myślącą zupełnie innymi kategoriami. Koń żyje długo. Starzeje się pięknie. Potrafi tworzyć długotrwałe wspomnienia ludzi na podstawie mimiki ich twarzy i rozpoznać znajomego człowieka na zdjęciu. Wie, komu wybaczyć krzywdę, a kto nie rokuje poprawy.

Wacław Potocki w swojej „Historii o Argenidzie, królewnie sycylijskiej", wydanej w 1697 r. „powieści wierszem naśladowanej z utworu pisarza szkockiego Johna Barclaya", napisał, że „trzeba i poddanych fantazye wiedzieć, pierwej konia zrozumieć, niżli na nim siedzieć". Miał wprawdzie na myśli sprawny model rządzenia państwem, ale ten cytat powinien zapaść w pamięć przede wszystkim miłośnikom koni.

© DOROTA KOZIŃSKA

STANISŁAW

Mancewicz: *Lądowania*

Rzec trzeba na wstępie, w związku z falą wątpliwości wywołanej najświeższymi pisowskimi zmianami w treści „Przedwiośnia" Żeromskiego Stefana, że jakby się ktoś pytał, jesteśmy zwolennikami dowolnych interwencji w dziełach literackich. W każdych, nie tylko w tych nieużywanych, których bez przymusu i pies z kulawą nogą nie czyta. Ba! Więcej. Od dawna oczekiwalibyśmy w zastanej literaturze zmian głębszych, gatunkowych, formalnych i moralnych, a nie jakichś tam nic nieznaczących korekt językowych, żałosnych mozołów uwspółcześniających, heroicznych walk z przymiotnikiem polskim bądź macanek pomiędzy archaicznością a nowoczesnością.

Od zawsze uważamy, że skoro można dokonać powiększenia biustu, nominować analfabetę bądź kryminalistę na sędziego, przebudować prawo w imię bezprawia czy usmażyć schabowego z soi, to nie ma powodu, by z poematu nie zrobić fraszki czy z pobożnego tekstu powieści pornograficznej. Można by – to tylko przykład – wziąć się i za „Ulissesa", powstawiać w nim nieco przecinków i uproduktywnić tułaczkę bohaterów po mieście, łażących w tym sprośnym dziele jak jacyś – za przeproszeniem – kodomici. Palącą wydaje się potrzeba zamiany ostatniego słowa tego utworku, które na razie brzmi „Tak", co jest lewacko niemoralne, na bardziej prawicowe i moralne „Nie". Rzecz jest do zrobienia – jako się rzekło – na *cito*. Popieramy zatem wszelkie działania w sferze wyobraźni i kreacji, a brodzenie wbrew trendowi czy kopanie się z koniem, choćby był żyjącym, kopalnym hominidem, uważamy za stratę czasu.

Jeśli idzie o detal personalny operacji na „Przedwiośniu", to nie da się ukryć, że z zaciekawieniem śledzimy karierę tego chirurga. Był to, jak ćwierćpowszechnie wiadomo, i miły aktor, i felietonista, ongiś wzięty. Życie felietonisty ma swoją przykrą specyfikę, o czym nie będziemy tu szerzej pisać, nie jesteśmy bowiem ani Żeromskim, ani nie chcemy się rozszlochać na wizji. Otóż ów nie tylko remontuje „Przedwiośnie", tak by prezydent kraju nie miał problemu z czytaniem na głos, ale też jest tzw. członkiem z ramienia wysuniętym na czoło rady nadzorczej w pewnej wrażej spółce medialnej. Jak czytamy na oficjalnej stronie owego diabelskiego podmiotu gospodarczego, nasz bohater zasiada tam w „komisji do spraw osobowych i wynagrodzeń". Z ramienia Skarbu Państwa – dodajmy – i oczywiście w ramach swych oszałamiających kompetencji. Jest to okoliczność ciekawa. Dalibyśmy sobie odgryźć rękę, albo raczej nogę, którą uprawiamy naszą kulawą felietonistykę, by mieć cień złudzenia, że dnia pewnego partia rządząca da nam podobną synekurę, że czas schyłku twórczego spędzimy ślęcząc nad raportami HR bądź – co oczywiście kapitalne – nad siatką płac żydokomuny i płatnych agentów bezpieki. Że tym samym nie skończymy jak większość felietonistów świata tego, wygnaniem pośród głazy i kolczaste zarośla przez redaktorów i znudzonych nami śmiertelnie czytelników. Powab łaski bycia wskazanym do papierkowej roboty przez pierwszego sekretarza wydaje się nam marzeniem bardzo pluszowym, godnym każdego twórcy polskiego, zwłaszcza gorąco kochającego partię i naród. Miętkie lądowanie jest lepsze niż twarde – tak uważamy. By je zilustrować lubianym przez nas cytatem ze wspomnianej tu irlandzkiej książki: „Moneta bęc. Zegar tyk". Jak łatwo z tego wszystkiego wyczytać, powoduje nami klasyczna, niczym nieskrępowana, słuszna zawiść.

Jeśli już o lądowaniu mowa, to jakimś tematem jest seria ostatnich lądowań pana prezydenta. Po wielokroć zapewnialiśmy, że jego lądowania nas nic a nic nie obchodzą, jednak szczęśliwe przyziemienie na oczyszczonym z manieryzmów „Przedwiośniu" odświeżyło nasze rozterki. Powszechnie się mówi, że prezydent był ostatnio w Australii i Nowej Zelandii, że wylądował. Te informacje nami szarpnęły. Ludzie! Nie wierzcie w te brednie, antypody nie istnieją. W nieprzerobionych na razie „Przygodach dobrego wojaka Szwejka" stoi jak wół, że kto wierzy w antypody, będzie przeklęty. I tego się kurczowo trzymajmy. Prezydent był po prostu w Juracie, jak zawsze, gdy rzekomo wyjeżdża za granicę, niby pogadać o polityce z cudzoziemcami. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

REKLAMA

CENTRUM NAUKI KOPERNIK

FESTIWAL PRZEMIANY

13–16 września 2018

cywi— lizacja algo— rytmów

przyjdź i zobacz jak sztuczna inteligencja zmienia świat

festiwalprzemiany.pl

Partnerzy medialni:

SZUM · PRZEKRÓJ · VICE · wyborcza.pl WARSZAWA · KULTURA LIBERALNA · TYGODNIK POWSZECHNY · onet · jestgrane24

Organizatorzy Centrum Nauki Kopernik:

Szkoła Liderów · MINISTERSTWO EDUKACJI NARODOWEJ · Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego

REKLAMA

10–23 WRZEŚNIA 2018

MIĘDZYNARODOWY KONKURS MUZYCZNY im. KAROLA SZYMANOWSKIEGO KATOWICE

10–23 WRZEŚNIA 2018

szymanowski-competition.com

Organizator

Współorganizatorzy

NOSPR współfinansują

Sponsor NOSPR i projektu akustyki sali koncertowej

Partner strategiczny

Partner

Partner motoryzacyjny

Patroni medialni

Projekt współfinansowany przez Unię Europejską ze środków Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego w ramach Programu Infrastruktura i Środowisko Dla rozwoju infrastruktury i środowiska | www.pois.gov.pl